

Jazzpress

KWIECIEŃ 2013

Gazeta internetowa poświęcona
muzyce improwizowanej

ISSN 2084-3143

Rozmawiają z nami
Mark Fletcher
Michał Wierba
Rafał Mazur
Piotr Schmidt

Tomasz Dąbrowski

KONKURSY

Tomasz Dąbrowski, fot. Mathilde Haase

SPIS TREŚCI

3 – Od Redakcji

4 – KONKURSY

6 – Co w RadioJAZZ.FM

7 – Wydarzenia

12 – Płyty

12 RadioJAZZ.FM poleca

14 Nowości płytowe

22 Pod naszym patronatem

Coherence Quartet – *Coherence*

Karo Glazer – *Crossings Project*

28 Recenzje

Nadishana – Gorelik *Asymmetric Beauty*

Curtis Stigers – *Let's Go Out Tonight*

Zbigniew Jakubek, Bernard Maseli, Nippy

Noya – *Back In*

Polish Radio Jazz Archive

Stan Getz / Andrzej Trzaskowski Trio

Don Ellis / Wojciech Karolak Trio

36 – Przewodnik koncertowy

36 RadioJAZZ.FM i JazzPRESS zapraszają

38 Koncerty w Polsce

Obchody Światowego Dnia Jazzu w Polsce

Kwietniowe festiwale

40 Nasi zagranicą

42 Chris Botti

– w miłosnym liście do Polaków ...

46 Marco Eneidi

48 Mazolewski/Gonzalez Quintet

50 Moździerz Danielsson Fresco

53 Responsio Mortifierai

54 Aga Zaryan o miłości ...

56 Dean Brown *Unfinished Business*

58 Jadranska Magistrała Jazzu

65 Kwartet Roberta Majewskiego

66 Jarek Wist & Krzysztof Herdzin Big Band

68 ToTu Orchestra: The Beginning

70 Oregon w Palladium

72 Sławomir Jaskułke

74 – Wywiady

74 Tomasz Dąbrowski

Jakby mi ktoś kiedyś powiedział, że tak to będzie wyglądało, to bym go wyśmiał!

82 Mark Fletcher

Co Fletcher warzy w garze?

88 Michał Wierba

Chcę być zaskakiwany

93 Rafał Mazur

Jestem w drodze, ciągle w trakcie przemiany

100 Piotr Schmidt

Jesteśmy grupą kreatywnych młodych muzyków

103 – Historia

103 I Festiwal (1964 rok)

108 – Publicystyka

108 Głosem muzyka jazzowego

Fryderyki 2013

112 Felieton jazzowy Macieja Nowotnego

Wiosna w polskim jazzie

114 – BLUESOWY ZAUŁEK

114 Gwiazdy Rawy

115 Arthur Adams – Żywa legenda West Coast Bluesa

117 Morey w CDQltury

118 – Kanon Jazzu

118 Kanon w eterze

120 – Redakcja

Możesz nas wesprzeć

nr konta: 05 1020 1169 0000 8002 0138 6994

wpłata tytułem:

Darowizna na działalność statutową Fundacji

Od Redakcji

Oddajemy w Wasze ręce kwietniowy numer JazzPRESS z nadzieją, że zasiądziecie do jego lektury już w wiosennej aurze. Co prawda powstawał jeszcze zimą, choć już wiosną. I choć piszemy raczej o zimowych wydarzeniach, to czuć już w nim powiew jazzowej wiosny. O tym wprost pisze w swoim felietonie Maciej Nowotny. Zwiastunami tejże wiosny są nasi rozmówcy – okładkowy Tomasz Dąbrowski, Piotr Schmidt, czy Michał Wierba. Oby wybuchła na całego jak najprędzej!

Życzę przyjemnej lektury.

*Ryszard Skrzypiec
Redaktor Naczelny*

Przekaz 1% swojego podatku

**Wesprzyj wspólne projekty kulturalne
RadioJAZZ.FM i Artbale Stowarzyszenie
Rozwoju Edukacji Kulturalnej i Sztuki**

KRS: 0000107658

Cel szczegółowy 1%: JAZZ

**więcej informacji na stronie
www.radiojazz.fm/jeden_procent.html**

KONKURSY

Czytelnicy magazynu JazzPRESS mają szansę w łatwy i przyjemny sposób stać się posiadaczami następujących płyt:

Płytę *Coherence* zespołu Coherence Quartet. W składzie zespołu, choć na płycie nie zagrał ani dźwięku jest znakomity polski perkusista. O kim mowa?

Debiutancką płytę *Jazz City Choir*. Pomysłodawczynią i założycielką chóru jazzowego jest Małgorzata Korczyńska, która pełni funkcję dyrektora artystycznego zespołu. Natomiast kto pełni funkcję kierowniczkę muzyczną?

Debiut saksofonisty Chrisa Pottera w ECM zatytułowany *The Sirens* inspirowany jest starogreckim eposem. O jaki utwór chodzi?

Trzy płyty *Crossing Project* mamy dla czyleników, którzy podadzą tytuł i rok wydania debiutanckiej płyty wokalistki Karo Glazer.

Bilety na 51. edycję *Warsaw Blues Nights*, którego gwiazdą będzie legenda west coast bluesa – Arthur Adams. Gitarzystę będzie supportować polska wokalistka. Proszę podać tytuł jej nowej płyty.

Zapraszamy do udziału w zabawie. Wystarczy wysłać e-mail z odpowiedzią na jedno z powyższych pytań na adres jazzpress@radiojazz.fm i mieć szczęście.

W redakcyjnych konkursach obowiązują następujące zasady:

- 1) Jeden uczestnik zabawy może wygrać tylko jedną nagrodę.
- 2) Nie decyduje ani kolejność zgłoszeń, ani data stempla pocztowego.
- 3) Konkursy rozstrzygamy na tydzień przed wypuszczeniem nowego numeru.





ZAPRASZAMY NA PIERWSZĄ TRASĘ ZESPOŁU GENERATIONNEXT



JACEK NAMYSŁOWSKI
TROMBONE

TOMASZ WENDT
SAXOPHONE

PIOTR SCHMIDT
TRUMPET

GABRIEL NIEDZIELA
GUITAR

FRANCESCO ANGIULI (ITALY)
DOUBLE-BASS

AREK SKOLIK
DRUMS

KWIECIEŃ 2013

- 11 | **Wrocław**, duża sala Impartu
ul. Mazowiecka 17, g. 23
- 12 | **Trzebnica**, Budynek Starostwa Powiatowego
ul. Leśna 1, g. 19
- 13 | **Bytom**, Becek [Bytomskie Centrum Kultury]
ul. Plac Karin Stanek 1, g. 19
- 14 | **Zgorzelec**, Miejski Dom Kultury
ul. Parkowa 1, g. 18

GENERATIONNEXT to świeże spojrzenie na muzykę jazzową. Zespół ten to nowoczesny akustyczny mainstream poszukujący przestrzeni, barw, wrażeń i wyjątkowych emocji!

Czy Następna Generacja muzyków spełnia pokładane w nich oczekiwania? Czy tak samo zachwyci słuchaczy jak robiła to poprzednia? W jaki sposób to bogate w muzyczne geny pokolenie jest inne i czym się wyróżnia? Przyjdź na koncert zespołu Generation Next i przekonaj się na własne uszy!

Nie żyje Kazimierz Wlekły – autor audycji „Winyłowy Jazz”

Pod koniec marca w wieku 68 lat zmarł Kazimierz Wlekły, pasjonat muzyki. W RadioJAZZ.FM prowadził audycję „Winyłowy Jazz”. Cześć jego pamięci!

Po półtorarocznej przerwie na antenę powraca kultowy Phil Jones! Tym razem będzie go można usłyszeć w każdy poniedziałek o godzinie 21:00 w audycji pod dumnym tytułem The Twopenny Hangover.

In this aural doss-house we find a space for those of us who still need our radio murky, raucous, fuzzy, hushed, free, home-recorded, motorik, modal, loner, squawking, psychedelic, ethereal, from all ages and points of the compass.



- × 11 marca do finału Konkursu na indywidualność Jazzową 49. edycji Festiwalu Jazz nad Odrą zakwalifikowano następujących wykonawców: 1. Bartosz Pernal/Michał Szkil Quintet, 2. Dariusz Dobroszczyk Trio, 3. Greg Włodarczyk Group, 4. Mateusz Pulawski Amsterdam Quartet, 5. Szwec & Wendt Quintet, 6. Tomasz Jędrzejewski Quartet, 7. Tomasz Licak/Radek Wośko Quartet feat. C. Winther, 8. Ulu-ru (P. Scholz, J. Szwaj, D. Kostka, A. Konieczny). Finał konkursu odbędzie się w dniach 9 i 10 kwietnia w ramach 49. edycji Festiwalu Jazz nad Odrą.
- × Basista Marcus Miller został ustanowiony Artystą na rzecz Pokoju przez UNESCO. Uroczystość nadania tej godności odbędzie się 4 lipca w siedzibie głównej UNESCO w Paryżu. Miller będzie wspierał realizowany przez UNESCO „Slave Route Project” promując za pośrednictwem jazzu pokój, dialog i jedność. 22 marca w kwaterze głównej ONZ w Nowym Jorku odbył się koncert z okazji obchodów Światowego Dnia Pamięci o Ofiarach Niewolnictwa i Transatlantyckiego Handlu Niewolnikami (International Day of Remembrance of the Victims of Slavery and the Transatlantic Slave Trade). Oprócz Millera w koncercie wystąpili Benyoro (Narodowy Ballet Kamerunu), Somi (amerykański śpiewak o korzeniach rwandyjsko-ugandyjskich) i Steel Pulse (angielski zespół grający reggae, złożony z osób pochodzenia karaibskiego, indiańskiego i azjatyckiego).



Marcus Miller

fot. Bogdan Augustyniak



Jazz to wolność
Pomyśl o tym

Thelénious Monk

Bilety:

www.ticketportal.pl
www.ticketpro.pl

oraz w miejscach koncertów

26
kwietnia
piątek

27
kwietnia
sobota

28
kwietnia
niedziela

29
kwietnia
poniedziałek

30
kwietnia
wtorek

1
maja
środa

18.30 New Tide Orquesta
Kinoteatr Rialto

21.00 Tie Break & Michał Urbaniak
Kinoteatr Rialto

22.30 Jon Irabagon Trio
Jazz Club Hipnoza

18.30 Erik Truffaz4tet
Kinoteatr Rialto

20.30 LedBib + Elektro Guzzi
Jazz Club Hipnoza

22.00 ImproGraphic
Scena Gugalander

18.30 Julian Gembalski + Hob-Beats
Kinoteatr Rialto

20.30 Roberto Fonseca
Jazz Club Hipnoza

22.00 Boeing
Scena Gugalander

20.30 Weston-Gembalski-Majchrzak Trio
Scena Gugalander

19.00 Projekcje filmowe
Jazz Club Hipnoza

18.30 Manu Katché 2013
Kinoteatr Rialto

20.30 Sons of Kemet
Jazz Club Hipnoza

21.00 Jakub Kościuszko
Katofonia

22.00 Das Quartet
Rajzefiber

20.30 Jan Garbarek & The Hilliard Ensemble
kościół św. Ap. Piotra i Pawła

22.00 Burnt Friedmann&Jaki Liebezeit
Jazz Club Hipnoza

- × 5 marca w wieku 76 lat zmarł organista Melvin Rhyne. Najbardziej znany ze współpracy z gitarzystą Wesem Montgomerym, z którym w latach 1959 – 1964 nagrał cztery albumy: *The Wes Montgomery Trio: A Dynamic New Sound*, *Guitar on the Go*, *Boss Guitar* i *Portrait of Wes*. Grał także z B.B. Kingiem i T-Bone Walkerem, a w latach 90. z Herbem Ellisem i Brianem Lynchem. Urodził się 12 października 1936 r.
- × 6 marca w wieku 68 lat zmarł gitarzysta Alvin Lee. W latach 60. współtworzył bluesrockową grupę Ten Years After. Po występie na Festiwalu w Woodstock w 1969 r. został okrzyknięty „najszybszym gitarzystą świata”. W 1973 roku wraz z takimi muzykami, jak: Mylon LeFevre, George Harrison, Steve Winwood, Ronnie Wood i Mick Fleetwood nagrał album *On the Road to Freedom*, uznany za forpocztę country rocka. Urodził się 19 grudnia 1944 r.
- × 7 marca w wieku 82 lat zmarł angielski trębacz i bandleader Kenny Ball (właściwie Kenneth Daniel Ball). Prowadził własną formację Jazzmen. W 1968 towarzyszył Louisowi Armstrongowi podczas jego ostatniej europejskiej trasy koncertowej. Koncertował na weselu księżnej Diany i księcia Karola. Największe przeboje: „Samantha”, „Midnight in Moscow”, „March of Siamese Children”, „The Green Leaves of Summer”, „Sukiyaki”. Urodził się 22 maja 1930 roku.
- × 9 marca w wieku 77 lat zmarł perkusista James „Jim” McGee Lackey. Grał m.in. w the Glenn Miller Orchestra kierowanej przez Ray’a McKinley’a. Przez 25 lat był członkiem The Cajun Queen. Grał także w Tommy Dorsey Band, z Judym Garlandem i Ettą James. Urodził się 5 marca 1936 r.
- × 22 marca w wieku 94 lat zmarł pianista, bandleader, aranżer i kompozytor Bebo Valdés (właściwie Ramón Emilio „Bebo” Valdés Amaro), centralna postać „złotego wieku” muzyki kubańskiej w latach 50. Wielokrotny laureat nagrody Grammy. Nagrywał z amerykańskimi gwiazdami jazzu – m.in. w 1952 wziął udział w zarejestrowanej przez Normana Granza dla wytwórni Verve Records pierwszej afrokubańskiej sesji jazzowej, a w 1958 roku z Natem „King” Colem nagrał album *Cole Español*. W 2000 roku wystąpił w dokumentalnym filmie *Calle 54*, w którym wystąpił jego syn Chuchó. Zaś nakręcony w 2010 roku i nominowany do Oscara film *Chico & Rita* luźno nawiązuje do jego życia. Urodził się 9 października 1918 r.



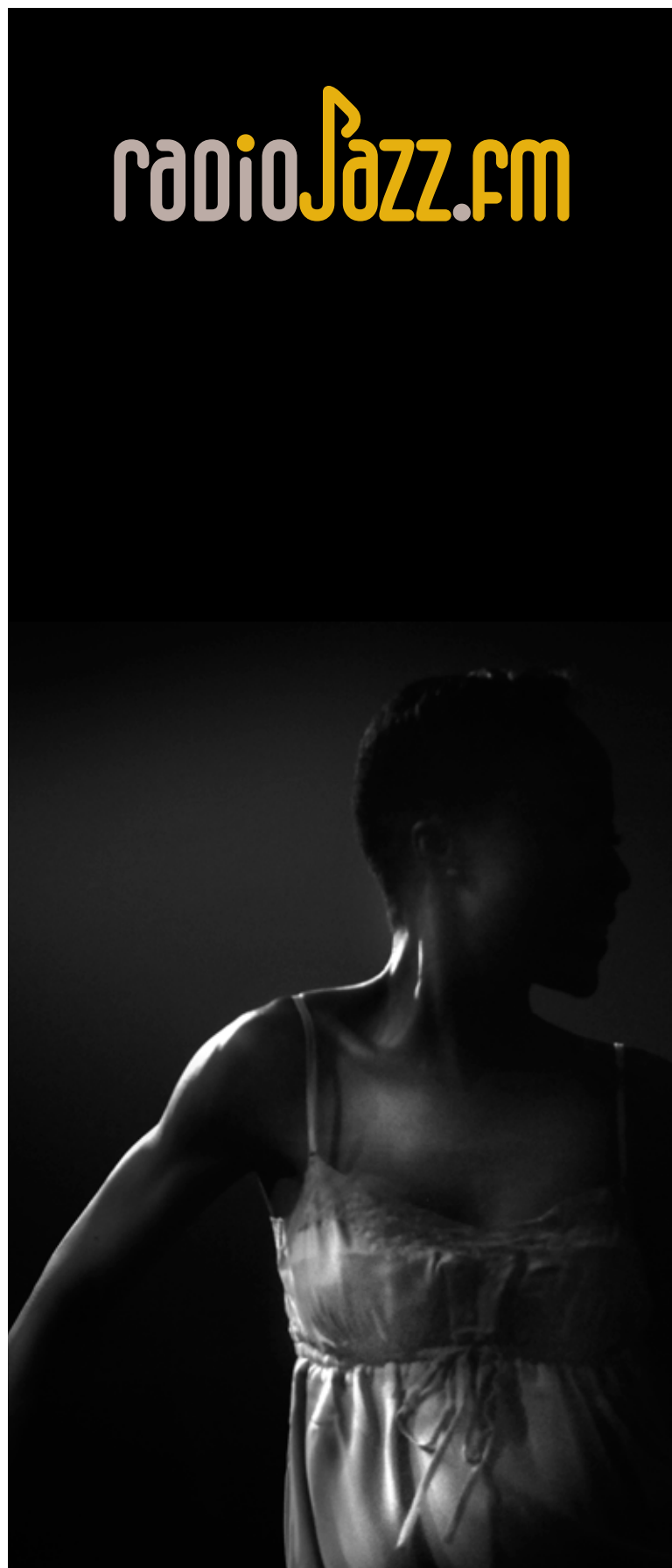
Nina Simone

fot. Rafał Garszczyński

- × 28 marca w klubie Sztuki&Sztuczki odbył się wernisaż wystawy fotogramów z koncertów Niny Simone w Polsce – „Nina Simone odnaleziona w Polsce”. Na wystawie znalazły się prace Marka Karewicza i Rafała Garszczyńskiego. Wystawę można oglądać do 15 kwietnia.
- × Fundacja Sopockie Korzenie zaprasza do udziału w V Ogólnopolskim Konkursie „Wspomnienia miłośników rock’n’rolla”. Celem Konkursu jest również uhonorowanie artystów, muzyków, animatorów, pasjonatów, fanów rock’n’rolla, a także wydawców publikacji związanych z historią polskiego rock’n’rolla. Jak co roku jego zwieńczeniem będzie uroczysta gala, w czasie której laureatom wręczone zostaną nagrody. Prace konkursowe należy nadsyłać do dnia 15 sierpnia 2013. Ogłoszenie wyników i wręczenie nagród nastąpi podczas uroczystej gali 20 września 2013 roku w Sopocie. Regulamin oraz Karta Zgłoszenia dostępne są na stronie Fundacji Sopockie Korzenie www.sopockiekorzenie.org.pl.
- × 49. edycja festiwalu Old Jazz Meeting Złota Tarka odbędzie się w Iławie od 9 do 11 sierpnia br. W tym roku impreza będzie miała jubileuszowy charakter, a to dlatego, że już po raz dwudziesty organizowana jest w Iławie. Dyrektorem artystycznym jest wybitny pianista i lider Wojciech Kamiński. Festiwal to także Konkursu Złota Tarka 2013. Zgłoszenia uczestnictwa w konkursie można nadsyłać do 15 czerwca, zaś szczegółowe informacje, w tym regulamin i karta zgłoszenia dostępne są na stronie internetowej Festiwalu www.zlotatarka.pl.

- × W dniach od 25 do 28 kwietnia w Centrum Targowym w Bremen po raz ósmy odbędą się targi Jazzahead, które zgromadzą w jednym miejscu jazzmanów, jazzfanów, producentów, dystrybutorów oraz ludzi związanych z mediami i promocją. Część targową uzupełnią prezentacje muzyków w ramach Israeli Night, German Jazz Expo, Overseas Night i European Jazz Meeting. Co prawda wśród wykonawców trudno znaleźć polskie nazwiska, natomiast po raz pierwszy swoje stoisko, dzięki Instytutowi Adama Mickiewicza, będzie miała polska reprezentacja, w której składzie m.in. Sopot Jazz Festival, Jazz Forum, Jazztopad, Lado ABC, Zbigniew Seifert Foundation. Więcej informacji o imprezie na stronie internetowej www.jazzahead.de.

(rs)



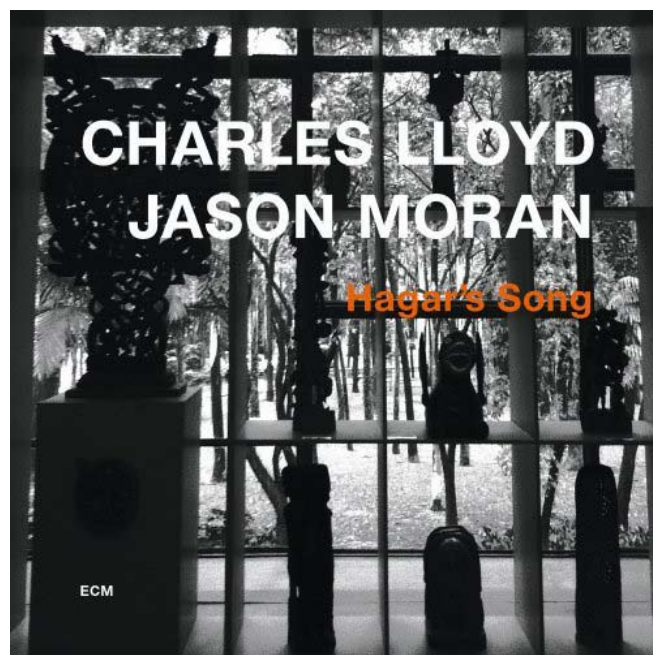
fot. Krzysztof Wierzbowski





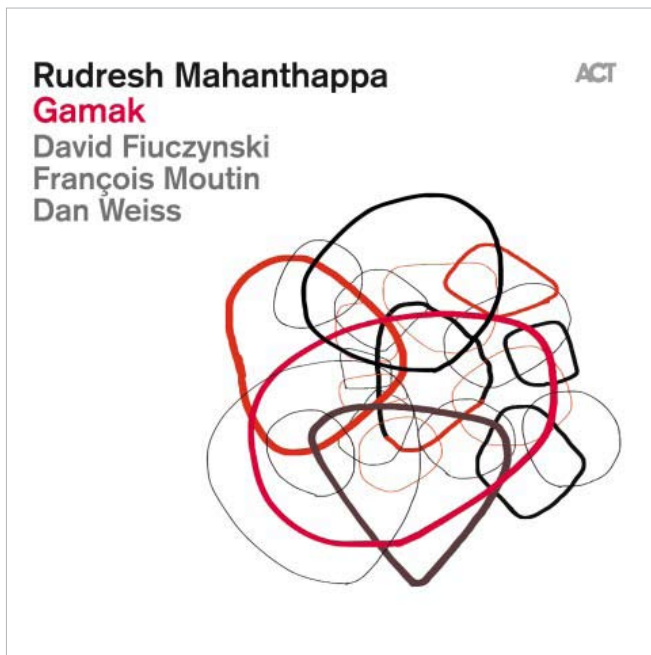
Iiro Rantala feat. Lars Danielsson, Morten Lund & Adam Bałdych – *My History Of Jazz*

Tak więc nie myślcie o *My History Of Jazz* jak o podręczniku historii. To świeże, pełne ciekawych pomysłów, subiektywne podejście do tematu. Trio Iiro Rantali nie jest klasycznym jazzowym trio z fortepianem. To raczej fortepian plus kontrabas i perkusja. Lars Danielsson i Morten Lund nie tworzą klasycznej sekcji rytmicznej. Raczej ubarwiają i uzupełniają grę lidera. Jako bonus dostajemy po raz kolejny świetnego Adama Bałdycha, choć w dawce sporo mniejszej niż na jego solowych płytach. To pierwszy album Iiro Rantali, który trafił do moich zbiorów, ale z pewnością nie ostatni.



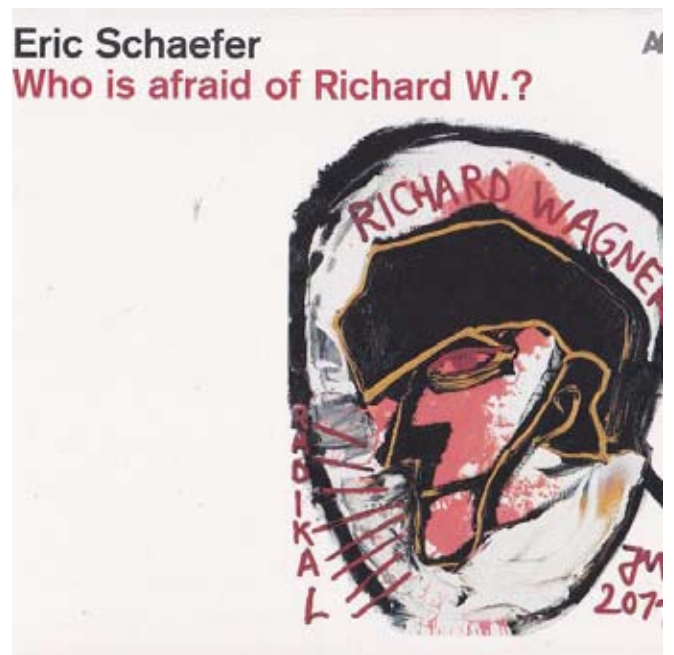
Charles Lloyd & Jason Moran – *Hagar's Song*

Nie ma wątpliwości, że centralną postacią *Hagar's Song* jest Charles Lloyd. Jason Moran dostaje szansę bycia liderem jedynie na chwilę, w „Bess, You Is My Woman Now”. Teoretycznie centralną częścią albumu jest niemal 30 minutowa suita skomponowana przez Charlesa Lloyda – *Hagar Suite*. Dla mnie jednak najlepszym momentem, definiującym w zasadzie istotę duetu Charles Lloyd – Jason Moran jest kompozycja Boba Dylana „I Shall Be Released”, pierwotnie umieszczona na płycie zespołu The Band – *Music From Big Pink*. Wcześniejsza wersja zaśpiewana przez samego Boba Dylana znalazła się na wydanej wiele lat później oficjalnie jako część kolekcji *The Basement Tapes*, a wcześniej dostępna w wielu wersjach pirackich.



**Rudresh Mahanthappa feat. David Fiuczynski,
François Moutin, Dan Weiss – *Gamak***

W mojej muzycznej świadomości Rudresh Mahanthappa istniał raczej jako partner pianisty Vijaya Iyera. Widziałem kilka jego koncertów w roli lidera własnego składu, ale za każdym razem miałem uczucie niedosytu i wrażenie, że saksofonista ciągle poszukuje swojej muzycznej tożsamości gdzieś między indyjskimi korzeniami i dziedzictwem Johna Coltrane'a. *Gamak* zmienił moje podejście do jego muzyki. Nagle wszystkie, porzucane kawałeczki rozlicznych muzycznych inspiracji, które słyszałem na koncertach Rudresha Mahanthappy ułożyły się w sensowną całość.



Eric Schaefer – *Who Is Afraid Of Richard W.?*

Ja się Richarda Wagnera nie obawiam, choć z pewnością nie jestem specjalistą od jego muzyki. Najnowszy album rozchwytywanego na rynku niemieckim perkusisty Erica Scheaferra inspirowany jest w całości monumentalnym dorobkiem tego wielkiego kompozytora. Część tych inspiracji jest dość łatwych do odczytania, innych ja odczytać nie potrafię, nawet biorąc pod uwagę wskazówki lidera opisujące utwór Wagnera, który został użyty jako podstawa do każdej umieszczonej na płycie kompozycji lidera.

Rafał Garszczyński

recenzje płyt tygodnia znajdziesz na stronie
www.jazzpress.pl/index.php/pyta-tygodnia



6 lutego założona przez gitarzystę i kompozytora Bena McDonnella formacja Aleph Trio wypuściła debiutancką płytę. Skład grupy uzupełniają basista Ben Bastin i perkusista

Chris Packham. Na albumie znalazło się 5 kompozycji McDonnella, w których pobrzmiewają doświadczenia życiowe autora. Jest tu i utwór poświęcony życiu jego dziadka, i kompozycja o stosach pogrzebowych w Nepalu. Płyta na razie dostępna jest w serwisie **Bandcamp** fizyczny krążek będzie dostępny w 26 kwietnia.

12 lutego ukazały się dwa albumy klarncisty i kompozytora Bena Goldberga. Krążki zatytułowane *Unfold Ordinary Mind* i *Subatomic Particle Homesick Blues* wydała wytwórnia BAG Records. Do nagrania albumu *Subatomic Particle Homesick Blue* doprowadziło spotkanie Bena Goldberga z grupą muzyków, w której był saksofonista Joshua Redman w 2008 roku. Wykonania w duecie przez Redmana i Goldberga kompozycji „Study of the Blues” można **posłuchać tu »** Natomiast do nagrania płyty *Unfold Ordinary Mind* doszło po zakończeniu przez Goldberga poprzedniego dużego projektu, czyli Orphic Machine w marcu ubiegłego roku. W maju w ciągu jednego dnia zarejestrowano materiał na płytę. W nagraniu, obok lidera, wzięli udział: dwaj tenorzyści – Ellery Eskelin i Rob Sudduth, gitarzysta Nels Cline oraz perkusista Ches Smith. Zobacz film o powstawaniu albumu. <http://www.youtube.com/watch?v=HW9u-794Wd8&feature=youtu.be>

12 lutego ukazał się album duetu HUW zatytułowany *Anamorphic*. Duet tworzą pochodzący z Peak District w Wielkiej Brytanii bracia Aaron i Mike Doltonowie. Obaj są absolwentami Liverpool Institute of Performing Arts. Ich muzyka to mieszanka jazzu, elektroniki i soulu zainspirowana światem filmu.

Debiutowali w 2010 roku płytą *Amplexus* wydaną nakładem tej samej wytwórni Ropeadope. Jednego z nagrań **można posłuchać tu »**

19 lutego wytwórnia Random Act Records wydała płytę duetu Michael Wolff & Mike Clark zatytułowaną *The Wolff & Clark Expedition*. Dwóch legendarnych muzyków: pianista, kompozytor i bandleader Michael Wolff, który swoich pierwszych nagrań dokonał z Calem Tjaderem w 1972 roku, a później nagrywał także m.in. z takimi muzykami, jak: Cannonball Adderley, Nancy Wilson, Sonny Rollins, Tony Williams, Christian McBride i wieloma innymi, oraz perkusista Mike Clark, najbardziej znany z formacji Headhunters Herbiego Hancocka z połowy lat 70. nagrało płytę, na której znalazły się od beatlesowskiego „Come Together” przez „Mercy, Mercy, Mercy” Joego Zawinula po „Song For My Father” Horacé’a Silvera oraz dwie autorskie kompozycje Wolffa – utrzymana w rytmie 7/4 „ARP” i „Elise” oraz wspólna „Flat Out”. W nagraniu duetowi towarzyszy basista Chip Jackson. Jak mówią muzycy: „Gramy ze sobą od wielu lat i dzielimy tę samą wizję, energię i radość z uprawiania muzyki i jazzowej improwizacji. Celem *The Expedition* jest przetworzenie znanych utworów w taki sposób, aby pozwoliły wyrazić siebie. Wierzymy, że nadszedł czas, żeby nowoczesne środki wyrazu tak wykonawcze, jak i kompozytorskie zastosować do muzyki wypływającej z bluesa i korzeni jazzu, aby tchnąć w nią ożywczego ducha.”

19 lutego ukazała się płyta saksofonisty i kompozytora Joshuy Kwassmana zatytułowana *Songs of the Brother Spirit*. Na krążku znalazło się 8 autorskich kompozycji lidera. W nagraniu płyty, obok grającego na saksofonach, flecie, klarncie i melodyce lidera, wzięli udział: gitarzyści: Gilad Hekselman i Jeff Miles (W utworze „The Nowhere Trail Part I”), pianiści Angelo Di Loreto i Adam Kromelow, basista Craig

Akin, perkusista Rodrigo Recabarren oraz wokalistka Arielle Feinman. **Zobacz zapowiedź albumu. »**

21 lutego ukazała się płyta znanego brazylijskiego kompozytora, aranżera i pianisty Antonia Adolfo zatytułowana *Finas Misturas*. Na płycie, która łączy brazylijskie dziedzictwo artysty z jego ponad 40-letnim związkiem z jazzem, znalazły się cztery kompozycje autorskie oraz sześć autorstwa Mistrzów Jazzu: Johna Coltrane'a „Giant Steps” i „Naima”, Dizzy'ego Gillespiego „Con Alma”, Keitha Jarretta „Memories of Tomorrow”, Chicka Corei i Neville'a Pottera „Crystal Silence” oraz Billa Evansa „Time Remembered”. Jak przyznał Antonio Adolfo tym, co uzasadnia nagranie takiego albumu jest zanik granic, dzięki czemu możliwe jest wymieszaniu jazz i brazylijskiego frazowania. Płytę wydała wytwórnia AAM Music.

26 lutego ukazała się nowa płyta działającej od prawie 40. lat żeńskiej formacji śpiewającej acapella Sweet Honey in the Rock. Repertuar wykonywany przez zespół obejmuje szerokie spektrum stylistyk od bluesa, przez muzykę afrykańską, jazz, po gospel i R&B. Podwójny krążek zatytułowany *A Tribute—Live! Jazz at Lincoln Center* to pierwsza koncertowa płyta formacji zarejestrowana z towarzyszeniem zespołu. Śpiewaczkom towarzyszy grupa pod nazwą the Honey Men w składzie: Stacey Wade – dyrektor muzyczny, fortepian i keyboard, Parker McAllister bas akustyczny i elektryczny oraz Jovol Bell perkusja i instrumenty perkusyjne.

W ostatnim czasie nakładem wytwórni Kilogram Records ukazały się dwie płyty z udziałem saksofonisty i klarncisty Mikołaja Trzaski. Pierwszą z płyt jest zapis koncertu jaki formacja pod kierunkiem Trzaski dała w trakcie ubiegłorocznej edycji OFF Festival w Katowicach. Na krążku zatytułowanym *Mikołaj Trzaska Gra Różę* znalazły kompozycje ze ścieżki dźwięko-

wej do filmu Wojtka Smarzowskiego pt. *Róża*. Drugą z płyt jest album *Ha-Huncvot* trio Shofar, które, obok grającego na saksofonie altowym i klarncie basowym Trzaski, tworzą: gitarzysta Raphael Rogiński i perkusista Macio Moretti. Większość nagranych przed ponad trzema laty materiału to kompozycje zespołowe.

1 marca ukazała się nowa płyta kontrabasisty Piotra Lemańczyka. Krążek zatytułowany *Amhran* został nagrany z towarzyszeniem nowojorskiego saksofonisty Seamusa Blake'a i perkusisty Jacka Kochana. Na płycie znalazły się kompozycje Lemańczyka, zaś muzyka, jak czytamy w materiałach wydawcy, firmy Soliton Poland, „jest wypowiedzią poprzez radość współtworzenia i wzajemnego zrozumienia rozumienia siebie. Można w niej odnaleźć ekspresję, dbałość o każdy dźwięk, wirtuozerię, przestrzeń, rozbudowane improwizacje, nowoczesność i tradycję, a więc to, co decyduje o sztuce i wyjątkowości muzyki jazzowej.” Tytułowej kompozycji „Amhran”

można wysłuchać tu »

Wydawnictwo Mosaic Records wydała siedmiopłytowy box z nagraniami niezwykle ważnego dla rozwoju jazzu w latach 20., 30. i 40., choć nieco dziś zapomnianego pianisty Earla „Fathy” Hinesa. W zestawie zatytułowanym *Classic Earl Hines Sessions 1928-1945* znalazł się wybór jego nagrań solowych oraz prowadzonych przez niego formacji dla takich wytwórni, jak: Okeh, Victor, Brunswick, Vocalion, Bluebird and Signature. Zebrane nagrania dokumentują rozwój pianisty w trakcie tych 17. lat obejmujących: chicagowski okres hot-jazz orkiestry (1929-1934), unowocześnienie stylu, dzięki zastąpieniu skrzypiec przez saksofonistę tenorowego Jimmy'ego Mundy'ego (po 1934), orientację w stronę swingu (1937), nagrania z grupą wokalną The Three Varieties (1941), nagranie „Skylark” w aranżacji Budda John-



sona w interpretacji wokalisty Billy'ego Ecksteina. I wreszcie jedno z ostatnich nagrań – zaaranżowaną przez gitarzystę elektrycznego Rene Halla kompozycję Scoopa Carry'ego zatytułowaną „Merry”.

5 marca wytwórnia Decca wypuściła nowy krążek Madeleine Peyroux zatytułowany *The Blue Room*. Płyta została nagrana z długoletnim współpracownikiem, legendarym producentem Larrym Kleinem, który ma w swoim dorobku współpracę z Joni Mitchell i Herbiem Hancockiem. Krążek jest autorską interpretacją klasycznego albumu Ray'a Charlesa *Modern Sounds In Country And Western Music* dokonaną przez duet Peyroux-Klein. W klimat płyty wprowadza clip do utworu Buddy'ego Holly'ego „**Changing All Those Changes**” »

5 marca ukazała się piąta płyta gitarzysty Drewa Davidsena. Album zatytułowany *Trew Drew* dedykowany jest idolowi gitarzysty George'owi Bensonowi, którego płyta *Breezin'* jest jedną z najważniejszych inspiracji w karierze Davidsena. Na krążku zarejestrowano dwanaście kompozycji, w tym siedem autorstwa Davidsena. W nagraniu materiału wzięli udział: Eric Marienthal, Bobby Lyle, Bob Baldwin, Gerald Veasley i grający w formacji The Temptations Ron Tyson. Płyte wydała wytwórnia Oznot Records.

W pierwszym tygodniu marca nakładem ECM ukazuje się płyta czeskiej wokalistki, instrumentalistki i kompozytorki Ivy Bittovej. Album zaczerpnął tytuł od nazwiska autorki. Jak twierdzi autorka „Skrzypce to zwierciadło, w którym odbijają się moje marzenia i wyobrażenia.” Na płycie znalazło się dwanaście „Fragmentów” ponumerowanych od I do XII. Nagranie zrealizowano w lutym ubiegłego roku w e Auditorio Radiotelevisione svizzera w Lugano. Bittova gra na skrzypcach, kalimbie i śpiewa. Płyte zrealizował Manfred Eicher. W kwietniu artystka za-

prezentuje ten materiał m.in. w Bratysławie i Karlowych Warach. Drugą z serii płyt, które ukazały się pod szyldem ECM jest płyta formacji Giovanni Guidi Trio zatytułowana

City of Broken Dreams. Trio tworzą pianista Giovanni Guidi, kontrabasista Thomas Morgan i perkusista João Lobo. *City of Broken Dreams* to debiutancki krążek lidera, którego można usłyszeć na płytach Enrico Ravy *Tribe* i *On The Dancefloor*. Na płycie zarejestrowanej w grudniu ubiegłego roku znalazły się kompozycje Guidiego.

Krakowska wytwórnia Not Two wydała właśnie 5-cio płytowy box z zarejestrowanymi w trakcie 5 edycji festiwalu Krakowska Jesień Jazzowa koncertami formacji Barry Guy New Orchestra (small formations). Koncerty odbywały się w krakowskiej Alchemii.

11 marca ukazała się druga płyta z serii zatytułowanej *Polish Radio Jazz Archives*. Tym razem wydawca, czyli Polskie Radio proponuje nagrania trębaczka Dona Ellisa z towarzyszeniem formacji Wojciech Karolak Trio. Na krążku znalazły się nagrania dokonane w sali Filharmonii Narodowej w Warszawie podczas 5 Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Jazzowej Jazz Jamboree 1962. Na albumie znalazło się sześć kompozycji, z których pięć zostało nagranych przez Eliisa i Trio, a szóstą jest kompozycja Andrzeja Trzaskowskiego, w której rejestracji wzięła udział także Orkiestra Kameralna Filharmonii Narodowej pod dyrekcją Andrzeja Markowskiego. Koncert pod nazwą III Nurt został zarejestrowany w Filharmonii Narodowej dwa dni po Festiwalu Jazz Jamboree, czyli 29 października 1962 roku.

Pianista Marcin Masecki opublikował na swoim profilu w serwisie Soundcloud wybór reinterpretacji wczesnych utworów Szopena nagranych dla Muze-

um Chopina w Warszawie w 2012. Cykl nosi tytuł „SEAN”. Płyta w formie fizycznej ma ukazać się dopiero jesienią. **Nagrań można posłuchać tu »**

12 marca ukazała się płyta długoletniego członka zespołów Diany Krall i Chrisa Bottiego, uczestnika sesji nagraniowej uhonorowanej Grammy płyty Paula McCartneya *Kisses on the Bottom*, basisty Roberta Hursta zatytułowana *BoB: A Palindrome*. Materiał na płytę został nagrany w październiku 2001 roku z udziałem znakomitych muzyków: Branforda Marsalisa, Roberta Gaspera, Benniego Maupina, Marcusa Belgrave'a, Jeffa „Tain” Wattsa i Adama Rudolpha. Niektóre kompozycje zostały napisane już w 1985 roku. Jednak do tej pory nie było okazji, żeby ten materiał został wydany. Album *BoB: A Palindrome* to czwarte wydawnictwo jego własnej wytwórni Bebob.

12 marca ukazał się album kubańskiego muzyka Pedrito Martíneza zatytułowany *Rumba de la Isla*. Na krążku znalazły się pieśni znane z interpretacji ikony flamenco hiszpańskiego śpiewaka Camaróna de la Isla. W nagraniu płyty, na której Martínez łączy kubańskie rumbę z tradycyjnym flamenco, towarzyszą mu znakomici hiszpańscy, kubańscy i nowojorscy muzycy: gitarzysta Niño Josele, grający na cajon Piraña, basista John Benítez, skrzypek Alfredo de la Fé, grający na cajon Román Díaz oraz wokaliści Xiomara Laugart i Abraham Rodriguez.

12 marca wytwórnia Smalls wydała debiutancki krążek saksofonowego duetu bliźniaków Petera i Wille Andersonów zatytułowany *Correspondence*. Na płycie zarejestrowano po 3 kompozycje braci oraz takich mistrzów, jak: Bud Powell („I'll Keep Loving You”), Cole Porter („Get Out of Town”), Dizzy Gillespie („Shaw Nuff”) i Thad Jones („Slipped Again”). W nagraniu braciom towarzyszy sekcja w składzie:

pianista Kenny Barron, basista Ben Wolfe i perkusista Kenny Washington. **Tu można wysłuchać tytułowego utworu »**

15 marca ukazała się piąta płyta grającego fusion basisty i keyboardzisty Gino Fotiego zatytułowana *Xenosonic Journeys*. Znalazło się na niej sześć dwuczęściowych suit granych głównie na dwie gitary basowe. Fotiemu w niektórych utworach towarzyszą gitarzysta Dave Kulju, perkusista Massimo i wokalista Sri Sastry. Płytę wydała wytwórnia Net Dot Music, Inc. w nakładzie 240 numerowanych egzemplarzy. **Fragmentów nagrań można posłuchać na stronie internetowej artysty »**

19 marca ukazał się zapis koncertu Milesa Davisa z towarzyszeniem Quincy'ego Jonesa i the Gil Evans Orchestra, który odbył się 8 lipca 1991 r. na Montreux Jazz Festival. Wydawnictwo zatytułowane *Miles Davis with Quincy Jones and the Gil Evans Orchestra Live at Montreux 1991*, na którym znajduje się 13 utworów, jest dostępne w formatach DVD, Blu-Ray. To był ostatni występ Davisa na Festivalu w Montreux. W koncercie, obok trębaczka, wystąpili: saksofonista Kenny Garrett i trębacz Wallace Rooney. Quincy Jones dyrygował the Gil Evans Orchestra i the George Gruntz Concert Jazz Band z towarzyszeniem trębaczka Benny'ego Bailey'a, basisty Carlesa Benaventa i perkusisty Grady'ego Tate'a.

19 marca wytwórnia Fania Records wydała podwójny album zatytułowany *Elements Of Life Eclipse* zrealizowany w ramach orkiestrowego projektu DJa, producenta i kompozytora Louiego Vegi. Na pierwszym krążku znalazło się 17 nowych utworów formacji Elements Of Life utrzymanych w stylistyce afrobeat, jazz, latin, r&b, gospel, soul, blues, brazilian i world music poddanych obróbce przez Louiego Vegę. Na drugim zarejestrowano 33 minutowy ko-



łaż zatytułowany „EOL Soulfrito”, będący swoistym hołdem dla wytwórni Fania. Na kolaż złożyły się remixy i autorskie interpretacje klasycznych kompozycji Fanii w wykonaniu formacji Elements Of Life. Dysk uzupełnia 6 bonusowych ścieżek.

19 marca ukazała się płyta kompozytora i bandleadera Anthony’ego Brankera zatytułowana **Uppity**. Wydany przez Origin Records album jest drugim krążkiem nagrany przez sextet Word Play, w którego składzie znaleźli się: tenorzysta Ralph Bowen, puzonista Andy Hunter, trębacz Eli Asher, pianista Jim Ridl, basista Kenny Davis, perkusista Donald Edwards oraz wokalistka Charmaine Lee. Centralnym punktem płyty jest kompozycja zatytułowana „Ballad for Trayvon Martin”, do której skomponowania zainspirowało Brankera zabójstwo 17-latka w lutym 2012 roku. Kompozycja dedykowana jest w hołdzie wszystkim ofiarom nienawiści rasowej.

W okolicach równonocy wiosennej ECM wypuściła na rynek kilka nowości: nagrany w 2006 roku płytę **Quercus** trio, które tworzą: angielska wokalistka June Tabor, zaangażowaną do tego projektu przez walijskiego pianistę Huwa Warrena oraz lider formacji Food, saksofonista Iain Ballamy. To pierwsza płyta formacji, ale istniejące od siedmiu lat trio stale rozwija swój język muzyczny. Drugą z wydanych płyt jest nagrany w lutym ubiegłego roku krążek zatytułowany **Third Reel**. To debiutancka płyta szwajcarsko-włoskiego trio, które tworzą utalentowani improwizatorzy i kompozytorzy: saksofonista Nicolas Masson, gitarzysta Roberto Pianca i perkusista Emanuele Maniscalco. Na albumie znalazło się 16 ekspresyjnych kompozycji.

2 kwietnia ukazał się nowy album pianisty Geralda Claytona zatytułowany **Life Forum**. W nagraniu pierwszego krążka dla Concord Jazz liderowi, obok

jego trio w składzie: basista Joe Sanders i perkusista Justin Brown, gościnnie towarzyszyli saksofoniści Logan Richardson i Dayna Stephens, trębacz Ambrose Akinmusire, wokalistka Gretchen Parlato i wokalista Sachal Vasandani oraz poeta Carl Hancock Rux. Na krążku znalazło się 12 autorskich kompozycji pianisty, które wypływają z jego życiowych doświadczeń, w szczególności związanych z miłością i odmianami kolei losu. Intencją muzyka „było, aby te bardzo osobiste kompozycje stały się bazą, na której cudownie kreatywni muzycy będą mogli wyrazić siebie w duchu wolności, otwartości umysłu i harmonii. Wszystkie nasze życiowe doświadczenia i kontakty stwarzają nam szansę do rozwijania tolerancji, miłości, szczerości, współczucia i akceptacji. Osobiście dla mnie tworzenie tego albumu było nadzwyczajną okazją do rozwoju.”

Fragmentów płyty można odsłuchać tu »

3 kwietnia wytwórnia Leo Records wyda trzy nowe płyty saksofonisty Ivo Perelmana. Jedną w duecie i dwie z różnymi kwartetami. Na wszystkich trzech saksofoniście towarzyszy pianista Matthew Shipp. To nie pierwszy raz, kiedy Perelman wydaje trzy płyty jednego dnia. Poprzednio taka sytuacja miała miejsce ubiegłej jesieni. Krążek zatytułowany **The Art Of The Duet, Volume One** został nagrany przez Perelmana z Mathew Shippem. Album **The Edge** z kwartetem, który, obok saksofonisty i pianisty, tworzą basista Michael Bisio i perkusista Whit Dickey. Natomiast na płycie **Serendipity** można usłyszeć basistę Williama Parkera i perkusistę Geralda Cleavera. Saksofonista od 1989 roku wydał ponad 50 płyt firmowanych własnym nazwiskiem.

6 kwietnia ukaże się nowy album wschodzącej gwiazdy trąbki Carlosa Redmana zatytułowany **Not Your Classic**. Na albumie, którego produkcji podjął się wielokrotny zdobywca Nagrody Gram-

my Alessandro Perrota, trębacz ze swoim kwintetem Chemistry zarejestrował zarówno odświeżone standardy (m.in. utwór Eddiego Harrisa „Cold Duck Time”), jak i autorskie kompozycje. Płyte wyda własna wytwórnia Redmana Brown Eyes Records.

Zobacz zapowiedź albumu »

9 kwietnia nakładem firmy EMI ukaże się płyta Karo Glazer zatytułowana **Crossing Project**. Do realizacji projektu kompozytorka, aranżerka, wokalistka i producentka zaprosiła swoich licznych przyjaciół z różnych zakątków świata: Mike’a Sterna, Larsa Danielssona, Johna Taylora, Klause Doldingera, Tomasa Sancheza, Marka Napiórkowskiego, Krzysztofa Ścierańskiego i Andrzeja Olejniczka. Materiał został nagrany z towarzyszeniem kwartetu smyczkowego filharmonii monachijskiej. Na płycie znajdzie się 10 premierowych kompozycji mieszczących się w szeroko pojętym contemporary jazz w wokalnym wydaniu. Płyta – poza partiami z udziałem Mike’a Sterna – została nagrana akustycznie. Podstawowym instrumentem na płycie jest wokal Karo Glazer, który stanowi w wielu przypadkach trzon utworu. Karo stosuje głos we wszelkich możliwych technikach. Jest scat, mouth percussion, niezliczone harmonie, a nawet śpiew klasyczny. **Płyte promuje singiel**

„The Magic Of Life” »

9 kwietnia pianista John Medeski po dwóch dekadach gry w znakomitym trio Medeski Martin & Wood wyda swoją debiutancką solową płytę. Krążek zatytułowany **A Different Time** ukaże się nakładem wytwórni Okeh. Muzyka, która znajdzie się na krążku – a będą to głównie kompozycje Medeskiego uzupełnione jednym utworem autorstwa Williego Nelsona – znacząco odbiega od tego, co znają fani MM&W. Jest bardziej refleksyjna i medytacyjna. Jak twierdzi pianista, ma oddawać klimat jego solowych koncertów.

15 kwietnia wytwórnia Cafe Pacific Records wypuści na rynek debiutancką płytę wokalisty Jeffrey’a Gimble’a zatytułowaną **Beyond Up High**. Gimble jest synem saksofonisty i bandleadera Maynarda Gimble’a. Na płycie znajdują się zarówno standardy: „Sweet and Lovely”, „It Only Happens When I Dance With You” czy „All the Things You Are”, kompozycje Oscara Browna Jr., Antonio Carlosa Jobima, Irvinga Berlina, Chicka Corei i jeden utwór skomponowany przez wokalistę we współpracy z producentem płyty Markiem Winklerem. W pracach nad płytą uczestniczył także pianista i aranżer Tamir Hendelman.

20 kwietnia ukaże się kolejna z serii płyt z nieznanymi nagraniami Jerzego Milliana. Po krążku **When Where Why** GAD Records wydaje krążek zatytułowany **Blues for Praha**. Jesienią 1965 roku Jerzy Milian podbił Pragę. Jego występ w Lucernie z towarzyszeniem orkiestry Gustava Broma stał się sensacją Praskiego Festiwalu Jazzowego. Ślady krótkiej, ale owocnej współpracy Milliana z orkiestrą zostały zebrane właśnie na **Blues for Praha**. Znalazły na niej studyjne nagrania z października 1965 roku, zarejestrowane z gościnnym udziałem amerykańskiego trębacza Teda Cursona (znanego w Polsce za sprawą nagrań z Andrzejem Trzaskowskim) oraz trzy unikatowe nagrania live, zarejestrowane w lutym 1966 roku w Brnie.

23 kwietnia ukaże się pierwsza koncertowa płyta pianisty i kompozytora Edwarda Simona i jego trio, które tworzą basista John Patitucci i perkusista Brian Blade. Album będzie nosił tytuł **Live In New York at Jazz Standard**. Trio gra ze sobą od prawie dekady i w tym czasie wydało dwa studyjne albumy: **Unicity** (CAM Jazz, 2006) i **Poesia** (CAM Jazz, 2010). Materiał na **Live In New York at Jazz Standard** został zarejestrowany 18 i 19 grudnia 2010 roku tuż po ukazaniu się krążka **Poesia**, w nowojorskim Jazz Standard.



6 maja ukaże się płyta formacji Jaga Jazzist nagrana z udziałem działającej w Cambridge orkiestry kameralnej Britten Sinfonia. Materiał, który ukaże się na krążku zatytułowanym Jaga Jazzist Live With the Britten Sinfonia to zapis wspólnego koncertu obu formacji jaki dały one w Oslo latem ubiegłego roku. Jeśli chodzi o repertuar, to przeważają utwory znane z poprzednich płyt norweskiej formacji: The Stix, What We Must i ostatniej studyjnej z 2010 r. One-Armed Bandit. Zarejestrowano także jedną kompozycję specjalnie napisaną na tę okazję – „Prungen”.

7 maja wytwórnia Nonesuch Records wyda nową płytę saksofonisty Joshu'y Redmana zatytułowaną Walking Shadows. Album, na którym znajdzie się 12 ballad, to pierwsza płyta Redmana nagrana z towarzyszeniem orkiestry. Producentem płyty jest wieloletni współpracownik saksofonisty, pianista Brad Mehldau. Trzon zespołu, który wziął udział w nagraniu stanowią Mehldau, Larry Grenadier i Brian Blade, zaś orkiestrą dyryguje Dan Coleman. Na płycie znalazły się kompozycje autorstwa zarówno lidera, jak i Mehldau'a, ale także takich „spółek kompozytorskich”, jak: John Mayer i Pino Palladino, Kern i Hammerstein, Lennon i McCartney. **Posłuchaj kompozycji „Final Hour”. »**

10 maja na sklepowe półki trafi płyta formacji El Greco zatytułowana *Sing Cuckoo*. El Greco to projekt muzyczno-literacki krakowskiego pianisty i kompozytora Joachima Mencla. Na płycie znajdzie się 10 utworów, w tym 8 kompozycji autorstwa Mencla, do których warstwę słowną stanowi poezja Cypriana Kamila Norwida, Kazimierza Przewy-Tetmajera, Emily Dickinson, Jana Kochanowskiego i Oskara Wilde'a oraz staroangielska wersja pieśni „Kukułeczka kuka”. Całość dopełniają utwory instrumentalne – kompozycja Gila Evansa „La Nevada” i dzieło zespołu „North Dakota”. Jak mówi lider: „Muzyka El Greco jest

syntezą różnych stylów – chillout, drum'n'bass, r&b, jazz, rock. Podstawą jest umiejętność poruszania się w tych stylach. (...) Grając jazz, wkładamy w jego ramy nasze zainteresowania, nasze dziedzictwo i ta koncepcja jazzu – żywego organizmu, do którego możemy dodawać swoją *nutę*, jest bardzo pojemna. (...) Odczytuję muzykę w rytmie i akcentach tekstu. Ta poezja, którą wybrałem, w moim odczuciu miała już swoją melodię. Moim zadaniem było jedynie odkrycie jej i ubranie w dźwięki, harmonię, rytm i formę.” W nagraniu płyty, obok lidera na organach Hammonda, Rhodesie i fortepianie, wzięli udział: wokalista Jorgos Skolias, Dj Krime, basista Andrzej Świąś i perkusista Harry Tanscheck. **Tytułowego utworu z płyty można posłuchać tu »**

28 maja wytwórnia Blue Note wyda nową płytę trębacza Terence'a Blancharda. Krążek zatytułowany *Magnetic*, to pierwsze wydawnictwo firmowane przez trębacza od czasu ukazania się dobrze przyjętego albumu *Choices* w 2009 roku. Płyta została nagrana przez kwintet Blancharda, który obok lidera, tworzą: saksofonista Brice Winston, pianista Fabian Almazon, basista Joshua Crumbly i perkusista Kendrick Scott. Gościnnie w nagraniu wzięli udział znakomici muzycy: legendarny basista Ron Carter, saksofonista Ravi Coltrane i gitarzysta Lionel Loueke. Na *Magnetic* znajdzie się 10 kompozycji autorstwa trębacza, jak i pozostałych członków zespołu.

28 maja ukaże się płyta laureatki Thelonious Monk International Jazz Vocals Competition Winner z 2010 roku, wokalistki Cécile McLorin Salvant zatytułowana *WomanChild*. W nagraniu wokalistce towarzyszyli: pianista Aaron Diehl, basista Rodney Whitaker, perkusista

Herlin Riley i gitarzysta James Chirillo. Płytę wyda wytwórnia Mack Avenue.

9 i 10 września 2011 roku w Gnieźnie gitarzysta Marek Raduli obchodził jubileusz 30-lecia działalności artystycznej z formacjami: Laboratorium, kwartetem Zbigniewa Jakubka, The Colours oraz PiR Project. Dokumentalny zapis zagranych wtedy czterech koncertów znalazł się w filmie pt. *Wielka improvizacja* autorstwa Huberta Gorczyca. Zdjęcia: Hubert Gorczyca, Paweł Mitrus oraz Grzegorz Filipiak, mastering dźwięku Jarosław Gołofit. **Film można**

obejrzeć tu »

Nowości Motema Muse. W najbliższym czasie nakładem tej nowojorskiej wytwórni ukażą się: drugi krążek uznanej kompozytorki i wokalistki Rondi Charleston zatytułowany *Signs of Life*. Album został nagrany z udziałem znakomitych muzyków: gitarzysty Dave'a Strykera, pianisty Brandona McCune'a, basisty Eda Howarda, perkusisty Clarence'a Penna, perkusjonalistki Mayry Casales, harmonijkarza Gregoire'a Marena i saksofonisty Teda Nasha. Więcej

o płycie znajdzie w tej krótkiej zapowiedzi »

Kolejną z zapowiadanych płyt jest krążek trio wirtuoza pianistki Eldara Djangirova zatytułowany *Breakthrough*. Pianiście w nagraniu towarzyszą Armondo Gola i Ludwig Afonso. Pochodzącego z płyty **utworu „Point of View Redux” możemy**

posłuchać tu » Album wirtuoza basu Charnetta Moffetta *The Bridge. Solo Bass Works*. To pierwsza autorska płyta muzyka, który ma w swoim dorobku współpracę z takimi artystami, jak: McCoy Tyner, Stanley Jordan, Melody Gardot, and The Manhattan Jazz Quintet. Na krążku znalazło się 20 kompozycji.

Tytułowej można posłuchać tu » Debiut perkusisty, producenta i conceptualisty Jaimeo Browna zatytułowany *Transcendence* z udziałem jego ulubionych saksofonistów: JD Allena, Chrisa Sholara i jedynej w swoim rodzaju pianistki Geri Allen.

(rs)



Coherence Quartet – *Coherence*

Najważniejsze jest to, co zespół robi po temacie

Z JazzPRESS-em rozmawiają saksofonista Łukasz Kluczniak i basista Marcin Lamch.

Ryszard Skrzypiec: Kilka tygodni temu wyszła debiutancka płyta kwartetu Coherence Quartet zatytułowana *Coherence*. Na waszej stronie internetowej www.coherencequartet.strefa.pl można przeczytać „Po latach współtworzenia różnych projektów muzycznych z udziałem najwybitniejszych artystów, saksofonista Łukasz Kluczniak, kontrabasista Marcin Lamch, pianista Robert Jarmużek stworzyli zespół, w którym nie goszczą, a są domownikami.” Czy i zespół, i płyta to wyraz swoistego „buntu sidemanów”, którym zachciało się grać własne rzeczy? Jak doszło do powstania zespołu?

Marcin Lamch: Określenie sideman zwykle kojarzy mi się nie za dobrze. Gramy razem z Łukaszem już od kilkunastu lat. Kiedyś mieliśmy zespół KaPeL Trio, czy Kapela Trio, później trochę z tą działalnością żeśmy odpuścili, graliśmy z różnymi muzykami, między innymi Yaniną Iwańskim. Jednak w pewnym momencie wróciła ochota do takiego grania jakiego słysząc na płycie. Największą inicjatywą, żeby stworzyć zespół, który coś takiego zagra wykazał się Łukasz. I zapytał mnie co o tym sądzę i czym bym w tym nie zagrał. Ja się strasznie ucieszyłem i powiedziałem, że będę grał. Więc dobraliśmy resztę chłopaków. Czy to jest jakiś „bunt sidemanów”? Nie, to raczej jest wyraz naszej potrzeby. Bo fajnie jest grać z różnymi ludźmi. I można



bardzo wielu rzeczy dowiedzieć się – jak należy coś robić, czy jak czegoś nie robić. Ale przychodzi taki moment – o ile taki moment w ogóle przychodzi, bo przecież nie ma niczego złego w tym, jeśli ktoś spełnia się w graniu u kogoś, czyli realizując czyjąś wizję muzyczną – tak jak w tym przypadku, że potrzeba stworzenia zespołu, który będzie grał to, co on w tej chwili gra, zrodziła się naturalnie.

Łukasz Kluczniak: Wtrącę się tu Marcinowi. Przyszedł taki moment, że szukałem pianisty, jeszcze przed kwartetem. Szukałem pianisty, który wklei się w całości w naszą z Marcinem wizję zespołu. Zupełnie nieoczekiwanie pojawił się Robert Jarmużek. Na koncercie z Chromosomos i po tym koncercie zapytałem go czy nie chciałby grać w kwartecie. Zgodził się. I tak właśnie powstał zespół.

RS: W zespole, przynajmniej słysząc go na płycie, jest jeszcze Grzegorz Masłowski.

ML: Grzesiu pojawił się w zespole ostatni. W pierwszej odsłonie i nadal duchowo, mentalnie, a pewnie zdarzy się, że fizycznie jest z nami genialny perkusista Arek Skolik. Z różnych przyczyn to Grześ nagrał tę płytę i to Grześ gra z nami koncerty, i on jest członkiem zespołu, natomiast Arek pozostaje członkiem naszego zespołu, choć nie nagrał na płycie nawet jednego dźwięku. Jest to taka postać, taki muzyk i taki człowiek, że jest stale obecny w zespole Coherence. I na okładce są dla niego nasze podziękowania. Grześ też został „znaleziony” przez Łukasza i Łukasz mi o nim powiedział, powiedział, że to jest wspaniały perkusista. I jak zwykle miał rację. Tak to Grześ dopełnia całości.

RS: Jak słyszę trochę Was to moje pytanie sprowokowało, ale takie było moje zamierzenie, choć interesuje mnie skąd pomysł na taki zespół?

ML: W oczach opinii publicznej może tak wyglądać, że wyskoczyliśmy znikąd, ale cały czas robiliśmy, graliśmy swoje. Więc w tym momencie bardzo się cieszę, że doszło do tego, że nagraliśmy płytę. Mówienie o sidemenstwie to fajna prowokacja, choć trzeba przyznać, że granie, terminowanie u kogoś to jest dobra szkoła. Oczywiście są ludzie, którzy od początku grają swoje, dobierają sobie zespół i trzymają się tego od początku. Natomiast druga droga prowadzi przez terminowanie u różnych ludzi. Mnie to osobiście odpowiada i uważam, że bardzo wielu rzeczy się nauczyłem i mam nadzieję, że jeszcze będę miał okazję się nauczyć. Grając u kogoś można się dowiedzieć wielu fajnych rzeczy, ponieważ komunikujesz się z różnymi ludźmi, obracasz się w zróżnicowanym środowisku.

A jednocześnie muzyka tych ludzi jest różnorodna. I to pomaga sprecyzować swoje oczekiwania wobec własnej drogi muzycznej. Jeżeli poznajesz wiele rzeczy to naturalnie zaczyna się rodzić odpowiedź na pytanie „co mnie w tym wszystkim interesuje?” I w końcu prowadzi do powstania takiej płyty.

ŁK: Następuje pewna selekcja w sensie muzycznym. Także dodając do tego, co Marcin mówił.

RS: Czy z tej opowieści można wysnuć wniosek, że jesteście liderami zespołu?

ML: Zespół nazywa się Coherence, a to słowo oznacza jednomyślność. I na pewno jest tak, że iskrą, zapalnikiem tego, co się wydarzyło jest Łukasz. A ponieważ z Łukaszem znamy się już ładną chwilę, więc naturalną kolejną rzeczą okazało się, że byłem drugą osobą, a raczej pierwszą, która się dowiedziała o zespole, ale nie sądzę, żeby to powodowało, że zespół ma konstrukcję lider/liderzy – reszta. Na pewno jest tak, że zespół, którym się nikt nie zajmuje to za daleko nie popłynie. Łukasz i ja poczuwamy się w obowiązku, żeby troszczyć się o to dziecko muzyczne. natomiast ja nie uważam, że w tym zespole występuje zjawisko bycia liderem. Wszyscy jesteśmy razem i na tej zasadzie, żeśmy się dobrali. Gramy z tymi ludźmi, którzy zostali zaproszeni do zespołu i mam nadzieję, że im to odpowiada, więc jest to „utopijna forma demokracji” (*salwa śmiechu po obu stronach mikrofonu*).

RS: „Utopijna forma demokracji” powiadasz. Czy to w zespole się sprawdza?



Pod naszym patronatem

ML: Pożyjemy zobaczymy.

RS: Jednak to Wy jesteście autorami wszystkich kompozycji na płycie. Czy piszący materiał członek zespołu nie jest naturalnym liderem?

ŁK: Akurat tak się złożyło, że popełniłem parę kompozycji i one zostały nagrane, ale chciałbym, aby w przyszłości to było bardziej wyrównane. Może Robert napisze jakieś dźwięki i my będziemy je grać. Akurat tak wyszło. Zobaczmy co będzie dalej.

ML: Od samego początku naszym celem było jak najszybciej w tym składzie zrealizować płytę, a doboru tematów dokonywaliśmy z tego co już mieliśmy. Wybraliśmy te, które najbardziej pasowały. Wybraliśmy te, bo najważniejsze jest to, co zespół robi po temacie. Chodziło o to, żeby nagrać płytę, żeby ona się ukazała i trafiła do słuchaczy. To chyba jedyny powód, że na płycie są kompozycje Łukasz i moje. Co będzie w przyszłości to zobaczymy, ale na pewno nie jest tak, że tylko my dwaj piszemy dla tego zespołu.

RS: Płyta ukazała się niedawno, zaś nagrana została we wrześniu 2011 roku. Dlaczego tyle czasu upłynęło pomiędzy nagraniem a wydaniem?

ML: Czy ja wiem? Dla mnie to jest piękne i budujące, bo przy pomocy Tadeusza Pałki, który jest naszym menadżerem, ta płyta poszła nam „z górki”, chociaż baliśmy się tej organizacyjnej strony. Dobrze to nagrać to dopiero początek. Później trzeba znaleźć jakieś fundusze i tak dalej, i tak dalej. I nagle okazało się, że w momen-

cie, kiedy nagraliśmy ten materiał, czyli zrobiliśmy pierwszy krok, cała reszta zrobiła się sama. Zwróciło się do nas bardzo szybko wydawnictwo Multikulti, które wydaje ostatnio całą masę świetnych rzeczy i mam nadzieję, że nie będziemy przykrym wyjątkiem w katalogu tej wytwórni. Tadzio znalazł jakichś wspaniałych ludzi, którzy dali trochę pieniędzy na jakieś dodatkowe działania związane z wydaniem płyty. To, że upłynęło tyle czasu to naturalny proces związany z kwestiami organizacyjno-logistycznymi. Trudno mówić o opóźnieniu. Wydanie płyty, zaprojektowanie okładki i inne tego typu sprawy zajmują nieco czasu i skłamałbym, gdybym powiedział, że byliśmy spokojni. Ostatnich kilka miesięcy spędziliśmy jak na szpilkach, bo chcieliśmy, żeby ta płyta ukazała się jak najszybciej, ale jest właśnie teraz.

RS: Można więc powiedzieć, że trafiliście z wydaniem płyty we właściwy moment?

ML: Tak, cokolwiek to oznacza.

RS: Zalicza się Was do muzyków grających głównie mainstream. Czy to, co zarejestrowaliście na płycie to manifestacja tego Waszego podejścia do muzyki, czy może pokusiliście się o jakieś eksperymenty, poszukiwania?

ŁK: Nie lubię etykiet i nie my je sobie przypisujemy, a że zostały nagrane takie, a nie inne utwory. O tym mówiliśmy już wcześniej. Czy ja wiem czy to jest zespół mainstreamowy? Ja bym się nie szufladkował. Ktoś kiedyś tak napisał, ale może będziesz miał okazję być na naszym

koncercie, to się przekonasz, że to co gramy nie do końca się mieści w jazzie środka (jeśli tak można powiedzieć).

RS: A Wy co czujecie?

ML: Przyznam, się, że jeśli by wybierano najbardziej mainstreamowego bassistę świata to chyba bym się nie załapał do tego zestawienia. Muzyka wyszła naturalnie. Nie zastanawialiśmy się jak to ma brzmieć. Choć z drugiej strony, myślę, że lepiej, jeśli twierdzi się, że zespół gra „coś” niż gra niewiedomo co. My chcieliśmy, żeby muzyka była świeża, energetyczna i autentyczna. Jeżeli to się wpisuje w idiom jazzowej muzyki mainstreamowej to super, ale to nie oznacza, że my jesteśmy zespołem mainstreamowym. Po prostu zagraliśmy to, co chcieliśmy zagrać, no i wyszedł nam mainstream. Co nam wyjdzie następnym razem to zobaczymy.

RS: Być może kilka tygodni po ukazaniu się debiutanckiej płyty rozwodzenie się nad tym, co wyjdzie następnym razem...

ML: Tu wejdę ci w słowo, bo Łukasz odgraża się, że ma już siedem nowych utworów na następną płytę...

RS: To dobra wiadomość. To znaczy, że jest twórczy i nie zamierza osiąść na laurach po wydaniu płyty. Natomiast jaka jest szansa, żeby materiał z *Coherence* usłyszeć na żywo?

ŁK: W tej chwili organizujemy koncerty i mam nadzieję, że w maju zagramy w Śląskim Jazz Clubie w Gliwicach. Więc jeśli tylko będziemy

coś wiedzieć to zapraszamy Ciebie i czytelników już. Mamy nadzieję, że to będzie pierwszy z cyklu koncertów. Walczymy o festiwale, kluby, domy kultury. Wiadomo, że nie jest łatwo.

RS: Pewnie ograniczeniem jest fakt, że jesteście zaangażowani w inne projekty i gra w *Coherence Quartet* to nie jedyna rzecz, której się poświęcacie, więc i to wpływa na liczbę koncertów.

ŁK: Masz rację, bo do tej pory to tak wyglądało. Natomiast ja bym nie chciał, bardzo bym nie chciał, żeby to był zespół przy okazji. Zespół nie powstał po to, żeby być takim kącikiem, w którym uprawiamy swoje hobby, ale żeby stał się czymś ważnym. Tak jest ważny dla mnie muzycznie, żeby stał się ważną pozycją w moim kalendarzu. Jest to dla mnie formacja priorytetowa i nie chciałbym, żeby inne rzeczy, które robię przysłoniły mi ją. Natomiast chciałbym mieć takie zmartwienie, że mam miesięcznie osiem koncertów z *Coherencem* i osiem z kimś innym. Ale to wtedy będę się martwił.

RS: Takie zmartwienia są realne?

ML: Myślę, że tak.

ŁK: Trzeba wierzyć i być zdeterminowanym. Ostatnimi czasy polska scena muzyczna z taką muzyką lub podobną bardzo się rozrosła. Jest cała masa dobrych zespołów. I wypadałoby znaleźć sobie tam jakieś miejsce. Chwilkę czasu to pewnie zajmie, ale jesteśmy zdeterminowani i dobrej myśli.

RS: Moje obserwacje również potwierdzają, że od



Pod naszym patronatem

strony podażowej mamy do czynienia z wysypem nowych formacji, natomiast pytanie jak jest ze stroną popytową? Czy jest gdzie i dla kogo grać?

ML: W moim odczuciu tak, ale nie oszukujmy się. Na pewno nie jest to szalenie łatwe. To nie jest niemożliwe, ale nie jest to łatwe. I trzeba się nad tym troszeczkę napracować. W moim odczuciu w Polsce nie ma rynku muzycznego z prawdziwego zdarzenia. I choć jest cała masa miejsc gdzie można grać, to trzeba je znaleźć. Tym nie mniej można grać swoją muzykę i zaistnieć. Nie do końca bym się tej Polski kurczowo trzymał. Ponieważ nie wstydzę się tego, co nagraliśmy, więc warto wykraczać z tym materiałem poza granice naszego pięknego – skąd inąd – kraju. Aczkolwiek tutaj mieszkamy, tutaj żyjemy, więc to jest najbliższe nasze otoczenie, gdzie możemy grać.

RS: Macie menedżera, co nie jest regułą w jazzowym świecie.

ŁK: Jest to człowiek, z którym się znamy długo, może nawet piętnaście lat. Jest to nasz przyjaciel, przyjaciel zespołu, fan naszej muzyki, co jest niezwykle ważne. I po prostu stał się naszym menadżerem. Tak jak Marcin wcześniej też powiedział, jak teraz z perspektywy czasu to oceniam, to on wykonał dużą robotę, dzięki której ta płyta zaistniała. Tyle na temat Tadka.

RS: Wielu muzyków ponosi dotkliwe porażki w sferze marketingowej, ale nie są w stanie skutecznie zajmować się wszystkim: komponowaniem, tworzeniem zespołu, wydawaniem swoich płyt, organizacją tras. Brakuje czasu, pomysłów, umiejętności.

Promowanie zespołu jest taką samą sztuką jak komponowanie i nagrywanie płyt.

ŁK: Ja uważam, że muzycy nie powinni się tym zajmować. Muzycy powinni się zajmować graniem i tym co tyczy się dźwięków. Podziwiam muzyków, którzy potrafią grać i wypromować swój zespół. To jest niesamowite i chylę czoła.

RS: Przyznaliście się, że Łukasz już napisał siedem kompozycji na następną płytę. Jak widzicie przyszłość swojego zespołu?

ŁK: Chcielibyśmy dużo grać. Chcielibyśmy dotrzeć z naszymi dźwiękami do jak największej liczby osób. To jest przyszłość.

ML: Nie zamierzamy się cofać. Jakoś tak nie planuję swojej przyszłości. Staram się trzymać aksjomatów i jedziemy dalej. Chcielibyśmy po prostu rozpedzić ten zespół, ale nie na cztery światy strony, ale tak, żeby zaczął grać i trzymać to. Zobaczymy ile czasu nam to zabierze.

RS: Dziękuję za rozmowę.

Karo Glazer – *Crossings Project*

Crossings Project to międzynarodowy projekt muzyczny do którego **Karo Glazer**, kompozytorka, aranżerka, wokalistka i producentka zaprosiła swoich licznych przyjaciół z różnych zakątków świata. W gronie wyśmienitych muzyków znalazły się takie nazwiska jak **Mike Stern** – niegdyś grający u boku Milesa Davisa, jeden z trzech najwybitniejszych i najbardziej rozpoznawalnych gitarzystów jazzowych na świecie, **Lars Danielsson** – kontrabasista i wolonczelista o międzynarodowej sławie, **John Taylor** – legenda wytwórni ECM, pianista należący do grona najbardziej wyrafinowanych muzyków w historii jazzu, **Klaus Doldinger** – założyciel słynnej jazzrockowej grupy Passport oraz twórca muzyki filmowej do takich obrazów jak „Neverending Story” czy „The Boat”, **Joo Kraus** – znany młodemu pokoleniu jako założyciel przebojowej grupy Tab Two, oraz meksykański perkusjonalista - **Tomas Sanchez**. W gronie wyśmienitych gwiazd znalazły się również polskie nazwiska takie jak **Marek Napiórkowski**, **Krzysztof Ścierański** i **Andrzej Olejniczak**, a wszystko to w towarzystwie fantastycznego **kwartetu smyczkowego filharmonii monachijskiej**. Jednym słowem crème de la crème współczesnego jazzu – line up marzeń, tworzący niespotykany wcześniej koloryt, którym już teraz interesują się amerykańscy i europejscy krytycy jazzu.

Ostateczne brzmienie to wynik współpracy z **Martinem Waltersem**, amerykańskim producentem muzycznym, wielokrotnym laureatem nagrody Grammy, wcześniej współpracującym



z Terri Lyne Carrington przy „Mosaic Project”, oraz Esperanzą Spalding i grupą Spyro Gyra.

Dzięki nośnym kompozycjom i aranżacjom stworzonym przez Karo Glazer specjalnie na potrzeby projektu *Crossings* udało się połączyć w jednym projekcie muzyków z tak różnych zakątków muzycznej wrażliwości tworząc finalnie niezwykle opowieść. Premiera koncertowa projektu miała miejsce 10 listopada 2012 r. na prestiżowym festiwalu jazzowym Ingolstadter Jazztage w Niemczech, gdzie Karo Glazer wystąpiła u boku takich sław jak Marcus Miller czy Maceo Parker.

Na płycie słuchacz odnajdzie 10 premierowych kompozycji. Płyta nagrana jest w całości akustycznie (jeden wyjątek od reguły stanowi Mike Stern), lecz jej brzmienie jest energetyczne i przestrzenne. Dzięki współpracy z Martinem Waltersem jest płytą audiofilską.

Premiera płyty już 9 kwietnia.

Nadishana – Gorelik *Asymmetric Beauty*

Zarówno Dima Goreli, jak i Vlad Nadishana są znani polskiej publiczności muzycznej nie od dziś. Chciałam napisać „publiczności jazzowej”, ale w przypadku tego duetu artystów, to spora generalizacja. Słuchaliśmy ich między innymi w projektach Krzysztofa Kobylińskiego, a także w kilku różnych składach prezentujących się na Palm Jazz Festival w Gliwicach.

Pierwszy raz mamy okazję zobaczyć i posłuchać autorskiego projektu, muzycznego DVD, oparte wyłącznie o jazzującą muzykę etniczną, reprezentującą korzenie obu twórców. Dodać należy, że to korzenie tkwiące w odległych ziemiach świata. Dima pochodzi bowiem z Izraela, podczas, gdy Nadishana z dalekiej Syberii. Zderzenie kultur odbyło się jednak aksamitnie. Muzycy wykorzystali instrumentarium charakterystyczne dla muzyki ludowej swoich stron rodzinnych: Europy, Azji i tego, co pomiędzy, czyli Środkowego Wschodu. A to instrumentarium przebogate.

Nadishana, jako pasjonat gry na wszystkim, zaprezentował z niesamowitą wirtuozerią, w ciągu trwającego niecałe 80 minut cyfrowego koncertu, aż 12 różnych instrumentów! Duclar, hulusi, futujara, water udu, bansuri, hybrid kaval, irish flute, kalyuka, tsaa, nplaim, jaw harp, już same nazwy są imponujące i pobudzają wyobraźnię. Dima wypadłby przy takiej ilości blado ze swoimi skromnymi dwiema gitarami, ale kto słuchał kiedykolwiek muzyki tego gitarzysty, wie, że to koncentracja jakości samej w sobie. Gore-



Sound Microsurgery Department, Berlin, 2011

lik, artysta współpracujący z takimi muzykami, jak Avishai Cohen czy Max Roach, wprowadza nas w nastrój miękko i śpiewnie, by za chwilę pędzić palcami po gryfie tak, że trudno nadążyć wzrokiem, słuchem i pozostałymi zmysłami. Gorelik i Nadishana zaprosili do współpracy dwóch specjalnych gości. Pierwszy to David Kuckhermann, perkusjonista, podążający za tradycjami wydobywanych dłońmi dźwięków z rejonu Iranu, Indii, Egiptu, Europy, Turcji i Afryki, grający tu na garrahandzie, udu, riqu i djembe. Drugi, to Raphael de Cock, guru młodej muzyki eksperymentalnej, tu w roli woka-

listy o specyficznej, chropowatej barwie głosu, grającego również na khoomei, kargyraa, sygyt i uilleann pipes.

Trudno powiedzieć do kogo adresowana jest płyta (bo tak ją będę nazywać), równie trudno wyobrazić sobie odbiorców, do których adresowana nie jest. To kwintesencja muzyki nastrojowej, wymykającej się gatunkowej kategoryzacji. Jedno z tych rzadkich przedsięwzięć, gdzie dwoje muzycznych indywidualistów tworzy projekt przesycony melodyką, rytmem i spokojną pewnością siebie na miarę talentu, którym są obdarzeni.

Twórcy prowadzą dialog, w którym nie ma miejsca na spory, jest za to spora doza komplementarnego, twórczego uzupełniania się. Artyści harmonijnie płyną z muzyką, pozwalając nam wejść do swojej rzeki i dać się ponieść nurtowi dziesięciu śpiewnych, melodyjnych utworów, tworzących swoistą suitę ethno-jazzową. Ich muzyka wprawia nas, jako odbiorców w nastrój spokojnego rozleniwienia, w którym co chwilę odnajdujemy aranzacyjne i twórcze perełki. Większość kompozycji stworzonych zostało przez Nadishanę, dwa (w tym bonus track) są utworami tradycyjnymi. Wyraźnie słyszalna jest narracyjność dzieła, tworzona zarówno poprzez nietypowe wokalizy, jak i specyficzny rodzaj wydobycia dźwięku. Warstwa melodyczna jest jakby organiczna, żyjąca swoim nieśpiesznym życiem, zatrzymująca nas w biegu, przecząca pogoni dzisiejszego świata, kwitnąca. To płyta do kontemplacji, do walki ze stresem. W lecie chłodzi, w zimie będzie przypominać o ogniu, podsycanym na palenisku.

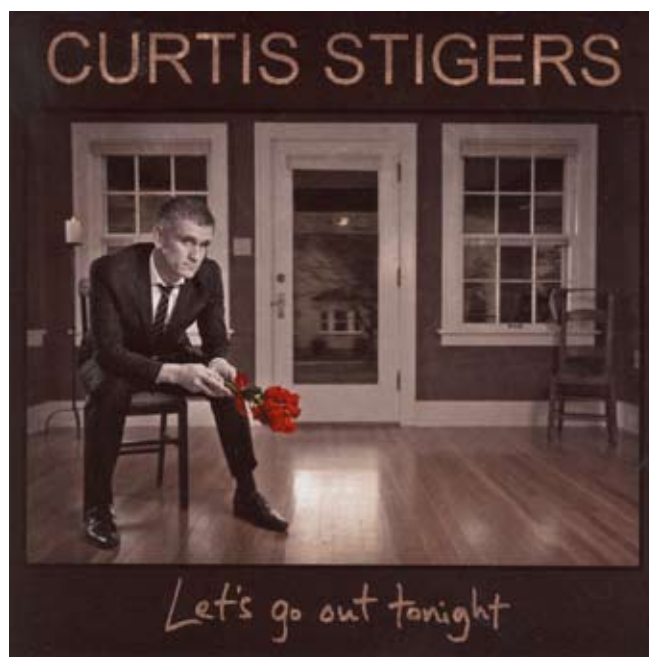
Istotną kwestią jest obraz, który pozwala zwiualizować to, czego najbardziej wybujała wyobraźnia stworzyć nie zdoła. Dwóch, a w porywach czterech spokojnych muzyków, wydobywających przedziwne dźwięki z najbardziej nieprawdopodobnych przyrządów muzycznych, czasem wymykającym się możliwości opisu słowami. Oszczędna, a właściwie znikoma dekoracja tła sprzyjająca kontemplacji. Etniczne elementy stroju muzyków podkreślają charakter całego, eksperymentalnego przedsięwzięcia.

Podsumowując: ta sfilmowana płyta jest nietuzinkowa, śpiewna, melodyjna, nastrojowa, ale odważna. Nowatorska w treści, świeża i choć niezwykle łagodna, to również energetyzująca. Warto słuchać, oglądać, mieć.

Wrażeniami podzieliła się
Grażyna Studzińska-Cavour

Curtis Stigers – *Let's Go Out Tonight*

Początek lat 90. był jednocześnie początkiem obiecującej kariery tego amerykańskiego wokalisty, który stał się błyskawicznie popularny poza Ameryką. Curtis Stigers postrzegany początkowo jako popowy wokalista przeobraził się po latach w jazzowego croonera. Z muzyką związany jest od najmłodszych lat, kiedy to zaczynał swoją przygodę w zespołach bluesowych, a nawet punkowych, do czego przyznaje się otwarcie. Jego zainteresowania muzyczne poszły jednak znacznie dalej, aby je zrealizować musiał nauczyć się gry na saksofonie i klaryniecie. Po ukończeniu wyższej szkoły muzycznej w rodzinnym Boise w stanie Idaho wyjechał do Nowego Jorku i tam rzucając się na głęboką wodę podpisał pierwszy kontrakt z wytwórnią Arista Records, dla której nagrał dwa od razu udane albumy: *Curtis Stigers* (1991) i *Time Was* (1995), które w szybkim czasie stały się multiplatynowymi krążkami. W niemal tym samym czasie jego wersja piosenki „Peace, Love & Understanding” znalazła się na ścieżce dźwiękowej filmu *The Bodyguard*. Soundtrack z tego filmu rozszedł się w ilości 17 mln egzemplarzy. Curtis Stigers, ulubieniec żeńskiej publiczności (przystojniak w każdym calu), zaczął coraz bardziej kierować się w stronę wokalistyki jazzowej. Już jako wokalista jazzowy nagrał album z ciemnoskórym jazzowym pianistą Genem Harrisem i The Doky Brothers. Jego interpretacje jazzowych wersji popowych utworów początkowo były przyjmowane przez krytykę jako udane. Chcąc udowodnić, że potrafi być dobry i w takim repertuarze nagrał kolejny album *Baby Plays Around*, na którym zmierzył się ze stan-



wydawnictwo: Concord Music Group/International KHS Global

dardami jazzowymi. Do Kurta Ellinga jest mu daleko, ale jego talent docenili także inni artyści spoza jazzu tacy jak: Prince, Eric Clapton, Bonnie Raitt, Elton John, Rod Stewart czy Joe Cocker. Producentem najnowszej płyty Stigersa został sam Larry Klein (odpowiedzialny za produkcje wielu wspaniałych jazzowych albumów powstałych w ciągu ostatnich lat). Tym razem Curtis Stigers sięgnął po kompozycje uznanych twórców wywodzących się z kręgu bluesa i country. Otwierający płytę „Things Have Changed” robi na sam początek niezłe wrażenie. Podobnie dzieje się z pozostałymi utworami: kompozycją Davida Poe „Everyone Loves Lovers” (w której kompozytor sam udziela się tu wokalnie), Neila Finna „Into Temptation”, Clyde’a Otisa „This Bitter Earth”, Richarda Thompsona „Waltzing’s For Dreamers”, Hayesa

Carla „Chances Are”, Jeffa Tweedy’ego „You Are Not Alone”. W tych dwóch ostatnich utworach na basie zagrał zamiast Piltcha, Kaveh Rastegar. Poza Curtisem Stigersem śpiewającym i grającym na saksofonie tenorowym w The Village Studios w Los Angeles znaleźli się wypróbowani muzycy – gitarzysta Dean Parks, organista i pianista Larry Goldings, keyboardzista Patrick Warren, perkusista i perkusjonista Jay Bellerose, basista David Piltch i trębacz John „Scrapper” Sneider. Każdy z nich wniósł do tej nowej muzyki Stigersa coś od siebie. Larry Klein, który dba o najdrobniejsze niuanse i tu za dotknięciem swej zaczarowanej dłoni sprawił, że album *Let’s Go Out Tonight* spotkał się z tak dobrym przyjęciem krytyki. Wśród tych 10 utworów znalazła się również countrowa kompozycja Steve’a Earle’a „Goodbye”, a zamyka całość tytułowa kompozycja autorstwa Paula Gerarda Buchanana. W obu przypadkach Stigers pokazał swoją wokalną dojrzałość czy w pełni jazzową? Około jazzową na pewno.

Opr. Andrzej Patlewicz
Oddział PR



fot. Krzysztof Wierzbowski



Zbigniew Jakubek, Bernard Maseli, Nippy Noya – *Back In*

Co się wyprawia, proszę Państwa?! Dzieciola do studia wpuścili! Stuka ten dzieciół, stuka jak w transie, nikogo się nie boi. Ani wilka złego, ani czerwonego kapturka... Grunt to spokój. Tak to właśnie bywa, jak się importowanego dzieciola w polski grunt implantuje. Dziewczeta płaczą, kowboje strzelają do afrykańskich dinozaurów, a pierwsza miłość nie rdzewieje... To w skrócie.

No, ale czego się Państwo spodziewacie, kiedy się spotyka taka trójka muzycznych osobowości: Zbigniew Jakubek, Bernard Maseli i Nippy Noya? Ja osobiście spodziewałam się wszystkiego. I niewiele się pomyliłam.

Leje jak z cebra, wkładam do odtwarzacza *Back In*, a tu słońce! Niebo bezchmurne, lekki wietrzyk... Czary. Z głośników płynie dojrzała, melodyjna opowieść o życiu. Dobrym życiu. Melodia jest tu kluczem, bo dawno już nie słuchałam na jazzowej płycie tylu motywów, które same wpadają w ucho i wyśpiewywać się nakazują. Utwory są nieśpieszne, nie pisane pod kątem dzisiejszych, zabieganych czasów. Wybrzmiewają długo, kilkakrotnie powracając do przewodnich fraz. Płyta jest zapisem koncertu i słuchając jej, czujemy się publicznością raz wielkiej sali koncertowej, raz kameralnego klubu. Nie brak tu energii, charakterystycznej dla spotkania live. Nie brak żywiołowości, która jest cechą charakterystyczną twórców wywodzących się przecież z takich formacji, jak Walk Away. Chce się tańczyć, chce się śpiewać, chce się jechać w nieznaną, chce się... żyć.

Ciekawy, nietypowy skład pozbawiony klasycznej sekcji rytmicznej, bez perkusji i basu, których rolę przejmują keyboard i perkusjonalia, wymusza pewną dyscyplinę. Symulacja partii basu wymaga podziału obowiązków u pianisty. Równie interesująca jest tu rola elektronicznego wibrafonu, balansującego pomiędzy harmonią a rytmem. Jedynie Noya stoi na straży istoty działań własnych instrumentów – rytmu.

W znakomitej większości improwizowane wstępy pokazują przekrój doświadczeń muzycznych i życiowych, które były udziałem mężczyzn z dwóch całkowicie odmiennych kręgów kulturowych, bo choć Nippy Noya od lat już pracuje i tworzy w Europie, to przecież pochodzi z Indonezji, a jego korzenie sięgają Japonii. Jakubek i Maseli, to nazwiska, których ani polskiemu, ani zagranicznemu wielbicielowi jazzu przedstawiać nie trzeba. Nie po raz pierwszy ze sobą grają. Lubią się i rozumieją. To słyszeć. Elitarny klub koneserów. Wspólnym mianownikiem jest z pewnością edukacyjna rola tych gentlemenów sceny. Trio bowiem składa się z wybitnych pedagogów wyższych uczelni, od lat dzielących swój talent między praktyczne występy sceniczne w rozmaitych, światowych składach i opiekę nad młodymi adeptami muzyki. I na tym krążku właśnie uczą nas jak żyć. Wolno, harmonijnie, ze smakiem, w radosnym uniesieniu. Moim ulubionym utworem jest...

Ale co ja Państwu będę opowiadać... Sami posłuchajcie.

GRAŻYNA Studzińska-Cavour



FF Production nr katalogowy CD001



wydawnictwo: Polskie Radio

Polish Radio Jazz Archive – jazzowe archiwalia ocalone od zapomnienia

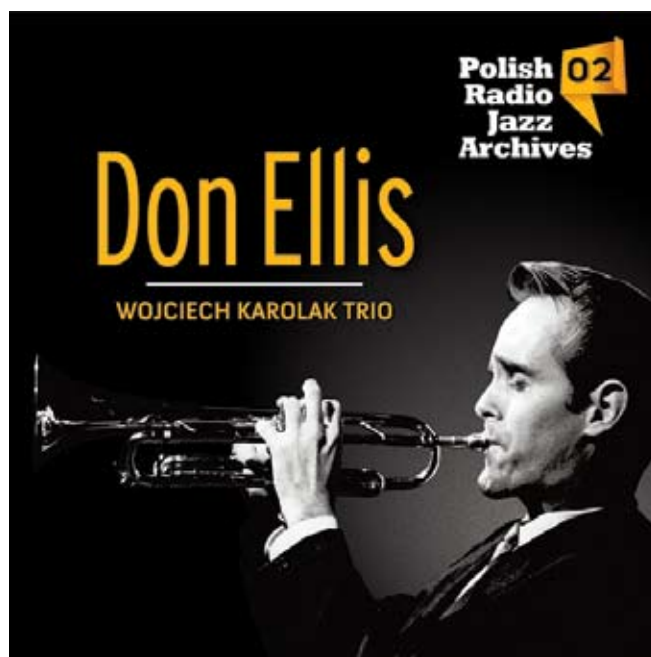
Polskie Radio zapoczątkowało wspaniałą serię płyt, dzięki którym wielbiciele jazzu mają niebywałą okazję do zdobycia unikatowych nagrań amerykańskich Gwiazd Jazzu zrealizowanych w Polsce z udziałem polskich muzyków. Taką serię od lat wydają z myślą o jazz fanach inne europejskie rozgłośnie radiowe – w Niemczech, Francji i Skandynawii. W przepastnych archiwach jazzowych Polskiego Radia znalazły się nagrania znakomitego saksofonisty Stana Getza oraz trębacza Dona Ellisa, które teraz po latach ukazały się jako osobne jazzowe albumy.

Stan Getz / Andrzej Trzaskowski Trio

Pojawienie się Stana Getza w Polsce w tamtych czasach było sporym wydarzeniem. Amerykański saksofonista mający od lat ugruntowaną pozycję coraz częściej koncertował w Europie i Skandynawii. Polski jazz z początkiem lat 60. coraz bardziej rozkwitał, a to dzięki znakomitym muzykom, którzy przyczynili się do jego niebywałego rozwoju. Jednym z nich był Andrzej Trzaskowski – pianista, kompozytor, aranżer, późniejszy muzykolog, pedagog i krytyk jazzowy. Wraz ze swym legendarnym zespołem The Wreckers (Rozbijacze) skutecznie wprowadzał na polską scenę jazzową „modern jazz”. Amerykanie to docenili, zapraszając w 1962 roku The Wreckers Andrzeja Trzaskowskiego na tournée po Stanach Zjednoczonych. Był to pierwszy przypadek, kiedy jazzowy



zespół z Polski i jeden z pierwszych z Europy wyjechał na tak liczne koncerty za ocean. Trzaskowski też jako pierwszy przecierał szlaki grając zarówno jazz nowoczesny, pioniersko próbował również swych sił w tzw. „Trzecim nurcie” i free jazzie. Już w 1958 roku na wzór bitników łączył jazz z poezją. Dwa lata później akompaniował ze swoim triem (Andrzej Trzaskowski – fortepian, Roman Dyląg – kontrabas i Andrzej Dąbrowski – perkusja) podczas polskich koncertów ówczesnemu królowi saksofonu tenorowego Stanowi Getzowi. Do spotkania obydwu muzyków doszło podczas pobytu Stana Getza w Polsce w 1960 roku. Pierwsze nagrania zostały zrealizowane i przedstawione polskiej publiczności podczas koncertu w Filharmonii Narodowej w Warszawie 27 października 1960 roku w ramach 3 Międzynarodowego Festiwalu Jazzowego – Jazz Jamboree’60. Z tego występu na płycie znalazło się 9 niepublikowanych wcześniej kompozycji: Harolda Landa – „Land’s End”, Tommy’ego Wolfa – „Spring Can Realny Hang You Up The Most”, Richarda Rodgersa – „It Never Entered My Mind”, Johnny’ego Greena – „Out Of Nowhere”, Clifforda Browna – „Daahoud”, J.Fred Cootsa – „You Go To My Head”, dwa tematy Jerome’a Kerna „All The Things You Are” i “The Folks That Live On The Hill” oraz Gene’a De Paula – “I’ll Remember April”. Wszystkie kompozycje zostały dość starannie przygotowane i zaprezentowane przed festiwalową publicznością. 4 dni później, dokładnie 31 października 1960 roku muzycy ponownie weszli do Filharmonii Narodowej, aby tym razem zarejestrować materiał już bez udziału publiczności. Dobra, jak na tamte czasy, akustyka w warszawskiej Filharmonii powo-



wydawnictwo: Polskie Radio

dowała, iż jazzmani za wszelką cenę próbowali realizować tam swoje nagrania. Tak doszło też do realizacji nagrań ze Stanem Getzem o której to nocnej sesji krążą do dziś niebawale historie. Te trzy dodatkowe utwory zamieszczone na Polish Radio Jazz Archive (George’a Gershwinia „But Not For Me”, Ray’a Noble’a – „Cherokee” i Eddiego De Lange’a – „Darn That Dream” to utwory z płyty *Stan Getz w Polsce* wydanej przed laty przez Polskie Nagrania na 10-cio calowym winylu. I tu Trio Andrzeja Trzaskowskiego pokazało się z jak najlepszej strony. Każda kompozycja była bardzo przemyślana i to spowodowało, iż po latach słucha się tych nagrań z wielką przyjemnością. Trzaskowski nie dawał się zaszufłakować, był na to zbyt różnorodny w swych pomysłach zarówno aranżacyjnych, jak i kompozytorskich.

Don Ellis / Wojciech Karolak Trio

Don Ellis – amerykański trębacz, lider i kompozytor z dyplomem Boston University był jednym z wybitnych eksperymentatorów lat 60. W drugiej połowie lat 50. grał krótko w big – bandach Charliego Barneta i Maynarda Fergusonsona. Uznanie zdobył w okresie, kiedy znalazł się w Sekstecie George’a Russella, z którym dokonał w 1960 roku szeregu nagrań. Jak wielu muzyków w owym czasie także Ellis uległ modzie na muzykę hinduską, którą traktował bardzo poważnie, co było widoczne w jego kompozycjach w warstwie metro-rytmicznej. W 1961 roku wraz ze swoim triem występował regularnie w Village Vanguard. Jego nazwisko zaczęło powoli świecić wielkim blaskiem. Rok później przyjechał do Europy na serię koncertów i to właśnie wtedy, w 1962 roku pojawił się na 5. Międzynarodowym Festiwalu Muzyki Jazzowej – Jazz Jamboree’62 występując z Triem Wojciecha Karolaka (Wojciech Karolak – fortepian, Roman Dyląg – kontrabas, Andrzej Dąbrowski – perkusja). Na program koncertu który się odbył 27 października 1962 roku i był rejestrowany w sali Filharmonii Narodowej w Warszawie złożyło się szereg kompozycji, z których 5 znalazło się na płycie, w tym dwie kompozycje samego Dona Ellisa – „Some Place Else” i ponad 14-minutowy „Soloes”, Richarda Rodgersa – „Lover”, Cole’a Portera – „What Is This Thing Called Love” oraz Charliego Parkera – „Now’s The Time”. Do tego zestawu nagrań wydawcy dołączyli dodatkowo jako szósty track ponad 22-minutową kompozycję Andrzeja Trzaskowskiego „Nihil Novi” pochodzącą z koncertu III Nurtu, zarejestrowaną dwa dni później, 29 paździer-

nika 1962 roku w tejże samej sali Filharmonii Narodowej. Trzaskowski był wtedy jednym z nielicznych jazzmanów, którzy pisali muzykę dla teatrów i na potrzeby baletu („Nihil Est”). Okazało się, że muzyka Trzaskowskiego spotkała się z ogromnym zrozumieniem ze strony Dona Ellisa, który jako jeden z pierwszych wprowadził nowe studyjne urządzenia takie jak echo – plex i ring – modulator oraz elektryczną trąbkę i czterowentylową trąbkę ćwierćtonową, co nie przeszkodziło w uczestniczeniu w festiwalach jazzowych. Najgłośniejszym efektem jego eksperymentów były skomplikowane metrycznie rytmy, daleko odbiegające od sporadycznie wprowadzanych przez Brubecka 5/4. Oznaczenia metryczne Dona Ellisa, takie jak 17/8, czy 19/8, były na tyle zaskakujące, że nie przeszkadzały swingującym wykonaniom. Prezentowane przez Dona Ellisa kompozycje z polską sekcją rytmiczną (Karolak – Dyląg – Dąbrowski) zagrane zostały z dużym ładunkiem emocjonalnym i ze sporą dawką eksperymentów free.

Opr. Andrzej Patlewicz
Oddział PR

RadioJAZZ.FM i JazzPRESS zapraszają na koncerty



W dniach od 9 do 14 kwietnia we Wrocławiu odbędzie się 49. edycja festiwalu Jazz nad Odrą. W programie m.in. Robert Glasper Experiment, Adam Makowicz, Kurt Elling, Cassandra Willson, Tribute to Charlie Haden, Miles Smiles, Big Festival Band oraz Konkurs na Indywi-

dualność Jazzową. Więcej na www.jazznadodra.pl



Od 12 do 14 kwietnia w podpoznańskiej Mosinie odbędzie się VII edycja Ogólnopolskich Dni Artystycznych z gitarą, którą uświetnią koncerty trzech mistrzów tego instrumentu: Marka Raduliego, Krzysztofa Ścierańskiego i Marka Napiórkowskiego.

Szczegóły na www.gitaramosina.pl



11 kwietnia w Śląskim Jazz Clubie w Gliwicach w ramach Czwartku Jazzowego z Gwiazdą wystąpi Piotr Pawlak Jazztet. Formacja jest laureatem ubiegłorocznej edycji festiwalu Jazz nad Odrą we Wrocławiu. Szczegóły na www.sjc.pl



15 i 16 kwietnia w Teatrze Capitol w Warszawie Przyjaciele muzycy zorganizują dwa koncerty charytatywne dla Jarka Śmietany, który boryka się z poważnymi problemami zdrowotnymi! Udział w koncercie zapowiedzieli przede wszystkim jego przyjaciele

— partnerzy ze sceny: Adam Czerwiński, Wojtek Karolak, Zbigniew Namysłowski, Piotr Baron, Antoni Dębski, Ewa Bem, Andrzej Jagodziński Trio, Paweł Perliński, Kazimierz Jonkisz, Jerzy Małek, Maciej Strzelczyk, Jacek Kochan, Orkiestra Ryszarda Borowskiego. Koncert dopiero w połowie kwietnia, ale pomoc można już dziś wpłacając dowolną kwotę na konto: Polska Fundacja Muzyczna, ul. Kruczkowskiego 12/2, 00-380 Warszawa, konto: PL 42 1440 1101 0000 0000 0489 4766, tytułem: Jarek Śmietana.



W dniach od 11 do 14 kwietnia w swoją pierwszą koncertową rusza formacja Generation Next, którą zgodnie z nazwą tworzą potomkowie niekwestionowanych osobistości świata jazzu w Polsce — Piotr Schmidt, Jacek Namysłowski, Gabriel Niedziela i Tomasz

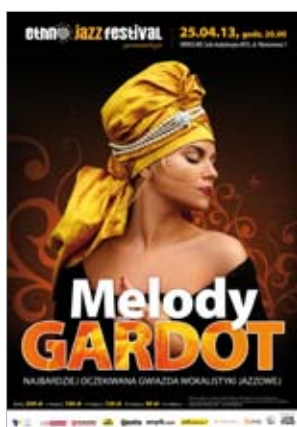
Wendt, a towarzyszą im włoski kontrabasista Francesco Angiuli (Włochy) i perkusista Arek Skolik. Trasa rozpoczyna się koncertem na 49. edycji Jazz nad Odrą we Wrocławiu, a później Trzebnica, Bytom i Zgorzelec. www.schmidtjazz.com





22 kwietnia w warszawskich Hybrydach 51. odsłona Warsaw Blues Night, której gwiazdą będzie legenda west coast bluesa – Arthur Adams z zespołem. Pierwszym punktem programu będzie koncert Ildy Zalewskiej z projektem „As Sung By Billie Holliday”.

Więcej na www.blues.waw.pl



25 kwietnia w ramach Ethno Jazz Festival w Sali Audytoryjnej Wrocławskiego Centrum Kongresowego wystąpi amerykańska wokalistka o polskich korzeniach, Melody Gardot. Jest stawiana w jednym rzędzie z Dianą Krall i Norah Jones. Podbija muzyczny świat

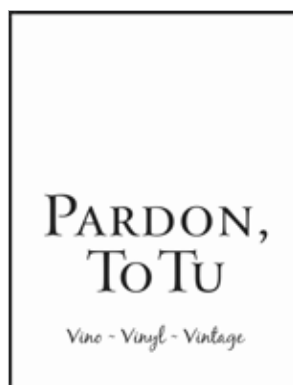
w rytmie swingu, jazzu i brazylijskiej bossa novy. Szczegółowe informacje o koncercie na www.ethnojazz.pl

25 kwietnia rusza kolejna edycja Festiwalu Starzy i Młodzi, czyli jazz w Krakowie do 12 maja na różnych krakowskich scenach zaprezentują się: duet Leszek Możdżer & Lars Danielsson, Gregory Porter, Adam Bałdych Imaginary Quartet, Maciej Obara International Quartet, El Greco z premierą płyty Cuckoo Sing, Pocket Corner, Funk de Nite i Beata Przybytek. Festiwal potrwa do 14 maja. Więcej na www.jazz.krakow.pl



Od 26 kwietnia do 1 maja w Katowicach odbędzie się druga edycja Katowice JazzArt Festiwal. Wystąpią m.in.: Manu Katche, Roberto Fonseca, Erik Truffaz, Damaś, Gral (Gralak) & Tie Break, Masecki & Górczyński, Kądziała & Ma-

hall. Szczegóły na stronie www.jazzartfestival.eu



W kwietniu warszawski klub Pardon, To tu zaprasza m. in. na następujące koncerty jazzowe: 2 kwietnia – Boeing plays Mozart (Michał Górczyński / Marcin Masecki), 9 kwietnia – Infant Joy (Dickaty / Małkowski / Mokrzewski /

Kasperek), 16 kwietnia – Soundcheck (Kociński, Dys, Świąt, Szymańda), 17 kwietnia – polska premiera płyty Ha-Huncvot formacji Shofar, a 28 kwietnia – ImproGraphic (Lebik / Damasiewicz / Ferrandini / Mielcarek). W programie klubu także pokazy filmów oraz koncerty rockowe. Aktualności znajdziecie tu www.pardontotu.blogspot.com



12 czerwca w Hali Ludowej we Wrocławiu na jedynym koncercie w Polsce wystąpi Steve Vai z towarzyszeniem Evolution Tempo Orchestra. W programie utwory gitarzysty zaaranżowane na orkiestrę symfoniczną.



Koncerty w Polsce

Z okazji 16-lecia krakowskiego Harris Piano Jazz Bar Paweł Kaczmarczyk przygotował na kwiecień specjalny cykl pod nazwą Directions in Music Nights. W dniach od 4 do 13 kwietnia zaprezentuje 4 programy z cyklu Directions in Music: Elvin Jones (gość specjalny Kazimierz Jonkisz), Ray Charles (gość specjalny Jorgos Skolias), Stan Getz (gość specjalny Janusz Muniak) i The Headhunters.

9 kwietnia w krakowskiej Alchemii wystąpi formacja Swedish Azz, a 25 kwietnia prowadzona przez perkusistkę Olę Rzepkę formacja Drekoty.

Także 9 kwietnia rusza 18. edycja Muzeum Jazz Festiwal 2013. W Ostrowie Wielkopolskim wystąpią: 9 – kwietnia Piotr Pawlak Jazztet, 12 – kwietnia Miles Smiles, 23 – kwietnia Bernard Maseli – Ireneusz Głyk Duo, 26 kwietnia Swing Workshop Wojciecha Kamińskiego i Jazz Band Ball Orchestra oraz na zakończenie, 17 maja – Tomasz Stańko New York Quartet. Szczegółowe informacje na stronie internetowej www.jazzmuzeum.art.pl

Sting będzie gwiazdą Life Festival Oświęcim 2013. Koncert finałowy odbędzie się w sobotę 29 czerwca na stadionie MOSiR.

Gwiazdami tegorocznej edycji Warsaw Summer Jazz Days będą: John Zorn, Paco de Lucia, Wayne Shorter i Sun Ra Arkestra. Festiwal odbędzie się w dniach od 15 do 19 lipca.

Gwiazdą tegorocznego festiwalu Solidarity of Arts będzie legendarny wokalista Bobby McFerrin. Festiwal odbędzie się w sierpniu.

Obchody Światowego Dnia Jazzu w Polsce

W obchody wpisuje się druga edycja Katowice JazzArt Festiwal, która odbędzie się w dniach od 26 kwietnia do 1 maja w Katowicach.

30 kwietnia w ramach Festiwalu Starzy i Młodzi, czyli jazz w Krakowie odbędzie się specjalny koncert duetu Leszek Możdżer & Lars Danielsson.

30 kwietnia o godzinie 11:00 w Fundacji Kronenberga w Warszawie odbędzie się konferencja poświęcona muzyce jazzowej pod tytułem **Znaczenie jazzu dla kultury europejskiej XX wieku & Raport o stanie edukacji jazzowej w Polsce**. W trakcie konferencji zostanie zaprezentowany przygotowany przez zespół ekspertów „Raport o stanie edukacji jazzowej w Polsce”.

30 kwietnia w warszawskim klubie Sztuki&Sztuczki okolicznościowy koncert zagra Warsaw Improvisers Orchestra.

30 kwietnia – w Światowy Dzień Jazzu – w Jazz Cafe Łomianki odbędzie się koncert Full Drive 3, projektu Henryka Miśkiewicza z gościnnym udziałem Michaela „Patchesa” Stewarta. Prawie w rok po nagraniu płyty, nominowanej do Fryderyka jako najlepszy album jazzowy.

20 kwietnia kolejna edycja International Store Day, czyli światowego dnia sklepów płytowych. Ubiegłoroczna, pierwsza polska edycja została uhonorowana nagrodą publiczności w konkursie Wdech 2012. Planowana jest organizacja drugiej edycji, szczegółów szukajcie na profilu akcji na **Facebooku** »

Kwietniowe festiwale

W dniach od 12 do 20 kwietnia odbywać będzie się Gdański Festiwal Muzyczny 2013. Rezydentem Festiwalu w tym roku będzie znakomity kompozytor, aranżer i pianista Włodzimierz Nahorny. Koncert formacji Nahorny Sextet w Studiu Koncertowym Radia Gdańsk im. Janusza Hajduna w dniu 13 kwietnia o godzinie 20:00 transmitowany będzie na antenie radiowej. Festiwal poświęcony będzie w dużej mierze ukazaniu wzajemnych relacji pomiędzy muzyką klasyczną, jazzem, sztuką improwizacji. Uwzględni również przypadające w roku 2013 rocznice: dwusetną rocznicę urodzin Giuseppe Verdiego i setną rocznicę urodzin Witolda Lutosławskiego. W programie Festiwalu koncerty Krzysztofa Herdzina i Filip Wojciechowski Trio. Szczegółowy program znajdziecie na stronie internetowej Festiwalu **www.gdanskifestival.pl**

20 kwietnia w Studio Koncertowym Polskiego Radia im W. Lutosławskiego odbędzie się V Festiwal Muzyki Filmowej Krzysztofa Komedy. W programie koncerty Atom String Quartet oraz duetu Moździer-Fresco, wystawa Komeda-Polański, projekcja filmów animowanych mistrza gatunku Mirosława Kijowicza z lat 1966- 1967 do muzyki Krzysztofa Komedy.

Od 9. do 12. maja w Warszawie odbędzie się 4. edycja Festiwalu Nowa Muzyka Żydowska. W programie m.in. koncerty: Riverloam Trio (Trzaska / Brice / Sanders), Horny Trees Orchestra (z Ola Bilińską i Joanna Halszka Sokółowską), nowy zespół Michała Górczyńskiego Malerai. Koncerty będą się odbywać w Palladium, Muzeum Historii Żydów w Polsce iw Synagodze. Więcej informacji na <http://nowamuzykazydowska.pl/>.

21 maja koncertem Tomasz Stańko New York Quartet, promującym płytę Wisawa na szczecińskim Zamku, rozpocznie się tegoroczna edycja Szczecin Music Fest. W ramach cyklu odbędą się jeszcze koncerty Nigela Kennedy'ego (27 maja), Stacey Kent (4 czerwca), Sinead O'Connor (20 czerwca) i Balkan Beat Box (27 czerwca). Więcej na **www.szczecinmusicfest.pl**

Przewodnik koncertowy

W dniach 28 i 29 maja nad Jeziorem Strzeszyńskim w Poznaniu odbędzie się trzecia edycja Enter Music Festival Leszka Możdżera. W programie dwie premiery: albumu Możdżer-Danielsson-Fresco oraz gwiazdy jazzowej wokalistyki Caecilie Norby: Silent Ways. Specjalny projekt zaprezentuje Zohar Fresco. Szczegóły na www.enterfestival.pl

22 czerwca na Stadionie Narodowym w Warszawie wystąpi . . . Sir Paul McCartney! Koncert w ramach trasy koncertowej Out There! będzie prawdopodobnie najważniejszym wydarzeniem muzycznym 2013 roku, a może i dekady!

16 lipca w Kinie Kijów Centrum w Krakowie wystąpi Branford Marsalis. Koncert zatytułowany „An evening with Branford Marsalis”, który odbędzie się w ramach tegorocznej 18. edycji Letniego Festiwalu Jazzowego, wypełnią utwory z ostatnich płyt saksofonisty, nagranych z nowym kwartetem.

Na przełomie września i października odbędzie się 22 edycja Międzynarodowego Festiwalu Perkusyjnego Drum Fest 2013. Na liście gwiazd: Jungle Funk, Neal Morse Band, The Carl Palmer Legacy, Trio Project, „Vibes Beyond”.

Nasi zagranicą

W dniach 13-19 marca zespół New Bone przebywał w Indiach, gdzie dał dwa bardzo dobrze przyjęte koncerty. Grupa w składzie: Tomasz Kudyk – trąbka, flugelhorn, Bartłomiej Prucnal – saksofon altowy, Paweł Kaczmarczyk – fortepian, Maciej Adamczak – kontrabas, Dawid Fortuna – perkusja zainauguowała trzecią edycję Międzynarodowego Delhi Jazz Festiwal. Obok New Bone wystąpili tacy artyści, jak Sylvie Bourban, Oscar Acevedo Quartet, Imany, Oleg Butman Jazz Trio, The New South Africa Jazz Collective, a także artyści z Indii. Koncerty odbywały się w Nehru Park i były otwarte dla publiczności. A relacje z nich można było także oglądać na żywo w Internecie. Natomiast dwa dni później zespół zapisał się w historii jako pierwsza formacja, która wystąpiła na żywo z koncertem jazzowym w prowincji Kashmir. New Bone poleciał się do Indii na zaproszenie Indian Council for Cultural Relations – rządowej instytucji promującej kulturę indyjską na świecie i przybliżającą kultury innych krajów odbiorcom w Indiach – oraz Instytutu Polskiego w New Delhi. Wyjazd odbył się dzięki wsparciu finansowemu Instytutu Adama Mickiewicza w ramach programu „Kultura Polska na Świecie”.

16 marca Kuba Stankiewicz Quartet wystąpił na prestiżowym festiwalu Jazz nad Wołgą w Jarosławiu. Korzenie tego wydarzenia muzycznego sięgają 1979 r. Pianiście towarzyszyli saksofonista Piotr Baron, kontrabasista Wojciech Pulcyn i perkusista Sebastian Frankiewicz.

Krzysztof Herdin Trio, które obok lidera na fortepianie, tworzą Robert Kubiszyn na basie i Cezary Konrad na perkusji) wystąpiło w trakcie 22. edycji Polski Tygodnia, który pod koniec marca odbył się w Tuluzie. Impreza organizowana jest przez stowarzyszenie studentów i nauczycieli akademickich La Semaine Polonaise z Sekcji Języka Polskiego tamtejszego Uniwersytetu Mirail. Każda edycja festiwalu poświęcona jest jednemu tematowi. W tym roku głównym tematem jest Socrealizm – ekspresje socrealizmu w polskiej literaturze i sztuce. W programie, który wypełnią prezentacje z różnych dziedzin sztuki – literatury, malarstwa, rzeźby, filmu fabularnego i dokumentalnego, muzyki, plakatu i fotografii, obok koncertów KHT oraz chóru kameralnego Collegium Musicum Uniwersytetu Warszawskiego są także projekcje filmów: *Człowiek z marmuru* (A. Wajda), *Rewers* (B.Lankosz), *Człowiek na torze* (A. Munk), wystawy z Muzeum Socrealizmu w Kozłówce.

Na początku kwietnia rusza trasa koncertowa promująca płytę *ImproGraphic* formacji Piotr Damasiewicz Project. Większość koncertów odbędzie się w Polsce, jednak na początek formacja wystąpi za granicą: w Zagrzebiu (od 8 do 11 kwietnia) i Wiedniu (13 kwietnia). Płytę wyda wydawnictwo For Tune. Informacje o polskiej części trasy można znaleźć w naszym serwisie www.jazzpress.pl/index.php/koncerty.

W kwietniu Adam Bałdych wraz z liro Rantala String Trio będzie koncertował w Austrii, Niemczech i Szwajcarii – formacja wystąpi na Cully Jazz Festival, w Jazz Initiative Dinslaken, Jazzclubie w Hannoverze, Alte Gerberei w Sankt Johann w Tyrolu, Spielboden w Dornbirn i Gare Du Nord w Bazylei.

4 maja formacja PKS Trio wystąpi na Festiwalu Jazzowym w Ravensburgu w Niemczech.

W maju Grzegorz Karnas z towarzyszeniem saksofonisty Radosława Nowickiego będzie koncertował w Rumunii, w tym na Sibiu Jazz Festival.

Saksofonista Adam Pierończyk wystąpi na jubileuszowej, 50. edycji legendarnego festiwalu Jazzwerkstatt Peitz w Niemczech, który odbywać się będzie w dniach od 7 do 9 czerwca. Koncert Pierończyka, który zaprezentuje premierowy solowy projekt wraz z nagraniem, odbędzie się 8 czerwca w XVI wiecznej wieży odrestaurowanej niedawno twierdzy i będzie rejestrowany przez berlińskie radio RBB.

W lipcu formacja Daktari zagra w Niemczech trasę koncertową promującą ich drugi album zatytułowany *Lost Tawns*. 7 lipca wystąpią wraz z Flickstick i Tingvall Trio na XXXIII. Eldenaer Jazz Evenings w Greifswaldzie.

(rs)

Bieżące informacje o koncertach znajdziecie w naszym serwisie na www.jazzpress.pl





Chris Botti – w miłosnym liście do Polaków ...

Uznawany za najprzystojniejszego wśród jazzowych muzyków, trębacz prezentował w Polsce głównie utwory z najnowszego krążka *Impressions*. Polska trasa koncertowa znanego amerykańskiego artysty pomimo, iż trwała zaledwie 6 dni przebiegała, aż przez pięć miast: Poznań, Gdynię, Warszawę, Wrocław i Zabrze. Mimo, iż na płycie obok Bottiego możemy usłyszeć wiele sław, trasa koncertowa nie straciła na jakości z powodu ich braku. Chris Botti jest typem showmana, który doskonale wie co robić, by zachęcić publiczność. Jego lekki repertuar bezproblemowo trafia do szerokiej publiczności niekoniecznie mocno związanej z jazzowym nurtem.

Poniedziałkowy wieczór podczas wrocławskiego koncertu w Hali Orbita tylko dzięki gwieź-

dzie zaliczyć można do udanych. Niestety tym razem organizatorzy nie popisali się. Spore opóźnienie, bardzo kiepska informacja oraz niska jakość obsługi na szczęście nie zrujnowała koncertu. Chris Botti dzięki przewidywalnemu, lecz perfekcyjnie przygotowanemu show naładował publiczność pozytywną energią. Muzycznie było lekko i przyjemnie. Jazzowe standardy oraz proste, zrozumiałe improwizacje przemieszane zostały z powszechnie znanymi hitami, w nowych aranżacjach. Nie zabrakło niespodzianek i jak to w towarzystwie amanta bywa, pięknych kobiet. Liryczne skrzypce Caroline Campbell przeplatały się podczas poniedziałkowego koncertu z wokalną wulkanem Sy Smith. Gdy na scenie pojawiła się Sy wiadomo było, iż za chwile usłyszymy kawałek „The Look



fot. barbaraadamek.com

of Love”, podczas którego zgrabny duet wspólnie zagra na trąbce. Drugi dialog, prowadzony z Caroline należał do bardziej melancholijnych. Wrocławska publiczność usłyszała interpretację wspaniałego utworu „Cinema Paradiso”, bardzo często kojarzonego z aranżem Pata Metheny’ego oraz Charliego Hadena. Tego wieczoru sporo było duetów, nie tylko damsko – męskich, bowiem Chris Botti wraz z Leonardem Amuedo wykonał utwór Jacksona „You Are Not Alone”. Na szczęście gitarzysta doskonale odnajdując się także w ciężkich brzmieniach dowiódł, iż nie można zamknąć go tylko w melodyjnych, czy też nostalgicznych klimatach. Jak to zazwyczaj bywa w wypadku Chrisa Bottiego było „pod publiczność”, bowiem kto z nas nie buja się w rytm lirycznego „Hallelujah”. Jednakże przy-

znać trzeba, iż to właśnie te emocje, perfekcyjny wygląd i kontakt z publicznością zapewniają amerykańskiemu trębaczowi tak ogromną sławę. Niewątpliwie Polska publiczność uwielbia muzyka z często wypowiedaną wzajemnością. Co podczas koncertu nie tylko zostało podkreślone faktem złamania przez artystę bariery: scena – widownia, ale także utworu dedykowanego specjalnie polskiej publiczności, czyli Preludium Nr 20 w C-moll Fryderyka Chopina nazwanego przez Chrisa Bottiego miłosnym listem do Polaków.

Koncert odbył się w ramach Ethno Jazz Festiwalu.

Barbara Adamek



Chris Botti – w miłosnym liście do Polaków ...



Caroline Campbell



Chris Botti



fot. barbaraadamek.com



Marco Eneidi + Trela/Pospieszalski/Wójciński

6 marca w warszawskim klubie Kosmos Kosmos miał miejsce pierwszy koncert saksofonisty altowego Marca Eneidi'ego z perkusistą Michałem Trelą, saksofonistą tenorowym Markiem Pospieszalskim i kontrabasistą Ksawerym Wójcińskim. Natomiast drugi i ostatni z ich udziałem odbył się dzień później w Piotrkowie Trybunalskim.

Marco Eneidi jest znakomitym saksofonistą, artystą o bardzo dużym doświadczeniu, który współpracował z takimi muzykami, jak chociażby Peter Brotzmann, Don Cherry, Bill Dixon, Butch Morris, William Parker czy Cecil Taylor. Mimo to żyje na uboczu, w cieniu, a jego nazwisko jest mało znane. Od kilku lat mieszka w Wiedniu i jest to jego pierwsza wizyta w Polsce, która doszła do skutku dzięki Michałowi Treli, który go do nas zaprosił.

Klub Kosmos przyciągnął wymagającą i dobrze zdającą sobie z rangi spotkania publiczność. Pierwszy set był mocnym i bezkompromisowym uderzeniem. Gra odznaczała się dobrą komunikacją i wzajemnym zrozumieniem oraz dużą dynamiką. Była pełna pasji i zaangażowania. Marco Eneidi w majestatycznej pozie wypuszczał ostre i przemyślane frazy. Jego towarzysze nie pozostawali jednak tylko akompaniatorami i nie dali się zdominować, lecz sami również wnosili dużo ciekawego do gry formacji.

Część druga była utrzymana w zupełnie innej konwencji. Największy nacisk położono na zaprezentowanie solowych umiejętności. Na

pierwszy ogień poszedł Ksawery Wójciński, który rozpoczął pełną ekspresji i zaangażowania solówkę. Jak w transie grał dobrych kilka minut, a z czasem okazało się, że się dopiero rozpędza. Chciał się do niego dołączyć Michał Trela, myśląc że już wystarczy, lecz Eneidi dłonią skutecznie odwiódł go od tego pomysłu i wtedy najlepsze się dopiero zaczęło. Jakże ta solowa gra była niesamowita. Ksawery grał nie zważając na nic. Wydawać by się mogło, że zaraz wszystkie struny odmówią posłuszeństwa, a jednak żadna nie zawiodła, tak jak i nie zawiodł wyborny solista. Po kilkunastu minutach samotnej przeprawy, zaczął charakterystycznie akcentować ostatnie dźwięki w oczekiwaniu na pomoc kolegów, jednak ta jeszcze przez pewien czas nie nadchodziła. To było niezwykle. A kilka dni wcześniej, w wywiadzie radiowym, Ksawery Wójciński opowiadał, że po próbie z Eneidim miał bąble na rękach. Wspomniał także o przekraczaniu kolejnych muzycznych granic, oraz że cały czas (całe życie) przygotowuje się do solowej płyty, którą chciałby kiedyś nagrać. Bez wątpienia, dzisiejszego wieczoru, udało mu się zarówno przekroczyć kolejną granicę, jak i się też trochę przybliżyć do realizacji swojego zamierzenia. Po tej niesamowitej solowej wypowiedzi, Marco Eneidi podszedł do kontrabasisty i dobitnie, z czułością, dał mu do zrozumienia, że był naprawdę świetny.

Poza Wójcińskim, solo zagrał też całkiem nieźle Michał Trela na dosyć rozbudowanym zestawie perkusyjnym oraz Marek Pospieszalski na saksofonie tenorowym. Jednak to już nie było taką

niespodzianką i nie mogło się równać z rewelacyjnym występem kolegi.

Koncert dowiódł, że Trela, Pospieszalski i Wójciński okazali się doskonałymi partnerami dla znacznie bardziej doświadczonego alcyisty. Śmiało wychodzili naprzeciw z własnymi inicjatywami, które były następnie wspólnie realizowane. Gdy koncert dobiegł końca, Marco Eneidi powiedział, że możemy być dumni ze swoich muzyków i naocni świadkowie tego wydarzenia doskonale wiedzą, że nie były to tylko uprzejmości.

Tego wieczoru odbyło się również kilka innych interesująco zapowiadających się koncertów. W Pardon, To Tu grał polsko-amerykański kwartet Williams/Zimpel/Greene/Kugel, czyli projekt o nazwie Switchback. W nim także chciałoby się uczestniczyć. Jednak ludzie opuszczający klub Kosmos Kosmos, pomimo dużej niewiadomej nie wyszli zawiedzeni, gdyż występ był znakomity. Koncert został nagrany, nagrania będą odbywać się także później w studio, gdyż w planach jest wydanie studyjno-koncertowego albumu. Zdecydowanie będzie do czego wracać.

Marek Nowakowski



radioJazz.fm

fot. Krzysztof Wierzbowski



Mazolewski/Gonzalez Quintet w Powiększeniu

Współpraca Wojtka Mazolewskiego z mieszkającym w Dallas trębaczem o meksykańskich korzeniach, Dennisem Gonzalezem, rozpoczęła się kilka lat temu. Na początku stycznia 2011 roku, w studio radiowej Trójki im. Agnieszki Osieckiej, zostało zarejestrowane ich spotkanie, w którym uczestniczył również Marek Pospieszalski, Jerzy Rogiewicz oraz w dwóch utworach Joanna Duda. Następnie Gonzalez kilkakrotnie wystąpił w Polsce z synami, po czym nagrał płytę *Wind Streaks in Syrtis Major* oraz *Bandorelos en Gdańsk*, a Mazolewski odbył trasę koncertową z trębaczem po Stanach Zjednoczonych.

Koncert, który odbył się w warszawskim klubie Powiększenie 11 marca, promował, mającą się wkrótce ukazać, płytę *Shaman*. Znalazło się na niej sześć utworów: po dwie kompozycje Denisa Gonzaleza i Wojtka Mazolewskiego – aby zachować równowagę i kompromis, jak powiedział basista w jednym z wywiadów – oraz Krzysztofa Komedy, którego muzyka okazała się materia przyciągającą te dwa różne środowiska. Właśnie ze względu na sympatię do starych analogowych płyt polskiego jazzu i przedstawienia przez Mazolewskiego ciekawej koncepcji na wspólne granie oraz chęci wzięcia też na warsztat kompozycji naszego rodzimego kompozytora, Gonzalez podjął wyzwanie, przyjmując zaproszenie basisty.

Rozpoczęto komedowskim „Astigmatic”, w którym poza doskonałym klimatem, słychać było też wiele wolności i przestrzeni. Drugim utworem Krzysztofa Komedy był „Pushing the Car”,

o słabo wyczuwalnym temacie, w którym artyści pozwolili sobie na jeszcze większą swobodę i mocne odbieganie od głównego wątku, który przez większą część utworu funkcjonował tylko w podświadomości. Wyróżniał się tutaj Marek Pospieszalski grający ciekawie na klarncie altowym. Zabrzmiała też kompozycja basisty „Flaga”, będąca inspiracją „Sztandarem” Komedy, zagrana z punkową energią. W „Hymn for Julius Hemphil” Gonzaleza, autor kompozycji zupełnie wzbił się ponad resztę muzyków i wtedy bardzo wyraźnie można było dostrzec różnice pomiędzy pozostałymi członkami zespołu, wynikające z odmiennej kultury, edukacji, wrażliwości czy doświadczeń życiowych Gonzaleza. Trębacz pokazał się też jako bardzo charyzmatyczna i zagadkowa postać o nietuzinkowej osobowości. Artysta gładził co jakiś czas swoje bujne włosy, popijał kulturalnie napój z filiżanki, ale przede wszystkim uważnie przysłuchiwać się swoim partnerom. Na uwagę zasługuje też gra Joanny Dudy, która rozświetlała grę partnerów gwiazdowym, migoczącym dźwiękiem klawiszy. Czyniła to dyskretnie i z gracją, choć potrafiła również zaszaleć w istic punkowym stylu. Qba Janicki wydobywał dźwięki zestawu perkusyjnego z polotem i wyobraźnią. Ze słuchaczami pożegnano się obszernym utworem „1, 2, 3, 4 powiedź żabko” i to był już definitywny koniec tego niecodziennego wieczoru z nutką szamaństwa.

Dobrze, że Wojtek Mazolewski nie poprzestaje głównie na grze w Pink Freudach oraz Wojtek Mazolewski Quintet, bowiem kooperacja z taką wymagającą i nietuzinkową postacią jak

Dennis Gonzalez wydaje się być drogą najbardziej rozwojową, inspirującą i twórczą. Koncert był dowodem, że można grać bardzo otwarcie i swobodnie oraz dobrze komunikować się w obszarze rodzimych kompozycji. Ale pokazał także, że próba połączenia słowiańskiej duszy z meksykańską, w jeden nowo powstały element, nie jest prostą sprawą i wymaga sporego zaangażowania i przede wszystkim ogrania, a to niestety trudno jest osiągnąć, gdy Polska trasa koncertowa ogranicza się raptem do dwóch miast. Ale cóż na to poradzić?

Marek Nowakowski

radioJazz.fm



fot. Bogdan Augustyniak



Moździerz Danielsson Fresco mocno przedpremierowo

Zazwyczaj, gdy to zjawiskowe trio ma zamiar zaprezentować się publiczności, informacje na ten temat krążą już na kilka miesięcy przed zaplanowanym wydarzeniem. Tym razem było jednak inaczej. Do występu doszło dość nieoczekiwanie, by nie powiedzieć, że prawie przypadkowo. 19 października ubiegłego roku, po siedmiu latach od wygrania konkursu na projekt Małopolskiego Ogrodu Sztuki przez pracownię Ingarden/Ewy współorganizowanego przez SARP, udało się wreszcie tę placówkę kultury otworzyć. I łącząc tamto niedawne radosne wydarzenie oraz zbliżający się Dzień Kobiet, organizatorzy pragnęli w jak najznamienitszy sposób uświetnić ten wyjątkowy dzień. Wybór padł na Leszka Moździerzera – ulubieńca publiczności – który miał wystąpić solo. Lecz nic się takiego nie wydarzyło. Organizując koncert pianisty, nie przypuszczano wtedy, że wraz z Larsem Danielssonem i Zoharem Fresco dwa dni przed zaplanowanym występem artyści rozpoczną prace nad nowym materiałem.

Współpraca Moździerzera z Danielssonem i Fresco rozpoczęła się w 2004 r. podczas festiwalu Jazz na Starówce. W tym roku wypada zatem dziesiąty rok współpracy, który muzycy postanowili uczcić w najlepszy z możliwych sposobów – nagraniem trzeciego studyjnego albumu, a wraz z nim pojawią się też upragnione koncerty tria. Polska premiera materiału odbędzie się 28 maja w Strzeszynie podczas Enter Music Festival, europejska dziesięć dni później w trakcie otwarcia Paris Jazz Festival, zaś polska trasa koncertowa planowana jest w listopadzie. Natomiast już

dzień po tym nadzwyczajnym koncercie muzycy wejdą do studia i będą kontynuowali proces twórczy.

Krakowscy słuchacze mieli więc unikalną okazję uczestniczenia w początkach tworzenia nowego materiału. Publiczność darzy tych artystów ogromnym sentymentem i szacunkiem za poprzednie dokonania. Będąc kilka lat temu w Gdańsku m.in. na koncercie na Targu Węglowym, widziałem niezwykle entuzjastyczne reakcje, podczas występu tego właśnie tria. I było tylko kwestią czasu, kiedy drogi tych trzech artystów skrzyżują się ponownie, by tworzyć i dawać radość piękną, akustyczną muzyką.

W dzisiejszą podróż w nieznane wprowadził słuchaczy kontrabas Larsa Danielssona oraz niewielki frame drum Zohara Fresco. Do tego duetu spokojnie dołączył po chwili Leszek Moździerz i powoli rozpoczął się spektakl. Gdy ta jeszcze nienazwana kompozycja dobiegła końca, pianista oznajmił, że jeśli zagrają go lepiej niż dzisiaj, z pewnością znajdzie się na nowym albumie. Drugi utwór zatytułowano „Pinot” i rozpoczyna go Moździerz solo na fortepianie. W oddali słyhać szarpane struny kontrabasu i powtarzający się jeden dźwięk, który za chwilę przerodzi się w główną melodię utworu. Fresco z wyczuciem uderza miotełkami w talerze i bębny. Muzycy zdają się celowo z umiarem dozwalać publiczności dźwięki i wydobywają je powoli oraz z pietyzmem. Główną melodię nadaje kontrabas. Moździerz na dobre rozsiadł się już za fortepianem i gra melodię z wykorzystaniem

bardzo szerokiego zakresu jego brzmienia. Fresco z przywieszoną na nodze grzechotką wydającą metaliczny dźwięk, przytupuje i kończy utwór delikatnym śpiewem a cappella. Kolejną kompozycję napisał Lars Danielsson. Inauguruje ją izraelski perkusjonalista solo na bębnie. Nie zwlekają długo Możdźer i Danielsson, tworząc coś na kształt gawędy fortepianu z kontrabasem. Pianista nadaje utworowi pogodnego charakteru. Tempo jest szybkie. Dodatkowego ciepłego brzmienia dodaje preparowany fortepian, a uzyskiwane w ten sposób zaokrąglone dźwięki, mimo iż na początku wytrącane w sposób ostry i impulsywny, są przyjemne. Tak powstaje bardzo ładny utwór, o łatwo wpadającej w ucho melodii, z którego nieprędko będzie chciał się ulotnić. „Orgon” to energia kosmiczna odkryta przez niemieckiego uczonego Wilhelma Reicha oraz pierwsza i jedyna nowa kompozycja, podczas której Danielsson gra na wiolonczeli. Rozpoczyna w duecie z pianistą. Fresco opukuje dłońmi talerze i bębny zestawu perkusyjnego. Melodia fortepianu zatacza krąg, narasta, słabnie, odchodzi. To najbardziej refleksyjna i dojrzała kompozycja zaprezentowana dziś wieczoru w Małopolskim Ogrodzie Sztuki. Gdy brawa milkną, do głosu dochodzi fortepian, trochę w stylu znanego z *Lutosphere* – czyli projektu z udziałem Andrzeja Bauera i m.bunio.s. Ten utwór zdecydowanie odbiegała charakterem od pozostałych. Słysząc niepokojący fortepian oraz szybkie uderzenia w bębny. Wtórkuje im kontrabas także bardziej mroczny i awangardowy, niż dotychczas. Po tym odważnym eksperymencie na scenie zapanowało wyciszenie. Możdźer delikatnie i bardzo powoli naciska klawisze instrumentu rozpoczynając



Lars Danielsson

fot. Marek Nowakowski



Przewodnik koncertowy

subtelną balladę Danielssona o tytule roboczym „Spirit”. Fresco lekko wzbogaca brzmienie suchymi uderzeniami, włącza się też autor utworu, który nadaje mu spokojną melodię przewodnią. Lecz sielanka nie trwa tak do samego końca. Po kilku minutach kołysania fortepian gwałtownie przyspiesza, stając się elementem dominującym. Dopiero pod sam koniec gonitwa ustaje. Wszystko się uspokaja i w podobnie odprężającym nastroju, jakim się rozpoczęło, dobiega końca. Kolejna kompozycja ukazuje kwintesencję stylu pianistyki Możdżera. Atmosfery dopełnia Danielsson smyczkiem na kontrabasie oraz piękny śpiew Fresco. W tym utworze zawarte zostały wszystkie elementy, za które słuchacze tak bardzo tych artystów cenią. Koncert kończy się utworem z bardzo daleko w oddali słyszalnym motywem melodii muzyki Bliskiego Wschodu.

Potem jeszcze trzy utwory bisowe – starsze, dobrze znane i ograne na koncertach kompozycje – to już była sielanka. Taka przyszłość czeka najpewniej i premierowe numery, gdyż w zaprezentowanym materiale jest wielki potencjał. 6-7 utworów z pewnością znajdzie się na płycie w bardzo podobnym kształcie, natomiast 2-3 to murowani kandydaci do zaskarbiania sobie serc słuchaczy na koncertach oraz w wersji udomowionej.

Nie da się ukryć, że pracując dwa dni nad nowymi kompozycjami, trudno było od razu rzucić nimi na kolana słuchaczy. Nie mniej, z przyjemnością słuchało się tych powstających na naszych oczach i jeszcze nieopierzonych kompozycji, które zostały przyjęte entuzjastycznie.

Materiał jest ciekawy, momentami zaskakujący, trochę bardziej drapieżny i prawdopodobnie w takim charakterze usłyszymy go w przyszłości. Przez cztery kolejne dni w podkrakowskim Alvernia Studio będą jeszcze trwały prace nad zaprezentowanymi kompozycjami i tam też nastąpi ich zarejestrowanie na trzecią studyjną płytę tria. Bardzo też cieszy, że nie zrezygnowano z magicznego śpiewu Zohara Fresco, który dodaje atmosfery i podkreśla piękno tej muzyki. Zapowiada się wspaniały powrót.

Marek Nowakowski



Responsio Mortifera – Mazzoll/Janicki/Sroczyński + Popławski

Jerzy Mazzoll na dobre powrócił do grania. Wraz z nim, 16 marca na deskach DK Rakowiec przy Wiślickiej w Warszawie, wystąpił młody skrzypek Tomasz Sroczyński, a także bardzo ciekawy perkusista Qba Janicki, który podobno obcuje z muzyką klarncisty od czwartego roku życia, oraz niespodziewany gość – basista Kornel Popławski, mający na swoim konczie m.in. współpracę z Tymonem Tymańskim.

Zaprezentowany został materiał z ostatniej płyty *Responsio Mortifera*, będącej zapisem muzycznej ścieżki, którą artysta konsekwentnie podąża od wielu lat. Płyta jest pierwszym od dekady albumem solowym, choć w jej powstawaniu udział wzięło dziewiętnastu muzyków, natomiast miksy są dziełem Emitera.

Responsio Mortifera jest historią, którą za każdym razem można opowiadać na nowo i tak też było. Podczas wieczoru uświadczylimy sampli ze wspomnianej płyty, żywiołowej gry skrzypka, znakomitej roboty Qby Janickiego, który ponownie błyszczał oraz adekwatnego

do nastroju nadawanego tonu za pomocą odpowiednich klarnetów. Oprócz tego, występowały też takie naturalne dźwięki jak oddech czy inne bliżej niezidentyfikowane ludzkie odgłosy. Kornel Popławski naprzemiennie, raz grał relatywnie dźwięcznie, innym razem mieszał tak ze sobą dźwięki, że swą fakturą przypominały raczej potężne trzęsienie ziemi.

Sobotni koncert był najbardziej wymagający spośród pięciu ostatnich projektów z udziałem Mazzolla na żywo. Był też dosyć refleksyjny, przykuwał uwagę i to potęgowało chęć zgłębienia się w dobiegające ze sceny treści.

Koncert odbył się w ramach II edycji projektu JazzOffOn, cyklicznej imprezy organizowanej przez Dom Kultury Rakowiec. Przed *Responsio Mortifera* odbył się jeszcze koncert osób uczestniczących w warsztatach współczesnej improwizacji pod kierownictwem Jerzego Mazzolla.

Marek Nowakowski



Aga Zaryan o miłości ...

Rozglądając się po skrytej w półmroku sali Bielskiego Centrum Kultury, szacując frekwencję lub też nieliczne puste miejsca można od strzału wyczuć sympatię bielskiej publiczności do jazzowej wokalistki. W obliczu tego faktu mocniej wyczuwalna staje się nić łącząca tę samą publiczność z artystką, potwierdzona dodatkowo statystyką koncertową... bowiem to już piąty koncert Agi w stolicy Podbeskidzia.

Sobotni, marcowy wieczór był nie tylko o miłości ... ale też o jazzie, no i troszkę o życiu. Gościem specjalnym był Janusz Muniak, mocno zapamiętany przez wokalistkę z czasów Jazz Campingów na Kalatówkach, natomiast przez samą publiczność raczej kojarzony z krakowską sceną jazzową.

W składzie podstawowym, poza gościem specjalnym na saksofonie, nic zaskoczyć fanów Agi nie mogło. Niezmiennie na fortepianie towarzyszył wokalistce Michał Tokaj, na kontrabasie zagrał Michał Barański, a przy perkusji zasiadł Łukasz Żyta.

Nostalgicznie i sentymentalnie w rytmie bossa novy płynął czas wyśpiewany przez artystkę ciepłym głosem. Wśród repertuaru o miłości nie zabrakło ani jazzowych standardów chociażby Elli Fitzgerald, czy też tak znanego jak „My Funny Valentine”, ani też autorskiego repertuaru wokalistyki. Wspólnym mianownikiem był temat, czyli miłość.

Barbara Adamek



Aga Zaryan



Michał Barański



Janusz Muniak

fot. barbaraadamek.com





Dean Brown *Unfinished Business* na Gorzów Jazz Celebrations

24 marca 2013 w ramach festiwalu Gorzów Jazz Celebrations w Jazz Clubie Pod Filarami wystąpił znakomity gitarzysta Dean Brown ze swoją supergrupą w składzie: Marvin „Smitty” Smith – perkusja, Hadrien Feraud – gitara basowa i Bernard Maseli – KAT. Muzycy wpadli pod Filary w trakcie europejskiej trasy promującej najnowszy, czwarty już autorski album Browna, zatytułowany *Unfinished Business*, w którego nagraniu uczestniczył m.in. Bernard Maseli. Maseli wykonuje tu swoje partie na wibrafonie akustycznym w utworze „Santo Para Mim” oraz w „Two Numbers”, gdzie dodatkowo gra kilka partii i solo na instrumencie Mallet Kat. We wrześniu 2012, jako członek kwartetu Deana Browna, Bernard Maseli odbył mini trasę koncertową po Japonii. Koncerty odbyły się w Cotton Club w Tokio w Motion Blue In w Jokohamie. Kwartet koncertował w składzie: Dean Brown – gitara, Ernest Tibbs – gitara basowa, Marvin „Smitty” Smith – perkusja i Bernard Maseli – wibrafon elektryczny. Na gorzowskim koncercie skład uległ zmianie i to chyba na korzyść, bo na gitarze basowej zagrał rewelacyjny Hadrien Feraud.

Koncert składał się z dwóch około godzinnych setów, okraszonych jednym, ale za to ognistym bisem. W pierwszej części usłyszeliśmy 3 utwory z *Unfinished Business*. Na początek zabrzmiał monumentalny riff z „Uncle Ray” – utworu utrzymanego w konwencji fusion, ale z widocznym piętnem rocka progresywnego z najlepszych dla obu gatunków lat 70., a potem funkowy „Just Do It!” i wreszcie – nieco później – ulubiony kawałek Browna „Rico”, który początkowo w ogóle nie miał się na tej płycie znaleźć. Nowości przeplatały nowe interpretacje utworów

fot. Aneta Stosor

z pierwszej płyty Deana Browna *Here* (2000), a mianowicie „Gemini” i bluesowy „Big Foot”.

Drugi set był bardziej swobodny, szczególnie jego pierwsza połowa z wieloma partiami zbiorowej improwizacji i niekończących się, snujących pasaży gitar i Kati. Koncert zakończyły bluesowy „Hail to the King”, poświęcony Albertowi Kingowi, przechodzący w „Whole Tone Blues”, wbrew nazwie najbardziej jazzowy utwór tego wieczoru, oba z *Unfinished Business*.

Kto zna Deana Browna, ten wie czego można się po nim spodziewać. Zgodnie więc z oczekiwaniami słuchacze otrzymali solidną dawkę radosnego jazz-rocka, bluesa, funku i jazzu, zagraną na najwyższym światowym poziomie. Brownowi zawsze udaje się zgromadzić najznakomitszych muzyków grających na tej planecie, tak było i tym razem. Świetnie swoje miejsce w zespole znalazł Bernard Maseli, którego tam po prostu dotąd brakowało. Na swoim Kacie, oprócz błyskotliwych jak zwykle solówek, wyczarowywał całe warstwy kolorystyczne muzycznego tła, zastępując z powodzeniem m.in. Hammondy i dęciaki, wykorzystywane w nagraniach studyjnych. Benek był zresztą dobrym duchem tego koncertu. Bez jego słabości do Filarów byłoby znacznie trudniej ten występ zorganizować.

Druga osoba, o której koniecznie trzeba wspomnieć, to objawienie elektrycznego basu Hadrien Feraud, znany już z gry z Johnem McLaughlinem (*Floating Point* 2008). W Gorzowie dotarła do niego wiadomość, że dostał angaż do nowego Electric Trio Chica Corei, a to już nie było co. Jego gęsta, ale subtelna i melodyjna gra, upraszczając, bardziej w stylu Jaco Pastoriusa niż Stanleya Clarka, zbierała należne oklaski. No i na koniec chyba największa, poza leaderem,

gwiazda zespołu, perkusista Marvin „Smitty” Smith, który w zasadzie nie zagrał ani jednej solówki, nie licząc jednego dialogu z Brownem w „Whole Tone Blues”, a wpływ na brzmienie całości miał fundamentalne. Po prostu maszynka do funku, bluesa, jazzu, rocka i co tam jeszcze chcecie. To, już konsekwentnie trzymając się poetyki porównań (jakże niestosownych jednak w przypadku artystów), bębniarz ze szkoły Billego Cobhama i kolega po fachu Poogie Bella.

Świetne, energetyczne, optymistyczne, klubowe granie, ku radości zarówno muzyków, jak i publiczności. To wręcz było widać, bo uśmiechy nie schodziły z zadowolonych obliczy. Aż szkoda, że takie fajne rzeczy nie wychodzą na płytach. Dean Brown jest w Gorzowie znany i lubiany, odkąd zawitał tu jakiś czas temu wraz z Billem Evansem na jubileuszowy koncert z okazji 25-lecia *Walk Away*, a Bernard Maseli jest tu w zasadzie u siebie.

Na koniec na prośbę organizatorów wspomnę, że koncerty Gorzów Jazz Celebrations realizowane są przy wsparciu Miasta Gorzowa Wielkopolskiego i Marszałka Województwa Lubuskiego, za co należą się im serdeczne podziękowania. W kolejce czekają następne znakomitości, podaję tylko te pewne na dziś: Dave Holland Quintet i Hiromi Uehara.

Marek Demidowicz



Przewodnik koncertowy

Co prawda, publikację poniższego tekstu można uznać za mocno spóźnioną. Jest to relacja z ubiegłorocznych, letnich festiwali, jednak z kilku powodów zasługuje na lekturę. Po pierwsze, choć ledwo nastąpiła wiosna, to po uporczywej w swym trwaniu zimie z przyjemnością wybiegamy myślą ku lecie, a okres wakacyjny warto spędzić na obcowaniu z muzyką. Po drugie, właściwie nie wiele mamy informacji o scenie jazzowej w Chorwacji. Te dwa argumenty stanowią wystarczające uzasadnienie lektury.

Redakcja

Jadranska Magistrala Jazzu

p.s. Uzeti dobra crna vina /ali da ga dosta ima/ da bi glava ostala bistra. A strah manj.

Zvonimir Kuhtič, Upustvo za put

Każdy ma takie wakacje, na jakie sobie zasłużył, a ja w ubiegłym roku – najwyraźniej – bardzo byłam grzeczna! Dwadzieścia jeden lipcowo-sierpniowych, upalnych dni w podróży z bagażem podręcznym. Od Istrii po Dalmację i z powrotem, lądem, morzem, przestworzem, z trzema niezapomnianymi przystankami w miejscach organizacji aż trzech kilkudniowych, rewelacyjnych, jazzowych festiwali Bale-Murter-Vela Luka. Widzę jak żółta zazdrość przesłania oczy czytającym. I słusznie.

Przygoda nie doszłaby do skutku, gdyby nie współpraca ze Stowarzyszeniem Kulturalnym „Kamene Priče” (Kamienne Opowieści) w istriańskim Bale, a szczególnie z jej dyrektorem, wielbicielem i niestrudzonym promotorem muzyki jazzowej w Chorwacji, artystą

fot. Grażyna Studzińska-Cavour



fotografikiem, gitarzystą i mistrzem kuchni, hedonistą Tomislavem Pavleką.

Banialuczanie o polsko-galicyskich korzeniach po raz szósty w maleńkiej, oddalonej od turystycznych szlaków, średniowiecznej miejscowości, dzięki sile swojej osobowości, bez pomocy sponsorów, ale i bez biletów organizuje wielkie, muzyczne wydarzenie, skupiające sławy światowej sceny jazzowej i setki słuchaczy z różnych kontynentów.

„Bez sponsorów” to filozofia prężnej grupy jego utalentowanych przyjaciół, skupionych wokół międzynarodowego stowarzyszenia „Akademia Svega”, którego członkiem miałam zaszczyt zostać. Od lat pracują wolontarystycznie. Chcą przez to udowodnić, że z miłości do jazzu, muzyki, sztuki, dzięki pozytywnej energii, samozaparciu i zwykłym chęciom możliwe są przedsięwzięcia na bardzo dużą skalę. Jak mówi sam Pavleka: „Banki nie mają nic do roboty przy muzyce,

fot. Gordan Topic



Ratko Zjaca

a muzyka w bankach. Ludzie grają dla ludzi. Dlatego tu wszyscy jesteśmy. Z miłości do jazzu.”

Ta filozofia sprawdza się, jak widać, świetnie. Tam, gdzie inni plajtują, gdzie pieniądze na kulturę są reglamentowane lub wcale ich nie ma, gdzie kolejne festiwale padają lub tną koszta, Last Minute Open Jazz Festival ma się świetnie i rośnie w siłę z roku na rok. A cierpliwości, kreatywności, radości tworzenia i atmosfery, na przekór trudnościom można tylko pozazdrościć.

Kada je najteže i kad ti se čini da ne napreduješ tad treba posegnuti za strpljenjem. Strpljenje je mudrije od cilja.

1-5 sierpnia, VI Last Minute Open Jazz Festival, Bale/Valle, Istria

Niewielki dziedziniec, wciśnięty między historyczne, kościelne mury, weneckiego lwa i arabskie łuki podcieni, oświetlony pełnią księżyca mieści prawie pół tysiąca słuchaczy w każdym

wieku. Siedzących, stojących, leżących i wyglądających z okien. Na scenie... dwa potężne motory Ducati. Pod nią sześć innych. To ukłon klubu motocyklistów w stronę organizatorów, którzy od dawna propagują opinię, że muzyka silnika to jazz cywilizacji ludzi drogi.

Istria jest krainą dwujęzyczną, przez wiele lat będącą pod panowaniem Włoch, co wyraźnie odzwierciedla muzyka tego regionu. Śpiewna, oparta na kantylenie, taneczna. Taki też jest chorwacki jazz. Ale cechą najbardziej charakterystyczną jest jej wielokulturowość. Naznaczeni historią i wojną domową lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku Chorwaci, Bośniacy, Macedończycy wyjeżdżali poza granice swojego kraju, szukając spokoju, godnych warunków życia i tworzenia. Wracając, przywozili ze sobą nowe doświadczenia, a wielokrotnie całe muzyczne składy, w których przyszło im grać na obczyźnie. Ten mikś wpłynął znacząco na dźwięki, jakie dzisiaj słyszymy.



Przewodnik koncertowy

Tak brzmi Anke Helfrich Group złożona z gitarzysty – Ratko Zjača, Chorwata z Rotterdamu, basisty – Macedończyka, mieszkającego w Kolonii – Martina Gjakonovskiego, perkusisty (tu niespodzianka) Chorwata z Chorwacji – Ratko Divjaka i liderki, pianistki, Niemki z Frankfurtu. To precyzyjne, rytmiczne granie z porywającym groovem, oparte na motywach kulturowych wszystkich jej członków.

Jazz przybył na festiwal również spoza chorwackich granic, zapowiada Davor Hrvoj, chorwacki odpowiednik Pawła Brodowskiego, chodzący słownik jazzu, autor wielu jazzowych książek i artykułów. Z drugiej strony basenu morza śródziemnego przy płynął włoski, bardzo ciekawy, etno-free-jazzowy Luca Ciarla Quartet, w składzie: Luca Ciarla – skrzypce i skrzypce barytonowe, Vincenzo Abbracciante – akordeon, Nicola Di Camillo – akustyczna gitara basowa i kontrabas oraz Francesco Savoretti – perkusja i perkusjonalia. To nadal nuta bałkańska naznaczona historycznym wpływem muzyki wschodniej i cygańskiej, przedstawiona przez kwartet wirtuozów o klasycznym wykształceniu. Z Francji, zaproszony przez Agencję Artystyczną „GRAgencja”, afro-jazzrockowy Su La Take z liderem, basistą Etiennem Mbappe i wspaniale zapowiadającym się, młodym skrzypkiem Clementem Janinet.

Fusion z Węgier – niezwykle energetyczny zespół Djabe w kompozycjach lidera-basisty Tamása Barabása, Vasko Atanasovski Trio i wielu, wielu innych.

Strawa duchowa nie byłaby pełna, gdyby nie poezja smaków autorstwa Mały Štrbinić i fran-

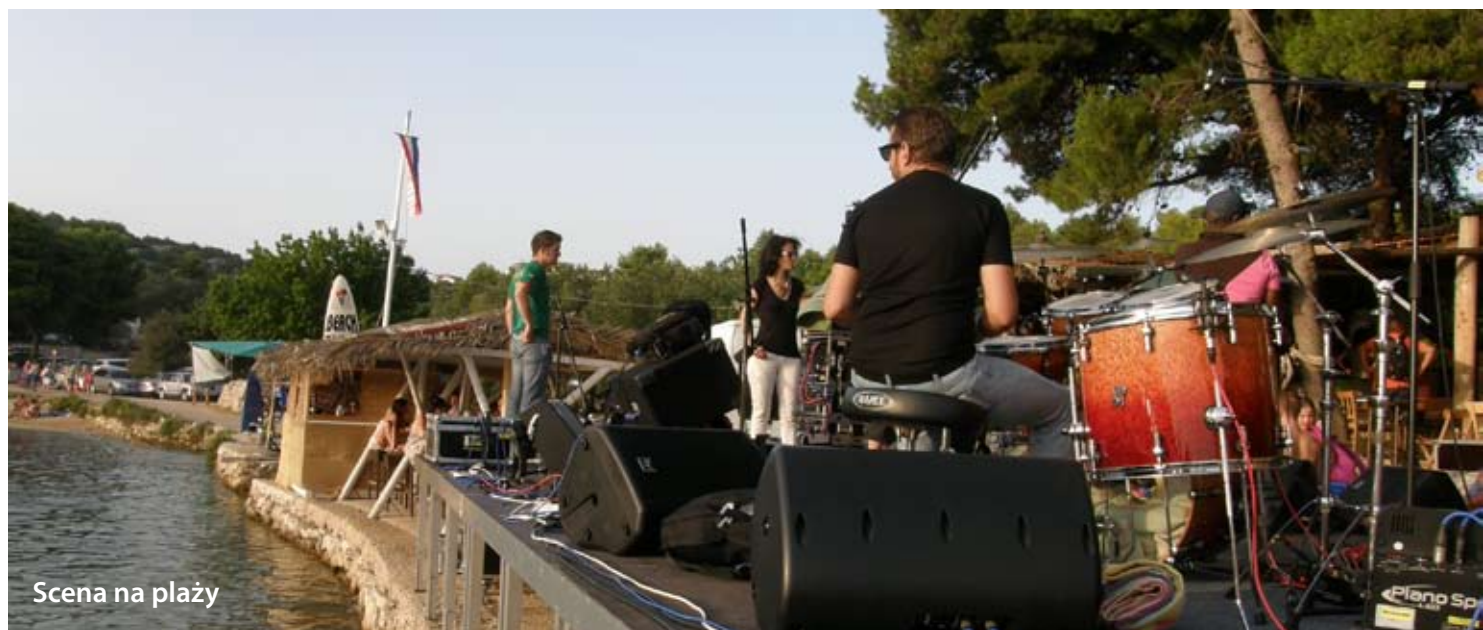
cuskiego kucharza gwiazd Jan Ive'a, którą karmiono nas i pojono w Jazz Konobie „Kamene Priče”. Propaguje się tu slow food i korzysta wyłącznie z domowych i lokalnych produktów, reklamowanych tablicą „Jazz Food and Drinks”. Dom, w którym mieszkał sam Giacomo Girolamo Casanova de Seingalt zobowiązuje do spotkań z historią i tradycją dolce vita.

Kada se pred čovjekom ispruži put i on odluči njime poći tada je samo jedno važno, a to je: održati ritam i smjer.

Oj, ciężko się rozstać, ale zza horyzontu wyłącza się już moja ukochana Dalmacja. Właściwy rytm złapany, kierunek obrany. Więc w drogę. Przecież wrócę. Bładym świtem, przez Adriatyk katamaran wiezie mnie do Zadaru, gdzie na brzegu fale grają na jedynej na świecie morskich organach. Potem Jadranska Magistrala i... nowe miejsce, nowi ludzie, kolejne wydarzenie.

5-6 sierpnia, IV Free Music Festival (Festival Slobodne Glazbe), Murter

Murter. Wyspa połączona z lądem, z widokiem na Park Narodowy Kornati (archipelagu stu dwudziestu sześciu, przeważnie bezludnych wysp, otoczonych otwartym morzem, gdzie fauna i flora wprost przytłacza bogactwem oraz różnorodnością gatunków i barw, a woda jest krystalicznie lazururowa). Czekają tu na mnie organizatorzy corocznego spotkania jazzującej braci, Mate Skračić, Tino (Valentino) Barešić, Mateja Šeneta i Darko Živković. Muzycy – hobbyści, organizujący czwarty już festiwal dla własnej przyjemności. Czekają też pogoda jak dzwon i kąpiel w ciepłym morzu, ale nie będę



Scena na plaży

nikogo denerwować i skupię się na jazzie.

Scena na plaży, morze tłem, widownia w pinowym zagajniku. Cykady, szum fal... Słuchamy.

Właściwie nie tylko słuchamy, ale i patrzymy w zachwycie na Raphaela Wressniga, szalonego hammondzisty z Wiednia z zespołem Party Factor, w którym, między innymi Harry Sokal na saksofonie, Lukas Knoefler za perkusją i nieprawdopodobny brazylijczyk, Luis Ribeiro na przeszkadzajkach wszelkiej maści. B-3 płonie żywym ogniem (dosłownie), tańczą na jego pudle dziewczyny, a sam Raphael w uniesieniu gra wszystkimi kończynami. Solidaryzuje się z ośmiornicami, czy jak?! One też chyba płasają w głębinach, zwabione porywającym rytmem. Show.

Dla uspokojenia Chui. Rodzimy, dalmacki skład prezentujący eksperymentalny free jazz, daleko wykraczający poza wyobraźnię prostej słuchaczki. „Morska suita” na różnego rodzaju gębofonach w ustach kompozytora i lidera

Toni Starešinića z towarzyszeniem Andreja Jakuša na trąbce (w koszulce z napisem Kraków) i Đuro Dobranića na perkusji i instrumentach perkusyjnych przeniosła mnie w świat opowieści o syrenach i korsarzach... dwudziestego pierwszego wieku. Rock, jazz, ambient, elektronika, d'n'b, hip hop, funk i sama nie wiem co jeszcze. Pięknie grali chłopcy. Wart uwagi był też jazzrockowy, amatorski zespół z funkowym zacięciem, o wpadającej w ucho nazwie Ti Ritu Piri Pit, której niekompletnie ubrany, acz niebrzydki wokalista porwał do tańca i zachęcił do śpiewu szczególnie damską część publiczności.

Na kolację lignje na żaru z kieliszkiem dobrze schłodzonego wina i ahoy, przygodo! Już około czwartej nad ranem (choć nie koniec grudnia to, a środek sierpnia) mogłam spakować mój hand-luggage, żeby przed szóstą wyruszyć w sentymentalną podróż Jadranską Magistralą w kierunku „mojego” Splitu. Stąd promem, po siedmiu godzinach dotarłam do serca Dalmacji, wyspy Korčula, na której urodził się i żył Marco



Przewodnik koncertowy

Polo. Co będę spać? W domu się wyśpię!

Potrebno je kretati se i ne stati. Nikako stati.

7-9 sierpnia, Last Minute Open Jazz Festival cz.II,
Vela Luka, Korčula

Wielokrotnie czytałam o tych bajkowych hotelach na plaży, z palmami za oknem i szumem morza zamiast kołysanki... Pokpiwałam sobie z ludzi, którzy takie miejsca na wakacyjne siedziby wybierają. I co? W jednym z nich, mnie, zagorzałej przeciwniczce luksusu, przyszło teraz zamieszkać. Nie będę wybrzydzać, choć Dalmacja, od kiedy pamiętam, była dla mnie prawdziwym domem nieturystycznym, dalekim od zagranicznych tłumów.

Miejscowość Vela Luka przywitała mnie więc komfortem i dobrze znanymi twarzami w nowym otoczeniu. Organizacją festiwalu zajął się bowiem ponownie Tomislav Pavleka z przyjaciółmi, na prośbę lokalnych muzyków i mieszkańców. Gospodarzami byli Željko Glaser, Marijana Knezoći i Vanda Dragojević.

Po raz pierwszy międzynarodowy jazz zawitał w te strony, po raz pierwszy też istriański festiwal zaprezentował swą drugą, oddaloną o 500 km, opaloną twarz i niebieskie, dalmatyńskie oko.

Debiut, a żadnej prowizorki nie było. Sound-check zapowiedziany na szóstą był o szóstej, koncert na dziewiątą, o dziewiątej.

Dźwięk, dzięki braciom Sašy i Goranowi Farkaš z etno-zespołu „Veja”, najwyższej jakości, sce-

fot. Grażyna Studzińska-Cavour



na i scenografia na szóstkę z plusem. Elementy układanki zapięte na ostatni guzik bez stresu.

Pavleka, przez 16 lat pracujący w Amsterdamie jako manager (m.in. Buena Vista Social Club) hołduje zasadzie „holenderska precyzja, chorwacki luz”. I to się czuło.

Na kościelnym patio, niewiele większym od męskiej, beżowej chustki do nosa w dużą kratę, na które wiozły nas z hotelu maleńkie łódki-taksóweczki, zmieściło się bez tłoku ośmiuset miłośników jazzu. Wysłuchaliśmy między innymi rewelacyjnej, nagrywającej dla Blue Note wokalistki z Surinamu, Denise Jannah i jej New Quartet, a także Goran Ilić Quartet, gdzie odgłosy morza naśladował audiowizualnie znakomity, „cichy” perkusista Kruno Levačić. Do tańca przygrywał, kreśląc jednocześnie z gawędziarską swadą tło historyczne powstawania kompozycji Django Reinhardt’a, cygański Damiir Kukuruzović Gypsy Swing Quartet.

fot. Gordan Topic



Denise Jannah

Napięcie rosło, ale prawdziwa gwiazda Chorwacji zaświeciła ostatnia. Po raz pierwszy w swoim rodzinnym mieście wystąpił artysta, który dla kolejnej generacji Chorwatów jest niekoronowanym królem sceny. Nie tylko dla nich zresztą. Sama słucham go od lat, teksty znam na pamięć i nie mogłam uwierzyć, że tym razem zobaczę na żywo, a nawet porozmawiam. Idolem tym jest Oliver Dragojević. Starszy, niepozorny, przesympatyczny i szalenie otwarty człowiek, intuicyjny pianista, wokalista o niezapomnianej barwie głosu i wielkiej muzykalności. Dragojević od dawna łączy elementy ludowej muzyki Dalmacji ze współczesnością i z płyty na płytę dojrzewa. Łączy też pokolenia i miłośników przeróżnych gatunków. Znają go i śpiewają tu wszyscy. W ostatnim, zarejestrowanym koncercie, towarzyszyła mu orkiestra symfoniczna i już widać było, że improwizacja się w tym wiecznie poszukującym człowieku gotuje.

W Vela Luka wystąpił z doskonałym składem Elvis Stanić Group i pokazał prawdziwą, jazzo-

wą, wokalnie-instrumentalną klasę. Wprawdzie, jak mi powiedział, żeby zostać muzykiem jazzowym należy zapuścić włosy, przestać się czesać, nie prasować koszul, sypiać w autobusach, albo i wcale, zmieniać kobiety i pić do rana, a on... wnuki bawi, łodzią pływa i wielki świat go już nie ciągnie, nie mniej jednak koncert zagrał jazzowy, bisom do późnej nocy nie było końca, a nowa, jazzowa płyta już się w studio wyśpiewuje. Czekam.

Jeszcze jam w hotelowym klubie do białego świtu, spacer nadbrzeżem z Seką i Darko, Paški sir na kolanie z Sabiną i Mlivą, pożegnalne całusy dla Mii i Gorana i już znowu można pakować walizeczkę.

Promem do Splitu, przerwa na odwiedzenie starych kątów i całkiem nowych miejsc w towarzystwie starych i całkiem nowych znajomych. Marinho, wzięty autor komiksów jest tu nieocenionym przewodnikiem.

Ako je ikako moguće dobro je zapamtiti put. Zbog eventualnog povratka.

Wracamy więc. Autobus z epoki króla ćwieczka, napakowany po dach wiezie nas nocą, przez dziesięć długich, bezsennych godzin, spiralnie zakręconą, wąską Jadranską Magistralą w niezapomnianą, również z powodu ceny, podróż do Puli. Z prawej pionowa skała, z lewej przepaść nad morzem. Księżyc. Gwiazdy. Pięknie. Przyklejam nos do szyby i cieszę się jak dziecko każdym przystankiem w znanych mi i kochanych miastach. Trogir, Marina, Primošten, Sibenik, Biograd na Moru, Zadar, Opatija, Ri-

Przewodnik koncertowy

jeka... Pula. Szósta rano, uff... wysiadamy. Cel blisko, Bale niedaleko. Kupujemy bilety, autobus czeka na nas na stanowisku, a kierowca jakby znajomy... Uśmiecha się promiennie i wita ponownie na pokładzie tego samego pojazdu.

Jeszcze godzinka i jesteśmy w domu. Bo tak właśnie czuję się już w „Kamene Priče Jazz Konoba”. Wita nas zaspana Una, chorwacki owczarek, dozorczyńni dobytku. Spać.

Teraz moje własne, spokojne siedem dni. Bez festiwalu, bez tłumów. Dni na zwiedzanie miejsc, o których wiedzą wyłącznie miejscowi włóczędzy, dni na pisanie, na gotowanie, filozoficzne rozmowy z Nadą i Miro, zmywanie naczyń z Maśą, picie najlepszego na świecie gemišta przygotowanego przez Sir Nino z aromatycznej, domowej Malvaziji, na odpoczynek. Jeszcze pożegnalny koncert duetu Alba i Leo na sopran i gitarę flamenco i...

Potrebno je odrediti pravi trenutak polaska. Ponekad je samo sekunda dovoljna da prevagne protiv nas.

... nad Dolomitami, przez Oslo do Wrocławia. Polska. Syn, koty, kwadrofonii jeleniego rykowskiego za oknami. Jestem u siebie. Spokojnie. Wiem, że wrócę.

Treba znati što više o svemu što je na putu i uz put.

Na deser podziękowania dla premiera w gabinecie festiwalowych cieni, grafika i teatralnego scenografa, bez którego nie byłoby unikalnych dekoracji sceny, plakatów, bannerów, ulotek. Poety, którego wiersz „Upustvo za put” (Instruk-

cja Podróży) we fragmentach tu przytaczam. Dla muzyka z basem jak dzwon i harmonijką zawsze gotową do gry. Mojego przewodnika po chorwackiej kulturze, sztuce i historii, Zvonimira Kuhtiča.

Zvonimir jest również autorem scenografii i współproducentem pierwszego, chorwackiego, długometrażowego filmu o jazzie, autorstwa i w reżyserii Tomislava Pavleki i Stowarzyszenia „Akademija Svega”, którego premierę można było oglądać parę dni temu na uroczystości piętnastolecia „Jazz Klubu Koprivnica” w kinie Velebit.

Cilj je važan samo ukoliko su ustanovljene mjere. Bez mjera ciljevi su sumorni i razbacani kao oblaci pred Lastovskim arhipelagom.

Moja n-ta wizyta w Chorwacji pozostanie w pamięci jako wakacje życia.

Hvala lijepa svem, prijatelji!

I to by było na tyle...

Grażyna Studzińska-Cavour



Robert Majewski

fot. Marcin Wilkowski



Michał Miskiewicz

Kwartet Roberta Majewskiego we Wrocławiu

22. marca w barokowej Auli Leopoldina Uniwersytetu Wrocławskiego zagrał wirtuoz flugelhornu i trąbki Robert Majewski. Towarzyszył mu Sławek Kurkiewicz na kontrabasie, Wojtek Majewski na fortepianie oraz Michał Miśkiewicz na perkusji. Kwartet wykonał materiał składający się na bestsellerową, nagrodzoną Fryderykiem 2012, płytę *My One and Only Love*, którą Majewski nagrał wraz z Bobo Stensonem, Pallem Danielssonem oraz Joey'em Baronem. Tak jak sam album, koncert wypełniały amerykań-

skie standardy oraz utwory Krzysztofa Komedy i Jerzego Wasowskiego. Jak przyznaje Majewski w wywiadzie dla klubu jazzowego Vertigo, organizatora koncertu, ballady w nowych interpretacjach „brzmia bardziej dynamicznie, więcej jest długich improwizacji” a muzycy z polskiego składu „nadają programowi z *My One and Only Love* nowy wymiar”.

Marcin Wilkowski



Jarek Wist & Krzysztof Herdzin Big Band – *Swinging with Sinatra*

Pod nazwą *Swinging with Sinatra* kryje się projekt młodego wokalisty Jarka Wista oraz Krzysztofa Herdzina i jego siedemnastoosobowego big bandu, składającego się z czołówki polskich instrumentalistów. W zespole udziela się m.in. Piotr Wrombel, Marek Napiórkowski, Robert Kubiszyn, Jerzy Małek, Michał Tomaszczyk, Łukasz Poprawski i Paweł Gusnar, a podczas poprzedniego, styczniowego występu w Studio im. Witolda Lutosławskiego, za pulpitem zasiadli też Henryk Miśkiewicz i Maciej Sikała. Tamten koncert cieszył się tak dużym zainteresowaniem, że zapadła decyzja, by powtórzyć go w możliwie najbliższym czasie, czego owocem jest dzisiejsze wydarzenie. Warto też podkreślić, że płyta z programem *Swinging with Sinatra* – zarejestrowana w ubiegłym roku, podczas występu w Inowrocławiu i dostępna w sprzedaży zaledwie od początku lutego – już się podobno rozeszła i aktualnie trwa jej dotłaczanie. Taki stan rzeczy dodatkowo wyostrzał apetyt przed dzisiejszym wieczorem oraz sprawił, że żaden dopływający ze sceny dźwięk nie uszedł uwadze słuchaczy.

Projekt składa się z utworów, które – rzecz jasna – wykonywał niedościgniony Frank Sinatra. Premiera w wykonaniu Jarka Wista i big bandu Krzysztofa Herdzina, miała miejsce w lutym 2011 roku w Filharmonii Bałtyckiej. Od tego czasu artyści występują okazjonalnie z tym repertuarem i należą do jednego z niewielu pol-

skich big bandów, koncertujących w miarę regularnie.

Frank Sinatra podczas swojej kariery współpracował z najlepszymi aranżerami tamtych czasów, co – wszystkim późniejszym artystom – próbującym sięgnąć po tę twórczość – stawia poprzeczkę niebotycznie wysoko. Próby mierzenia się z czymś doskonałym, albo – o zgrozo – ulepszania, zasadniczo z góry skazane są na niepowodzenie. Jednak *Swinging with Sinatra* nie jest tylko miałym powieleniem istniejących pomysłów, lecz autorskim podejściem interpretacyjnym, połączonym z dyskretną wokaln aranżacyjną kreacją.

Podczas wieczoru z piosenkami Franka Sinatry zaprezentowany został m.in. *My funny Valentine*, *Love and Marriage*, *Night and Day*, a także *My Way*, do wykonania którego Jarek Wist specjalnie założył czarną muchę, by wyglądać bardziej dostojnie. Ten wymagający utwór słuchany był ze szczególną uwagą. Początek rozpoczęty trochę zbyt płytko nie zapowiadał optymistycznego zakończenia, jednak w dalszej części to wykonanie przełamało niewidzialną barierę i rozkwitło młodzieńczą werwą wokalisty. Nie zabrakło też takich szlagierów, jak *New York, New York*, *Come Fly with Me* czy *Mack the Knife* z *Opery za trzy grosze* Bertolda Brechta. Oprócz tego dwie kompozycje napisał Krzysztof Herdzin, które zgrabnie zostały wplecione

w oryginalny repertuar Sinatry. Były to *Frank's Blues* oraz rozpoczynający całe spotkanie, również instrumentalny *Young and Fresh*. Utwory były wzbogacane solowymi wstawkami poszczególnych muzyków, z których szczególne słowa uznania dla kilkakrotnie udzielającego się Jerzego Małka.

Swinging with Sinatra to przeprowadzony z dużym rozmachem spektakl, podczas którego słuchacze zostają przeniesieni w złotą epokę czarującego świata big bandów i swingu. Widowisko prezentuje wysoki poziom artystyczny, o który zadbali uznani i rozchwytywani instrumentalniści, niezmiennie kreatywny w swych aranżacjach Krzysztof Herdzin oraz odważny i obiecująco swingujący wokalista Jarek Wist.

Jak pokazuje czas, spektakl nie ma zamkniętej formy i wciąż jest udoskonalany. W stosunku do poprzedniego koncertu, został wzbogacony o dodatkową oprawę świetlną i dzięki kolumnowym lampom wydobyto dodatkowy przyjemny klimat retro. Z koncertu na koncert z pewnością da się zaobserwować także coraz większe zgranie i dojrzałość składu, a dzięki temu, że *Jarek Wist & Krzysztof Herdzin Big Band – Swinging with Sinatra* nie jest projektem jednorazowym, istnieje szansa, że uda mu się wspiąć na jeszcze wyższy poziom. I oby tak się stało, tym bardziej, że kto wie, może moda na big bandy jeszcze kiedyś powróci.

Koncert odbył się 11 marca w Studio Polskiego Radia im. Witolda Lutosławskiego w Warszawie.

Marek Nowakowski



Jarek Wist

fol.Marek Nowakowski



ToTu Orchestra: The Beginning

ToTu Orchestra to kolektyw dziewięciu muzycznych indywidualności, których połączyła scena klubu Pardon, To Tu. Przewodzi mu Waław Zimpel, który stworzył dla niej kompozycje odwołujące się do minimalizmu amerykańskiego.

W poniedziałek i wtorek 18 i 19 marca, w klubie-matce, odbyły się koncerty w małych składach. Pierwszego dnia najpierw zaprezentowali się: Jacek Kita, Waław Zimpel, Wojtek Traczyk i Hubert Zemler inaugurując to fascynujące przedsięwzięcie. Drugi set przyniósł zmiany personalne. Tym razem zagrali razem: Maciej Cierliński, Dominik Strycharski, Paweł Szpura i Mike Majkowski. Obydwa składy przedstawiły ciekawą i żywiołową muzykę, w której jednak stosunkowo niewiele dało się usłyszeć z nurtu minimalizmu. Był to pierwszy ważny test przed kolejnymi inspirującymi spotkaniami.

Drugiego dnia rano, w Sali Laboratorium CSW, rozpoczęły się pierwsze próby nad kompozycjami Waława Zimpla, natomiast wieczorem w Pardon, To Tu prezentacja postępów przed publicznością. Tym razem składy były inne, tak samo jak muzyka, którą usłyszeliśmy. Najpierw wystąpili: Dominik Strycharski, Waław Zimpel, Wojtek Traczyk i Paweł Szpura, którzy zaprezentowali muzykę bardziej stonowaną i z etnicznym posmakiem. Szpura dał się poznać z łagodniejszej strony, a Strycharski znów był świetny – z pewnością jego flety z pełnym składzie również będą miały niezwykłą moc.

W drugiej części wieczoru do głosu doszedł Jacek Kita, Maciej Cierliński, Paweł Postaremczak, Mike Majkowski i Hubert Zemler, którzy przenieśli słuchaczy w prawdziwy świat minimalizmu. Początek ich seta z powodzeniem mógłby nosić tytuł *Music for 5 musicians*. Mimo iż brzmiało to bardzo dobrze – był puls, radość i trans – jednak ta część trochę budziła moje wątpliwości, gdyż inspiracja Reichem była zbyt dosłowna. Ale przecież to były dopiero próby...

Ostatni dzień w Pardon, To Tu – prapremiera. Wystąpiła cała orkiestra, a z uwagi na jej liczebność, tamtejsza scena uległa modyfikacji i została powiększona. Zaprezentowano dwie kompozycje Zimpla, które zostały bardzo entuzjastycznie przyjęte. Powiem więcej – oczarowały słuchaczy i były ogromną zachętą, by w sobotę spotkać się ponownie.

Sobota, 23 marca, to finał niemal tygodniowych prób i trzech koncertów – innymi słowy wielkie święto, dzięki któremu mijający tydzień, już tydzień przed, okazał się wielkim. Jeśli oczekująca w napięciu na rozpoczęcie koncertu publiczność sądziła, że usłyszy tylko powielenie dwóch poprzednio usłyszanych kompozycji – choć w lepszym i bardziej zgranym wykonaniu – i jednej dodatkowej, nad którą trwały później jeszcze intensywne prace, nie przypuszczała jak bardzo się pomyli.

Koncert w CSW w zasadzie tylko trochę przypominał występ prapremierowy przed paroma

dniami. Zespół zaprezentował niesamowite zgranie, wspaniałe brzmienie oraz bardzo ciekawy i jeszcze trochę zmodyfikowany materiał. To wydarzenie na szczęście nie odejdzie w niepamięć, gdyż zostało zarejestrowane przez wytwórnię For Tune Records i ma ukazać się na jesieni. Wielobarwność instrumentów i charakterów artystów, magia rytmów oraz przemyślane kompozycje napisane indywidualnie pod kątem każdego z członków ToTu z osobna, stworzyło magiczny spektakl, w który wessana została publiczność. Przez tych kilka dni nastąpił niesamowity progres, a przecież środowca prapremiera także była niesamowicie ekscytująca. I wprawdzie rok się dopiero rozpoczął, jednak już teraz śmiało można powiedzieć, że utworzenie ToTu Orchestry jest jednym z najważniejszych wydarzeń roku, a ich występ w CSW bardzo silnym kandydatem do miana koncertu roku 2013. Było fenomenalnie.

Marek Nowakowski

radioJazz.fm



fot. Bogdan Augustyniak



Oregon w Palladium

4 marca w ramach Ery Jazzu w warszawskim klubie Palladium wystąpił kwartet Oregon, który uważany jest za jeden z zespołów legend. Powstał w 1970 roku i gdyby nie tragiczny w skutkach wypadek samochodowy, który zabrał perkusistę Collina Walcott'a, a ten był m.in. uczniem Raviego Shankara, co niewątpliwie nie pozostało obojętne na charakter brzmienia zespołu, pewnie do dzisiaj graliby w niezmiennym składzie. Mimo tej dotkliwej straty pozostali członkowie zdołali się pozbierać i poza tamtą niedługą, przymusową przerwą, grają razem nieprzerwanie do dziś, angażując do składu pod koniec lat 90. perkusistę Marka Walke-
ra, z którym związali się na stałe.

Fenomen zespołu polega też na tym, że został stworzony przez multiinstrumentalistów. Ralph Towner poza gitarą, poniedziałkowego wieczoru zasiadał także za fortepianem i klawiszami elektrycznymi, a z powodzeniem potrafi posługiwać się też jeszcze kilkoma innymi instrumentami. Paul McCandless z niesłychaną starannością grał na różnych instrumentach dętych, a miał ich wokół siebie naprawdę sporo. Dął odpowiednio w obój, klarnet basowy – wstawkami z którego w utworze *Creeper*, rozpoczął się regularny występ – a także w saksofon sopranowy, tenorowy i sopranino, a na moment sięgnął też po flet piccolo. Pomimo tak dużej liczby instrumentów o różnej budowie, i które tym samym wymagają zupełnie odrębnego traktowania i zastosowania innych technik gry, wydobywane dźwięki brzmiały równie znakomicie i precyzyjnie. Nie było tutaj słychać żad-

nych słabszych momentów. Nie uświadczylimy ich również podczas całego koncertu, a ten był perfekcyjny. Glen Moore grał co prawda tylko na kontrabasie, lecz nie sposób temu ciepłemu i delikatnemu brzmieniu cokolwiek zarzucić. Najmłodsze ogniwo w zespole, bo występujący z Oregonem *raptem* kilkanaście lat Mark Walker, który siłą rzeczy już się wtopił w brzmienie zespołu, delikatnie je zmieniając za sprawą bardziej klasycznie jazzowej perkusji, dodawał subtelnego, wyczuwalnego rytmu, a dzięki użyciu różnego rodzaju *przeszkadzajek* typu marakasy, czy mającemu swój rodowód w Ghanie caxixi, dodatkowo wzbogacał piękną grę kolegów z kwartetu.

Oregon zaprezentował słuchaczom to, co ma najcenniejszego. Usłyszeliśmy subtelną, wyrafinowaną akustyczną muzykę w najlepszym wydaniu, zawierającą w sobie wielopłaszczyznową materię z różnych zakątków świata, pełną harmonii i elegancji. Poza kilkoma utworami, jak choćby „As She Sleeps”, czy zagranym na zakończenie „Anthem”, przedstawione zostały w przeważającej części kompozycje z wydanego w ubiegłym roku znakomitego albumu *Family Tree*, utwierdzającego w przekonaniu, że pomimo 43 lat funkcjonowania, Oregon wciąż jest kreatywny i poszukuje oraz nie zamierza tkwić w jednym miejscu.

Bardzo ciekawie zaprezentowała się bodajże czwarta w kolejności kompozycja. Światło na scenie nieco przygaszono, uwydatnione zostały natomiast fiolety i zimne, niebieskie odcienie oświetlenia. Muzyka płynąca ze sceny zyskała wtedy intrygujące i trochę demoniczne oblicze.

Jeszcze jednym utworem utrzymanym w zaskakującej stylistyce, był pochodzący także z ostatniego albumu, raptem 68-sekundowy „Max Alert”, który tutaj przemienił się w rozległą improwizację. Rozpoczął się noisowo i zaskakująco elektronicznie, bardzo odbiegał od charakteru, z jakiego słynie Oregon. Z czasem muzycy, jakby próbując się samemu z tej *kłopotliwej* sytuacji oswobodzić, zaczynają sukcesywnie podążać w łagodniejsze i przystępniejsze rejony, kierując się w muzykę bardziej egzotyczną, etniczną, z domieszką lekkiego transu i także tzw. world music. Godna podziwu była ta brzmieniowa ewolucja od nurtu lekko industrialnego, po subtelny i na granicy wyczuwalności powiew Afryki.

Pozostałe utwory stanowiły już kwintesencję muzyki kwartetu, dla której zgromadziła się publiczność, choć może nie tak licznie jak zakładano. Nie da się ukryć, że występ był najwyższych lotów, przy czym skierowany do bardziej wymagających słuchaczy, potrafiących docenić sztuk instrumentalistów i ich niezwykle wieloelementowe brzmienie, kreowane z lekkością i polotem. Dzięki tej strukturze prezentowana muzyka przybliżała i pomimo tego, że była bardziej wymagająca, ze względu na czasem nie tak oczywistą rytmikę – choć przecież i melodii w niej nie brakowało – przez uniwersalność okazała się bardziej przystępna, gdyż nie zaadresowano jej tylko do jazzowej publiczności, lecz miłośników muzyki w ogóle.

Marek Nowakowski



fot. Krzysztof Wierzbowski



Sławomir Jaskułke – premiera płyty *Moments*

Sławek Jaskułke jest fantastycznym pianistą i zarazem kreatywnym artystą. Ale o tym wiadomo nie od dziś i właściwie nikogo, kto miał już kiedyś okazję zetknąć się z jego twórczością, nie trzeba przekonywać o słuszności tego stwierdzenia. Teraz jednak pojawia się szansa, aby nieco szerszy krąg odbiorców, niekoniecznie nastawionych wyłącznie na jazz, poznał tego muzyka. Wszystko to za sprawą najnowszego solowego albumu Sławka Jaskułke pt. *Moments*, który na rynku jest dostępny od 26 marca, a wydany został przez Universal. Nie tylko jednak siła wydawcy może sprawić, że pianista pojawi się w świadomości szerszego grona słuchaczy, ale również charakter muzyki, jaka została na płycie zarejestrowana. Jest ona bowiem bardzo przystępna, co absolutnie nie jest zarzutem. Ale po kolei.

Koncert promujący nowy album odbył się 2 marca w gdyńskim klubie Ucho i – co bardzo istotne – został zarejestrowany. Pozwala to mieć nadzieję, że zostanie w przyszłości wydany na DVD, czego sobie i naszym czytelnikom szczerze życzę. Sławek Jaskułke zaprezentował nam tego wieczoru osobistą i piękną opowieść, w którą słuchacze bardzo szybko dali się wciągnąć. Mimo klubowego wnętrza fortepian został nagłośniony po prostu perfekcyjnie, dzięki czemu mogliśmy doświadczyć wielu różnorodnych emocji przekazywanych za pośrednictwem klawiatury. Sławek Jaskułke znakomicie operował brzmieniem, a swoją biegłość techniczną pod-

porządkował temu, aby dźwięki niosły ze sobą również treść. Sam zresztą bardzo trafnie scharakteryzował własną muzykę stwierdzając, że nastał obecnie w jego twórczości okres piękna. Rzeczywiście utwory zaprezentowane przez pianistę takie właśnie były. Jaskułke pokazał, że jest muzykiem bardzo dojrzałym, który nie musi nikomu nic udowadniać, natomiast ma o czym opowiadać za pośrednictwem swojego instrumentu.

Materiał zaprezentowany przez pianistę w Gdyni można scharakteryzować również jako solową kontynuację projektu *DuoDram*, czyli duetu fortepianowego Sławka Jaskułke i Piotra Wyleżoła. Konstrukcja utworów jest tutaj często podobna, przede wszystkim jeśli chodzi o rytm, ale także wykorzystywane tempa czy sposób budowania napięcia. I tutaj właśnie dochodzimy do drugiego aspektu, który ma szansę sprawić, że muzyka zawarta na *Moments* Sławka Jaskułke może trafić nie tylko do jazzfana. Jest ona bowiem, podobnie jak w przypadku *DuoDramu* prosta (ale zdecydowanie nie banalna!), komunikatywna i niesie ze sobą bardzo duży ładunek pozytywnej energii. Jednocześnie pianista gęsto zagospodarowuje przestrzeń dźwiękową, dzięki czemu z łatwością utrzymuje zainteresowanie słuchaczy. Muzyczna akcja toczy się bowiem wartko nawet w bardziej lirycznych fragmentach. To wszystko może moim zdaniem sprawić, że *Moments* wiele razy zagości w odtwarzaczach osób na co dzień słuchających czego innego, nawet nieco mniej ambitnych gatunków muzyki. Podstawowym warunkiem jest jednak oczywiście posiadanie przez takiego słuchacza pewnego zasobu wewnętrznej wrażliwości.

Mam nadzieję, że koncert w Gdyni był pierwszym z wielu, na których będzie można posłuchać na żywo materiału z najnowszego albumu Sławka Jaskulke. Zasługuje on bowiem na zaprezentowanie go jak najszerzej publiczności. Natomiast o reakcje słuchaczy jestem zupełnie spokojny, gdyż nie da się wyjść z takiego koncertu bez uśmiechu na twarzy i pozytywnego nastawienia do świata.

Kacper Pałczyński



fot. Krzysztof Wierzbowski





POSTAĆ
JazzPRESS-u

fot. Piotr Gruchała

Jakby mi ktoś kiedyś powiedział, że to bym go wyśmiał!

Z Tomaszem Dąbrowskim rozmawia Roch Siciński.

R.S.: Jak muzyka jazzowa powinna się bronić przed zejściem do zupełnej niszy? Choć to już chyba teraz... Myślisz, że rozwiązaniem jest wpłynięcie do mediów masowych? Jak do nich trafić?

T.D.: Jest to rozwiązanie, i widać to na przykładach naszych muzyków, którzy przebili się do mediów nie tylko „branżowych”, jednym z nich jest chociażby Wojtek Mazolewski. Co do tego jak trafić, to myślę że trzeba robić swoje i nie kryć się z tym, nie czekać aż ktoś przypadkiem zauważy że robisz coś ciekawego.

R.S.: To chyba nie jest kluczowe, że poziom muzyczny nie zawsze idzie w parze z popularnością, muzycy bardziej sprawni medialnie mogą tego uczyć tych *bardziej sprawnych artystycznie* – że tak to brzydko nazwę...

T.D.: Najlepiej myślę kiedy obie kwestie idą w parze – potrafisz odnaleźć się i muzycznie i medialnie. Często jednak jest zauważalna dysproporcja pomiędzy tymi dwoma aspektami „bycia artystą”. Jedni dobierają „lepszych” od siebie muzyków by się za nimi schować, inni biorą do zespołu muzyków przy których mogą lśnić, którzy nie zabiorą im światła reflektorów i będą najlepsi. Mi najbliższe jest takie podejście do tworzenia zespołów, gdzie kierujesz się względami czysto muzycznymi, zafascynowany czyimiś brzmie-

e tak to będzie wyglądało,

niem, językiem muzycznym, energią, podejściem do kopozycji. Takie podejście kończy się tym że wybierasz ludzi często mniej znanych.

R.S.: Ale tak było zawsze.

T.D.: Jasne, Miles czy on (*T.D. wskazuje na zdjęcie Tomasza Stańki znajdujące się na ścianie redakcji RJ.FM*) myślę że robił i wciąż robi to samo. Obie strony na tym skorzystały. W przypadku Stańki to w ogóle nie ma żadnego *ale*, bo rolą jego sidemanów, nie było wyciąganie poziomu. Oni byli częścią maszyny którą Stańko chciał prowadzić po swojemu, grać własne rzeczy. Za co mam do niego wielki szacunek. Mimo tylu lat pracy, ciągle wymyśla nowe składy, zmienia repertuar. W tych sprawach trzeba mieć nosa, dobierasz zespół i jesteś pewien że zabrzmie świetnie... i brzmi, to ogromna sztuka. A co do muzyków to to podejście działa dobrze i na tych, którzy już są rozpoznawalni i cenieni, i na tych co za chwilę tacy się staną. To jest również element namaszczenia przez muzyka. Masz wielu bandleaderów: Art Blakey, Miles Davis, Tomasz Stańko czy Terrence Blanchard, którzy „wypuścili” na ten świat niezliczoną ilość fantastycznych muzyków, którym to swego rodzaju wyróżnienie pomogło w dalszej karierze.

R.S.: Nikt nie mówił, że świat jest sprawiedliwy, ale ciekawe jak szybko Maciej Obara byłby w tym miejscu gdzie jest gdyby nie przypadek i dostarczenie jego muzyki do Manfreda Eichera...

T.D.: Bycie muzykiem nie jest fair, bo gdyby było to każdy kto robi co należy byłby na szczycie, a jak wiemy tak to nie działa...

R.S.: A dziś Obara to europejski muzyk, szczególnie po *Take Five Europe*, po którym zmienił swoje podejście do wielu rzeczy właśnie wychodząc poza identyfikację z polskim jazzem i przyjęcie spojrzenia bardziej europejskiego.

T.D.: I dobrze!

R.S.: I bardzo dobrze!

T.D.: Myślę, że to jest problem z podejściem w Polsce do jazzu – jeśli tu w ogóle szukać problemu. Dla mnie w kwestii podejścia nie ma podziału między jazzem a jakąkolwiek inną muzyką. To działa w ten sposób: weźmy zespół *Afromental*, który w Polsce osiągnął ogromną popularność i robi muzykę na wysokim poziomie wykonawczym. Na popularności w Polsce się kończy, bo wyjeżdżasz za granicę i okazują się, że jest wiele bandów które robią to samo, tylko jest w tym większy autentyzm. Zespół grający muzykę zbliżoną do oryginału, bez własnego brzmienia, pomysłu oryginalnego nie ma racji bytu poza w tym przypadku Polską. Widzę jednak zmiany, w naszej stylistyce muzycznej. Jest więcej ludzi, którzy wychodzą na scenę europejską bo grają po swojemu, czerpiąc z tego skąd pochodzą lub też stawiając na własny sposób wyrazu. Najlepszym przykładem że to dobry sposób myślenia jest np. Kapela ze Wsi Warszawa, znana na całym świecie.



R.S.: Zapewne nie jest to obce także Twojemu doświadczeniu.

T.D.: Spotkałem się z tym wiele razy. Jeśli chodzi o moją muzykę to ludzie chcą tego słuchać, bo nie jest zmanierowane Stanami. U mnie broni się to, że nie chce być chłopcem z Nowego Orleanu, który ma grać bluesa jak czarny, bo jestem ze wsi Rożental pod Iławą i nie będę grał w ten sposób – to nie ma sensu dla mnie...

R.S.: Chociaż próbowałeś.

T.D.: Pewnie. Miałem taki czas; garnitur, skórzane buty, biała koszula, gramy standardy w swoich aranżacjach i jest fajnie... I to jest OK, bo to środek do rozwoju, nie cel. Z kwartetem i kwintetem graliśmy konkursy, ja dużo rzeczy wówczas spisywałem i zdecydowanie nie była to nasza muzyka, a wyuczone zagrywki i stałe schematy pokradzione od Mistrzów, nauka.... Dopiero ostatni konkurs na Bielskiej Zadymce z Markiem Kądziałą i Off Quartet był bez kompromisów i o dziwo, mimo że nie wygraliśmy, to jury nas doceniło.

R.S.: Chyba taki etap jest konieczny, buduje jakąś bazę, bo grać przecież trzeba jak najwięcej!

T.D.: Jak już zacząłem grać z innymi, po ustawieniu aparatu, to grałem sporo. Wtedy uczysz się najlepiej. Ten rok kiedy zacząłem grać, dał mi więcej niż trzy poprzednie „chude lata”. Chodziło o to żeby mieć swój zespół w którym można pograć. Konkursy to jest jednak jakiś deadline. Wyznacznik, że trzeba zrobić to, to, to i to, i gramy. Na moje szczęście (wtedy myślałem, że to szczęście) parę konkursów wygrałem.

R.S.: A to nieszczęście? (śmiech)

T.D.: Myślałem, że to tylko szczęście, a bywa że to piętno.

R.S.: Sukcesy konkursowe motywują muzyków i napędzają, na początku w wypadku zderzenia się z rzeczywistością pod koniec studiów jest to chyba szczególnie ważne, czy się mylę?

T.D.: Jest to sposób „wybicia” się, jest to też nauka, grasz na dużych scenach, wreszcie jest to inspiracja bo spotykasz inne zespoły i masz wgląd na to co się dzieje. Zdaje się że to nazywa się wymianą doświadczeń :). Kiedy ja jeździłem z moim zespołem na konkursy, to w tym co wtedy graliśmy było mało nas, mało mieliśmy do powiedzenia od siebie. To były bardziej studia, chodziło o to co się spisywało z nagrań, rzeczy, które się wiedziało z historii – ale to nie było *moje*. Uważam, że jest to dużo łatwiejsze granie w porównaniu z tym gdzie ja jestem teraz. Masz milion nagrań do których możesz się odwołać i wiesz jak to ma brzmieć. Na tym polegają konkursy. Kiedy słyszałeś o tym, żeby wyszedł band, grał po swojemu i został za to uhonorowany pierwszą nagrodą? No nie..., to kręci się wokół zespołów, które grają fajne mainstreamowe rzeczy.

R.S.: Chodzi Ci o przyklepnięcie jakiejś etykiety, z którą się zostaje i można w takiej stylistyce pozostać tak?

T.D.: Tak jest po konkursach, jesteś kojarzony z zespołem, stylistyką, co w przydadku diametralnej zmiany w podejściu jak w moim przypadku. Kończy się to tak że menadżer bukuje

kwartet jazzowy który zdobył nagrody tu i tu, a dostaje band bez basu ale za to z barytonem, trąbką, fortepianem i bębnami, a jeśli spojrzysz na partyturę to co takt zmienia się metrum. Jak przyjechałem do Danii to grałem be bop, co jest oczywiście niezbędne i daje warsztat, daje język, którym możesz się posługiwać. Dla mnie wydawało się to być oczywiste że studiujesz jazz więc zaczynasz od początku, historia, kto kiedy i jak grał. W Danii jest inaczej. Chcą grać frytę to zaczynają grać frytę, bez opanowania podstaw, bez bazy. Teraz jak wychodzę na jam session i kiedy gram z sekcją której nie znam, to gram długą smugę na początek po czym robię pauzę na 8 taktów i czekam, słucham z kim mam do czynienia. Jeśli słyszę, że bębniarz panikuje, tylko trzyma groove i nic się specjalnego nie dzieje, nie ma odpowiedzi, to dokładnie wiem, że to jest autopilot i nie ma muzyki.

R.S.: Uważasz, że grać należy dużo. Grywałeś z wielkimi nawet na zasadzie jednorazowych spotkań. Wysoko postrzegasz kulturę jamowania? Dużo jamujesz?

T.D.: Już teraz nie tak dużo. Szczerze mówiąc, właśnie dlatego teraz jamuję coraz mniej, bo poziom jamów jest „słaby” w porównaniu do „różny”. Jak jeszcze byłem w Warszawie, to już było takie pokolenie – przynajmniej na Bednarskiej – że nie chciało im się jamować, ale bardzo chcieli grać ze sobą kiedy to gig, najlepiej płatny. To jest smutne, ale przykonałem się o tym dopiero kiedy wyjechałem do Danii. Tam możesz grać z każdym. Pamiętam, że grałem egzamin wstępny do Odense i po tym jak zagrałem podchodzi do mnie dziekan Anders Mogensen (perkusista



fot. Piotr Gruchała



grający z T.D. na zeszłorocznym albumie „Tom Trio” – R.S.) i mówi „Świetnie brzmiałeś, powinniśmy coś razem pograć”, pomyślałem że to żart. Wiesz przychodzę stąd; gdzie rozstrzał między *uczniakiem* a *Panem Profesorem* jest bardzo duży i nie ma w ogóle szans, żeby tak pograć, w ten sposób się uczyć. Nie. Tutaj cały czas jest podbijanie ego, że „to jest *Ten Pan Profesor*”. W Polsce moim zdaniem nauczanie, bycie pedagogiem jest karą. Zarabiasz marne pieniądze, traktują Cię jak byle kogo, jesteś przecież zwykłym nauczyciel. W Polsce to jest wyznacznikiem tego, że – o ile nie robisz tego z pasji(!) – robisz to, bo nie możesz się utrzymać z grania własnych koncertów. Moim zdaniem jesteśmy w takiej kulturze, że wszyscy chcą mieć wszystko od razu, że zapomina się o procesie. Jeśli chcesz grać po mistrzowsku i chcesz robić swoje, to masz się tego nauczyć także na jam session albo z working bandem. Chyba że chcesz grać koncerty solowe przez całe życie, ale to raczej się nie uda...

R.S.: Przecież skoro idziesz na studia jazzowe, to kochasz grać, czy znowu mam zbyt bujną wyobraźnię?

T.D.: Często rozdziela się bycie człowiekiem i bycie muzykiem. *OK, na jam session będę muzykiem, a tak naprawdę to mi się nie chce, bo nie ma z tego kasy*, – widziałem to wiele razy. To trochę tak jak podział, że „teraz próbujemy”, a „teraz gramy koncert”. Rozmawiałem o tym z Marciem Ducre, który powiedział coś takiego: Muzyka, nie ma znaczenia czy próbujesz to w salce z kolegami, czy grasz to na scenie. Nie „próbujesz” tylko robisz muzykę, w tym danym momencie. Wierz mi że podejście robi bardzo dużą różnicę.

R.S.: No właśnie, jestem przekonany, że możesz opowiedzieć o bardziej pozytywnych postaciach i postawach!

T.D.: Byłem w Berlinie ostatnio, miałem sesję z Henrykiem Walsdorffem, bardzo znaną postacią na Niemieckiej scenie, ja go słyszałem wcześniej tylko jak grał free i byłem na to przygotowany. Dlatego też zaczęliśmy od wolnej improwizacji, a on po tym utworze nagle mówi: *To co panowie? Jakiś standard?* i zaczęliśmy grać „On the Sunny Side of the Street” i Walsdorff grał tak pięknie że nie mogłem uwierzyć... myślałem że grać free i bebop – oba na tak wysokim poziomie to za wiele. Mimo tylu lat gry widać, że jemu się chce, że ma *fun* cały czas. Robi to, bo to autentycznie kocha, a nie po to żeby go ktoś do projektu zaprosił i najlepiej sownie wynagrodził. Spotkałem się wtedy nie tylko z nim, ale też grałem z Janem Roderem, Axelem Dörner i to dokładnie takie samo podejście. Po prostu napisałem do nich maila, a to ludzie którzy grają od 40 lat różne najdziwniejsze rzeczy, odpowiadają mi „Jasne, jak najbardziej, pograjmy razem, przyjeżdżaj”, bez oczekiwań, dla muzyki. Nie ma między nimi, a tobą żadnego dystansu – to jest to!

R.S.: Zaraz przypominają mi się Twoje zmagania za oceanem z Drurym, Soreyem, Davis kiedy ten materiał trafi do naszych odtwarzaczy?

T.D.: Wszystko w swoim czasie. Teraz wychodzi pierwszych 8 płyt wytwórni For Tune i pośród nich słyhać mnie na trzech krążkach. Mój autorski projekt – album Steps z Tyshaw-nem Soreyem, do tego dochodzi Hunger Pangs

z Markiem Kądziałą i Kasperem Tomem Christensenem – zespół inspirowany berlińską tradycją zespołów bez basu, oraz wydanie koncertu z MAQ z gościnnym udziałem Macieja Obary i moim. Wszystko ukazuje się przeciągu najbliższych dwóch miesięcy, warto poszukać na półkach sklepów muzycznych i śledzić poczynania wydawnictwa For Tune.

R.S.: A koncerty? Póki co w Polsce nie spodziewać się koncertów z Tyshawnem?

T.D.: Chciałbym bardzo zagrać ponownie z Tyshawnem w Polsce, szczególnie jeśli będzie można to połączyć właśnie z promowaniem płyty. Póki co gramy w Danii na Sommer Jazz Festival w Odense. Mam wiele na głowie teraz, sporo płyt i projektów, zeszły rok był dla mnie niezwykle aktywny, teraz pojawiają się nowe pomysły i propozycje współpracy.

R.S.: Ten rok nie mniej. Na ilu okładkach przeczytamy Twoje nazwisko?

T.D.: Na siedmiu krążkach... Jak wspomniałem: DĄBROWSKI & SOREY „Steps”, HUNGER PANGS „Meet meat”, MAQ feat. Obara & Dąbrowski „Boozer”, prócz tego kolejna moja płyta Dąbrowski 3D z Kris Davis i Andrew Drurym, album zespołu Pulsarus którym zawiaduje Dominik Strycharski. Prócz tego wydajemy płytę projektu Cloud Crystal w Danii, to 13-osobowa orkiestra z muzykami z Polski, Danii, Czech i Włoch, dla której komponuję razem z Kennethem Dahl Knudsenem i Svenem Mainildem.

R.S.: Bedziesz bogaty!

T.D.: (śmiech)

R.S.: Tym samym trochę wracamy do problemu niszowości muzyki ambitnej, do której ciężko dokończyć się rozgarniając cały pop jaki nas zasypuje, a razem z nim nie małe kwoty...

T.D.: Wiele razy doświadczyłem tego, że ludziom nie chce się chodzić na koncerty. I nie wiem dlaczego. Może przez (w pewnym stopniu) cały ten syf związany z programami na żywo w telewizji. Siadasz przed telewizorem, widzisz show, masę ludzi, pozytywną energię, światła itd. Myślisz, że bierzesz udział w czymś ważnym. To jest twoja dawka „kultury”. Ilość osób na koncertach klubowych to często jest dramat, choć w Polsce jest dobrze. Takie podejście do kultury często się zmienia w sytuacji zetknięcia z muzyką na żywo w tym wypadku awangardą. Kiedy ktoś, nawet przez przypadek, trafia na koncert i zostaje wciągnięty w machinę. Mówimy o muzyce mniej mainstreamowej, czyli takiej do której się ciężko odwołać do przykładów z radia czy wysłuchanych płyt, a inaczej mówiąc trzeba trochę w tym siedzieć. Taką muzykę powinno się odbierać – jak dla mnie – na poziomie energetycznym. Taki przypadkowy słuchacz ma okazję zobaczyć i posłuchać czegoś, czego nigdy wcześniej nie doświadczył – na scenie grupa ludzi, która w intymny muzyczny sposób opowiada mu od samego początku o bardzo osobistych sprawach. Możesz nie rozumieć języka którym ktoś się posługuje, ale jeśli brzmi to ciekawie, osobliwie to zapewne chętnie posłuchasz chociaż przez chwilę. Przy odrobinie szczęścia wrócisz do domu i dowiesz się więcej na temat tego czego właśnie doświadczyłeś.



R.S.: Wszystkie albumy, które planujesz będą dystrybuowane w Polsce?

T.D.: Postaram się, żeby tak było. Myślę – może nieco naiwnie – że jeśli ludzie siedzą w takiej muzyce, jest ona ich pasją, to wiedzą gdzie szukać nagrań, potrafią do nich dotrzeć. Nie wszystko musi być na półce w Empiku. Wiem to również z własnych doświadczeń, z ilości maili w tej sprawie choćby na podstawie zapytań o egzemplarze „Tom Trio”.

R.S.: Echa „Tom Trio” pobrzmiwają, teraz nominacja do Fryderyka 2013 za debiut roku... podejrzewam, że jesteś usatysfakcjonowany tym materiałem?

T.D.: Jestem zadowolony. Wiesz czemu? Jak tego słucham, to nie wiem kiedy kończy się temat, a zaczyna kompozycja.

R.S.: To chyba najspójniejsza płyta wydana w zeszłym roku.

T.D.: Zależało mi na tym, żeby całość nie była poszatkowana...

R.S.: No i to debiut trio, trochę kazaleś nam czekać!

T.D.: Gdyby to wynikało z ciśnienia to wydałbym debiut w trio w wieku 20 lat, ale wtedy nie miałem nic do powiedzenia. A teraz – wydaje mi się – ten materiał ma jakiś przekaz i jest autentyczny, a to jest dla mnie najważniejsze. Przyszedł moment kiedy poczułem, że to jest ten czas, zebrałem zespół, po prostu zdecydowałem się na ruch.

R.S.: Wiem, że twój start nie był łatwy zarówno w kraju, gdzie miałeś 2-letnie problemy z ustawieniem zadęcia, jak i w Danii gdzie parałeś się różnych zawodów, żeby móc tam w ogóle przebywać. Możesz coś o tym opowiedzieć naszym Czytelnikom?

T.D.: To prawda, w Danii przez pierwsze trzy lata miałem się różnych zajęć. Trzeba było znaleźć robotę, a w kraju, którego języka nie znasz, nie wiesz jak co działa, uczysz się ich kultury od samych podstaw, nie jest łatwo znaleźć cokolwiek. Byłem bardzo zadowolony kiedy zostałem zaproszony na rozmowę o pracę w kasynie. Pomyślałem, że to niezły początek, zaczynać w takim miejscu. Pracowałem tam ponad trzy lata i bardzo mi to pomogło. Nieco inaczej było, kiedy podjąłem pracę w domu wariatów. Zawsze w poniedziałki o 6 rano – bardzo zdrowy początek tygodnia... Nie był to oddział zamknięty, także nikt z pensjonariuszy nie był groźny. W umowie miałem jednak zapis, że każdego dnia pracy musiałem usiąść razem z mieszkańcami i zrobić sobie 15 minut przerwy na kawę, porozmawiać, wzbudzić zaufanie, pokazać że jestem „swój”. Mocne doświadczenie. Kiedy pracowałem, to nigdy w typowych godzinach. Raczej nie byłem wypoczęty na zajęciach, ale miałem świadomość, że muszę czerpać z nich jak najwięcej. Praca była środkiem do możliwości studiowania tam, po to zarywałem noce, żeby móc robić to co kocham, na tyle na ile tylko mogłem.

R.S.: Nadszedł jednak moment, kiedy Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego uśmiechnęło się w twoją stronę i postanowiło finansować wyjazd do Nowego Jorku.



T.D.: Tak, poczułem, że ktoś docenia moją pracę. Tym bardziej, że wiem jak rzadko ministerstwo dotuje tego typu projekty.

R.S.: Zestawiając plusy i minusy dotychczasowej pracy, czy jak kto woli „kariery” jak widzę jesteś szczęśliwym człowiekiem, ciekawe gdzie będziesz za 5 czy 10 lat. Zastanawiasz się czasem nad tym?

T.D.: Zdaża mi się, jasne. Wiem że nie obchodzi mnie to gdzie będę mieszkał, chce dalej mieć taki sam *fun* jak teraz. Na prawdę uważam się za szczęśliwego człowieka w miejscu w którym teraz jestem. Jestem w szczęśliwym związku, nagrywam płyty, realizuję się jako muzyk. Chcę mieć dom, założyć rodzinę, dalej

rozwijać się na każdym możliwym polu. Zdarza się, że z propozycją dzwonią do mnie muzycy, których podziwiałem tak niedawno, myśląc że granie z takimi gigantami to byłoby spełnienie marzeń. Więc oni dzwonią i co? Zdarza mi się odmówić, bo w kalendarzu mam już coś innego. Jakby mi ktoś kiedyś powiedział, że tak to będzie wyglądało, to bym go wyśmiał. Że będę żył z grania mojej muzyki, grania po swojemu, komponowania, będę jeździł do NY nagrywać płyty, grał z muzykami których podziwiam, po prostu bym nie uwierzył.

□



fot. Monika S. Jakubowska

Co Fletcher warzy w garze?

Monika S. Jakubowska: Zaczniemy od tego co powiedziałaś, gdy spotkaliśmy się pierwszy raz pod Ronnie Scott's...

Mark Fletcher: Wszystkiego najlepszego?! (śmiech)

MSJ: Nie, nie o to mi chodziło ale całkiem dobra wymowa!

MF: Sam się dziwię, że wciąż to pamiętam! Po tylu latach i po takich ilościach wypitego w Pol-

Mark Fletcher (ur. 1960 r.) jest najbardziej wszechstronnym i rozchwytywanym perkusistą brytyjskim. Doskonale gra jazz, funk, rytm & soul czy rock. Najbardziej kojarzony ze względu na wieloletnią współpracę z Liane Carroll i Ianem Shawem, the Ronnie Scott Legacy Band, BBC Big Band, Ronnie Scott's Big Band, John Etheridge, Soft Machine itd. Należy też wspomnieć o jego współpracy z takimi artystami jak Dizzy Gillespie, Michel Legrand, David Gilmore, Harry „Sweets” Edison, Tim Garland, Flora Purim, Johnny Griffin, Norma Winstone, Georgie Fame, James Moody, Cedar Walton i wielu innych. Od późnych lat 80. należy do stałego składu muzyków grających w Ronnie Scott's, światowej sławy klubie jazzowym, działającym nieprzerwanie od 1959 r. W lipcu 2012 r. stworzył Fletch's Brew (*Brew – napar, wywar*) i wraz z pozostałymi członkami grupy stanowią mocno brzmiący dowód na istnienie zjawiska fuzji w jazzie. Pełen pasji, anegdot i co chwilę strzelający salwami śmiechu. Nieskromny ale bez fałszu.

...sce alkoholu. Polacy są bardzo gościnnymi ludźmi i przez tę gościnność niewiele pamiętam z wyjazdu.

MSJ: Wrócimy do tego. Teraz pozwól, że przytoczę Twoją wypowiedź: „Ronnie Scott i ja, tylko saksofon i perkusja. Miał numery do wszystkich najlepszych muzyków na świecie, a zadzwonił do mnie”...

MF: Zgadza się. Znał absolutnie wszystkich i wszyscy znali jego. Byliśmy dobrymi kumplami, często razem graliśmy. Kiedy Ronnie trafił do szpitala – dniami i nocami przesiadywałem

przy jego łóżku opowiadając mu różne historie. Bardzo lubił moje poczucie humoru i obaj często śmialiśmy się do łez. Nasza znajomość zaczęła się dzięki temu, że rozbawiłem go swoją wizytówką. Na wizytówce widniało: Mark Fletcher, poniżej – perkusista, a jeszcze niżej – „daj nam zagrać u siebie sukinsynu!” („Give us a gig ya bastard!”). Podawszy Ronniemu wizytówkę, czekałem na reakcję. Przeczytał, zaczął się śmiać, a za kilka dni zadzwonił. I tak się to zaczęło!

MSJ: A perkusja – twoja miłość od pierwszego widzenia? Słyszenia?

MF: Mój ojciec był perkusistą. Pewnego dnia zdecydował się sprzedać perkusję, a następnego powiedziałem ojcu, że chcę zacząć grać! (śmiech) Wiem, wiem, mało w tym logiki. Miałem wtedy 9 lat i były lata sześćdziesiąte. Za kilka dni dostałem swoje pierwsze gary, a niedługo potem grałem pierwsze koncerty. Jako jedenastolatek graniem zarabiałem na życie.

MSJ: Szkoła muzyczna?

MF: Eeeeeee, strata czasu! Nie chodziłem do żadnej szkoły muzycznej ani żadnej średniej. Nie zdawałem egzaminów i nie mam żadnych kwalifikacji. Nie mogłem chodzić do szkoły, bo wiecznie miałem jakieś koncerty do zagrania, w związku z czym edukację zakończyłem dość wcześnie. Poza tym, grając zarabiałem więcej niż wynosiła miesięczna pensja nauczyciela. Więc rozumiesz, że do szkoły wcale mnie nie ciągnęło.

MSJ: Czyli nie miałeś tego typu rozterek jak niektó-

rzy artyści, zastanawiający się nad wyborem pomiędzy pracą zawodową a pasją?

MF: Nigdy. Wszystko, co kiedykolwiek robiłem w życiu to gra na perkusji. Żyłem z grania i żyję tak do tej pory. Nigdy nie byłem bezrobotny, nigdy nie brałem zasiłków. Jestem zdeklarowanym anarchistą i przeciwnikiem systemu. Prowadzę cygański tryb życia i nigdzie nie zagrzałem miejsca na dłużej.

MSJ: Więc cała muzyka w Tobie – po tacie, przekazana w genach, nieoszlifowana przez szkoły...

MF: Owszem, nie uczęszczałem do szkół ale pobierałem prywatne lekcje. W latach 1971-1972 uczył mnie niesamowity Bill „Snowy” Evans. Potem trafiłem do Maxa Abramsa, kolejnego znanego londyńskiego bębniarza. Max uczył wszystkich perkusistów, którzy później sami zdobyli sławę. Pamiętam miałem wtedy 12 lat i mieszkalem z rodzicami w Coventry. Na lekcje do Maxa musiałem dojeżdżać do Londynu. Podróż trwała około 1,5 godziny a bilet kosztował 75 pensów w dwie strony! Ha, to były czasy!

MSJ: Jesteś nazywany najbardziej wszechstronnym perkusistą w Wielkiej Brytanii. Skąd ta wszechstronność?

MF: Od dziecka słuchałem bardzo różnej muzyki i we wszystkim znajdowałem coś, co mi się podobało. Wczesny rock&roll sprawiał, że dosłownie rozkładało mnie na łopatki i rzucało na kolana. Mówię o tym najprawdziwszym, z lat 50. Jeszcze Count Basie Big Band Orchestra i George Shearing. Do tego wszystkiego



Jimi Hendrix i Led Zeppelin. Sama widzisz jaka to eklektyczna mieszanka, ale z każdego gatunku potrafiłem wyłuskać coś dla siebie. Często udzielam lekcji, co też nazywam dobrym sprawdzianem umiejętności. Można, owszem, zagrać coś poprawnie, nauczyć się techniki, ale jeśli nie grasz prosto od serca, to słyhać to od razu. Z miejsca jestem w stanie powiedzieć kto ma w sobie pasję, a kto gra bo gra. Mówię na przykład: zagraj mi bebop. Słyszę, że technicznie jest ok., ale czegoś mi w tym brak i wiem, że delikwent nie przepada za tym rodzajem muzyki. To jakby udawać, że się jest poetą... Znasz język, znasz alfabet, litery układasz w wyrazy, wyrazy – w zdania, ale nie ma w tym rytmu. Nie jest to wytworem serca a głowy.

MSJ: A czyją płytę znajdę dzisiaj w Twoim odtwarzaczu albo na IPodzie?

MF: Uwierzysz w to, że rzadko słucham muzyki? Naprawdę! Jeśli już, to wtedy, gdy prowadzę samochód. Ostatnio jeżdżę bardzo starym klasycznym autem, w którym nie ma odtwarzacza na płyty, ale kasety magnetofonowe. I wiesz co? Mam w domu pudła, a w nich setki kaset z nagraniami koncertów w Ronnie Scott's. Myślę, że jest na nich zarejestrowane jakieś 25, może 26 lat. Najlepsze jest jednak to, że żadna z tych kaset nie jest podpisana (śmiech)! Więc zanim wyjdę z domu, losuję kasetę i podekscytowany wkładam do odtwarzacza. I pamiętam każdy z tych koncertów. Pamiętam kto grał i kiedy to było!

MSJ: Gratuluję doskonałej pamięci!

MF: Niestety nie pamiętam co było wczoraj – środa? Czwartek?! (śmiech)

MSJ: Który z Twoich pierwszych koncertów zapadł Ci w pamięć?

MF: Nie tyle koncert, co cała trasa koncertowa znanego amerykańskiego wokalisty Johnny'ego Ray'a. Szczyt jego kariery przypadła na lata 50., zaś w trasie byłem z nim w latach 70. Dostałem tę robotę, bo wcześniej, gdzieś przy okazji, poznałem promotora koncertów, który później promował trasę Ray'a. Zatrudnił mnie, bo twierdząco odpowiedziałem na pytanie czy czytam nuty. Nie była to więc ani długa, ani trudna rozmowa o pracę.

MSJ: W 1959 r. saksofonista Ronnie Scott otworzył klub, w podpiwniczeniu jednej z kamienic londyńskiego West Endu. Miejsce szybko zyskało sławę i od wielu lat jest jednym z najbardziej popularnych klubów jazzowych na świecie. Jesteś tam „house drummer” od połowy lat osiemdziesiątych. Opowiadaj...

MF: Zanim tam trafiłem, słyszałem o Ronnie Scott's. Już w latach siedemdziesiątych klub uchodził za mekkę dobrej muzyki. Trafiłem tam po raz pierwszy w 1978 r. W tamtym okresie grałem regularne koncerty z Big Bandem w Reading. Na basie grał z nami Trevor Horn, który dziś jest znanym producentem muzycznym. Trevor stale powtarzał: jedziemy do Ronniego. Był czwartek, a we czwartki można było wejść na kartę związku muzyków, co kosztowało zaledwie funta. Pojechaliśmy. Na scenie zobaczyłem grającego Ronniego i cały jego ówczesny band. Parę lat później, na tej samej scenie, za perkusją usiadłem ja!

MSJ: I tak bez przerwy? Od 1988 r.?

MF: Przez większość czasu tak, o ile nie byłem w trasie, co też zdarzało się często. Mniej więcej od 1988 r. jestem tam w stałym składzie, już bez dłuższych przerw. Bywało, że grałem koncerty przez 6 tygodni, bez dnia przerwy. Kiedyś organizowało się artyście koncerty i ten koncertował noc w noc, na przykład przez tydzień albo dwa. Teraz wygląda to trochę inaczej, bo ogranicza się do jednego czy dwóch występów. Jednego wieczoru grałem w głównym składzie, innego w suporcie, ale zdarzało się też tak, że grałem w obu składach! I teraz pomyśl – z każdym zespołem po dwa pełne sety. Wchodziłem na scenę o 21.40 i schodziłem z niej około 3.00 nad ranem... To naprawdę ciężka praca!

MSJ: Wspominałeś nie raz, że klub zmienił się przez te wszystkie lata.

MF: O tak! Ktoś, kto był stałym bywalcem klubu, nie poznałby miejsca. Dziś jest to dobrze prosperujący biznes, który pomimo trudnych czasów odnosi spektakularne sukcesy. Management stawia na image, obsługę klienta, jakość serwowanych dań czy drinków i słusznie, bo przetrwali i dzięki temu istnieją. W przeszłości liczyła się tylko muzyka. Stałych bywalców jest dziś niewielu, a większość osób siedzących na widowni to turyści. Ale bez najmniejszych wątpliwości, Ronnie Scott's nadal należy do światowej czołówki klubów jazzowych.

MSJ: Mam tu przed sobą imponującą listę nazwisk którą zatytułowałabym: *Niezbędnik współczesnego miłośnika jazzu*. Gdybyśmy chcieli opowiedzieć

o Twojej współpracy z każdym z nich, musielibyśmy tę rozmowę wydać jako książkę. Więc w skrócie...

MF: W latach 80. najbardziej wspominam rozpoczęcie współpracy z Ianem Shawem, która trwała ponad 20 lat. Wymieniłbym jeszcze Tima Garlanda, Johna Etheridgea i Freda Bakera. Lata 90. to dla mnie Pat Crumly, John Critchinson, Dizzy Gillespie, Harry Edison, Cedar Watson, Liane Carroll. Od mniej więcej 2000 roku współpracowałem z Bobbym Wellinsem, Stanem Traceym, Bobbym Watsonem, Lammas, Eltonem Deanem, Markiem Murphym, Alanem Pricem, Zootem Moneyem, Kennym Wheelerem, Clairem Martinem, Saxem Appealem, Rubym Turnerem, Davem Gilmourem, Trudi Kerr, Jeanem Grunfeldem, Michelelem LeGrandem, Jamesem Moodym, Florą Purim, Normą Winstone, Georgiem Famem ... Wymieniać dalej? Spróbuj wymienić zespół albo tytuł płyty, a prawdopodobnie odpowiem Ci, że z nimi też grałem!

MSJ: Twoja współpraca z Ianem Shawem. Dostało Ci się po uszach przy okazji wydania jednego z albumów, prawda?

MF: (śmiech) Jesteś okrutna! Tak, pewien pan krytyk zjechał mnie totalnie! Nie zdaniem czy dwoma, ale rozpisywał się na mój temat całymimi paragrafami! Pisał jakim to beznadziejnym perkusistą jestem. Recenzował płytę *A World Still Turning* i zmieniając temat muszę pochwalić się, że tytuł wymyśliłem ja, podczas jednej z rozmów z producentem Toddem Barkanem.

MSJ: Liane Carroll, której album został albumem roku 2012 i na którym grasz, mówi o Tobie, że jesteś



inspirujący, a współpraca z Tobą napędza ją radością, strachem i podziwem w tym samym stopniu...

MF: Tak powiedziała? Zaczęliśmy grać razem we wczesnych latach 90. i przyznaję, że zawsze jest intensywnie, pełen wachlarz emocji. Spotkał mnie wielki zaszczyt, gdy zaprosiła mnie do nagrania *Up and Down*. To niezmierna radość pracować z ludźmi, którzy są docenianymi artystami. W kwietniu wychodzi nowy album Liane Carroll zatytułowany *Ballads*. Naprawdę jest to doskonale zbalansowana płyta, świetne utwory – polecam! Należy jeszcze wspomnieć o Czeskiej Orkiestrze Filharmonicznej, którą Liane zaprosiła do współpracy.

MSJ: 2012 był więc dla Ciebie dobrym rokiem! Pod nazwą Fletch's Brew rozpoczęłeś nowy projekt, który przyciąga tłumy do Ronnie Scott's. Ty za perkusją, Steve Pearce na basie, gitarzysta Carl Orr i trębacz Freddie Gavita.

MF: Właściwie to był pomysł Steve'a, który stwierdził, że musimy zrobić coś takiego, bo nikt inny tego nie robi! Wszystko wokół to ugrzecznione aranżacje, zero ostrego grania, takiego prawdziwego i prosto z serca. Postawiliśmy na skład. Chcieliśmy znaleźć (i znaleźliśmy) takich muzyków, by była między nami chemia. Nazwałbym to pozazmysłowym porozumieniem...

MSJ: Wasza czwórka – macie tak bardzo różne rodowody muzyczne, a pomimo tego tworzycie coś niepowtarzalnego. Jesteście dowodem na istnienie fuzji w jazzie. Pokusisz się o stworzenie własnej definicji?

MF: Nie zgadzam się na zamykanie fuzji w sztywne ramy definicji z prostej przyczyny, że fuzja jest poza wszelką formą definicji! Lubię tak wiele rodzajów muzyki, że ze wszystkiego coś uszczknę, ale nigdy na siłę. Żaden z moich pomysłów nie powstaje pod wpływem przymusu, a naturalnych procesów pochodzących z nas samych. Każdy z członów zespołu ma swoje mocne strony, których istnienia pozostali są świadomi. Jednak znalezienie odpowiednich ludzi zajęło mi wieki!

Pamiętam moje i Steve'a dyskusje na temat różnych znanych mu muzyków i ewentualnego ich zaproszenia do współpracy. Potem ja podrzucałem nazwiska tych, których Steve nie miał okazji poznać. Weszliśmy do studia i podczas czterech dni nagraniowych mieliśmy istny misz-masz muzycznych osobowości. W tej wielkiej mieszance od razu zwróciliśmy uwagę na Carla, który wkrótce zaczął z nami koncertować. Przysłowio- wy strzał w dziesiątkę. Naszego pupila – trębacza Freddiego, wypatrzyliśmy w Ronnie Scott's Jazz Orchestra, w której notabene gram. Freddie zawsze stoi tuż za mną i zawsze mamy naprawdę dobry ubaw. Któregoś wieczoru zaczął opowiadać o swoim projekcie, o tym, że chcą grać wczesnego Milesa Davisa, i że chce nas zaprosić do współpracy. Wymieniliśmy spojrzenia ze Steve'm i zamiast przyjąć propozycję, zaproponowaliśmy Freddiemu, by dołączył do nas. Opowiedziałem mu o Fletch's Brew i już podczas następnego koncertu grał z nami. Doskonale wpasował się w atmosferę – jak gdyby był brakującym ogniwem i swoją obecnością połączył wszystko w całość! Jest niesamowicie uzdolniony i bardzo często nazywano go cudownym dzieckiem. Ma zaledwie

dwadzieścia parę lat, a już jest doskonałym nauczycielem. Wyszkolił kilku naprawdę dobrych instrumentalistów. Gavita jest wielki!

MSJ: Coraz częściej słyszę o towarzyszącym Wam piątym elemencie. Mówię o tym dlatego, że to polski element...

MF: Zgadza się! Tomasz Bura – bardzo utalentowany młody pianista. Grywa z nami w sobotnie wieczory. Od pewnego czasu proszę management klubu, by pozwolili mi wpisać Tomka do stałego składu Fletch's Brew, ale Ci twierdzą, że nie ma na to funduszy. Pomimo tego Tomasz często gra z nami bez gaży, co też jest niesamowite. To kolejny wielki talent! Dzięki niemu możemy zapuszczać się w zupełnie nowe rejony muzyki, dodaje nam świeżości i wielkiej ekscytacji.

MSJ: Skoro już jesteśmy blisko polskich klimatów, to co z tą Polską?

MF: Dwukrotnie odwiedziłem Wasz piękny kraj. W 1989 r. pojechaliliśmy tam z kwartetem Johna Etheridge'a i robiliśmy nagranie dla telewizji. Najbardziej pamiętam operatora kamery, który biegał po całej scenie jak opętany i przybierał bardzo dziwne pozy. Taki operator – artysta!

MSJ: Pracowałeś z różnego typu osobowościami, setki a może tysiące indywidualistów. Z jakim typem osobowości współpracuje Ci się najlepiej?

MF: Najbardziej lubię, gdy ktoś ma zdolność adaptacyjną i potrafi być na tyle giętki, by dostosować się do każdej sytuacji. To bardzo ważne, gdy pracuje się w zespole. Pracując z bar-

dzo utalentowanymi muzykami spotykam się z takimi, którzy z miejsca potrafią współgrać i współbrzmieć. Jakby współczuć. To jest ta sceniczna chemia i myślę, że Fletch's Brew ją ma. Z kolei alergicznie reaguję na ludzi przesadnie zorganizowanych i dosłownie chodzących jak w zegarku. Będąc artystą trzeba umieć się puścić, uwolnić w sobie bestię, inaczej wszystko co robisz nie będzie prawdziwe.

MSJ: Możliwym jest stworzenie przebojowego składu z nudnym perkusistą?

MF: Moja odpowiedź będzie bardzo krótka i zwięzła... NIE! Perkusista musi być najmocniejszym ogniwem. Zawsze tak było i nie sądzę, by coś zmieniło się w tej kwestii. Każdy inny instrument może kuleć ale nie gary!

[Odwiedź stronę Ronnie Scott's i poczytaj o Fletch's Brew »](#)

[Możesz ich również znaleźć na facebook »](#)





foto. Anna Pichura

Chcę być zaskakiwany

Przyznaje pianista Michał Wierba w rozmowie z JazzPRESS-em.

Ryszard Skrzypiec: Ponad rok temu ukazała się ostatnia płyta kwintetu Wierba-Schmidt. Ostatnie koncerty miały miejsce także dość dawno. Co zatem słysząc u Michała Wierby, bo samego Michała i słysząc, i widać tu i ówdzie w różnych konfiguracjach?

Michał Wierba: Od listopada ubiegłego roku buduję nowy zespół. Ja musiałem poczekać na właściwych ludzi, na to, żeby przyszło do mnie co ja chcę grać i jak. Zrobiłem jedną płytę sam, cztery płyty w kwintecie. Pisałem, uprawiałem pewien sposób grania. To przeważnie byli ci sami ludzie. Później zmieniał się solista, ale generalnie to był ten sam krąg osób. Jeśli obcuje się z tymi samymi ludźmi, to siłą rzeczy oni w jakiś sposób budują twoją tożsamość. Obcując z innymi starasz się dostosować do ich wyobrażeń

o Tobie. Jeśli się trafia na innych ludzi i zderza ich ze sobą, to raz, że może dojść do nowych sytuacji, a dwa, że ja mogę być inny. Siłą rzeczy to, co robiłem do tej pory miało cechy kompromisu, ponieważ to były silne osobowości. Więc czekałem na takich ludzi, z którymi moje porozumienie będzie odbywać prawie bez słów. Obejdzie się bez zbędnych pytań.

Na pierwszą sesję do albumu, który właśnie nagrywam, wziąłem ludzi, którzy nigdy do tej pory się nie spotkali. Ich pierwsze spotkanie odbyło się w studio. Co prawda ja osobiście grałem z każdym z nich raz czy dwa razy, ale oni ze sobą nigdy, oni się nie znali. I co ciekawe, pochodzą z zupełnie różnych światów i środowisk muzycznych. Są to: Arek Skolik, którego nie muszę chyba przedstawiać, bo to jest najlepiej swingujący perkusista spośród tych, których znam. Łukasz Kurzydło, który gra na przeszkadzajkach, jest

głównie związany z muzyką bałkańską, udzielał się także w składach latynoskich. Zналиśmy się w wieku kilkunastu lat. Sytuacje typu – pierwsze wino w parku. Później, co prawda, utrzymywaliśmy ze sobą kontakt, ale zapraszając go na sesję nie wiedziałem jak on gra. Pomyślałem sobie, że znam go, wiem jaki to jest człowiek i chcę mieć taki instrument. Poza tym chciałem mieć podwójną sekcję perkusyjną, żeby zrównoważyć mój fortepian. To jest kwestia wykorzystania faktury instrumentu. Stale korzysta się ze szkoły Buda Powella – granie pojedynczych linii, rzadka lewa ręka, głównie w środkowym rejestrze. Ja nie twierdzę, że Aron Parks robi to samo, co Bud Powell, bo to byłaby przesada, ale jeśli chodzi o gęstość fakturalną, to jest to właśnie ten sposób wykorzystania instrumentu. W latach 50. świetny tekst o pianistach i Budzie Powellu napisał Joachim Berendt. Pisze w nim o linearnym sposobie grania na fortepianie, który to sposób, paradoksalnie, nie wykorzystuje możliwości instrumentu. Stąd, kiedy zacząłem grać w zupełnie inny sposób, inaczej wykorzystywać instrument to pomyślałem, że chcę mieć sekcję, która by to równoważyła. Do kompletu w takiej wizji mojej muzyki pasuje kontrabasista Kuba Dworak, który znajduje przyjemność w graniu pochodów i nie czuje potrzeby wychodzenia z tej podstawowej roli. Słuchałem nagrań Robert Glasper Experiment i byłem zaskoczony tym, że basista raz na szesnaście taktów gra jeden dźwięk. I on jest „Blue Note Recording Artist”. I on jest wspaniały. Gęsta faktura fortepianu, podwójna sekcja perkusyjna, kontrabas pośrodku. Takie właśnie brzmienie zespołu miałem w głowie.

Jak ich wzięłem na sesję to ja nawet nie wie-

działem co ja będę nagrywał. Oczywiście miałem jakieś kompozycje, choć głównie ze starych rzeczy, bo wtedy jeszcze tak dużo nie pisałem. Dopiero teraz komponuję. Chciałem zobaczyć jak ten zespół będzie działał i nie myślałem nawet o płycie. Kiedy jednak zaczęliśmy grać ja po chwili wiedziałem, że mam zespół. W dodatku jeden z najlepszych, w jakich kiedykolwiek grałem. Jak usłyszałem tę sesję później, to stwierdziłem, że ja to muszę wydać, że to nie może zalec w szufladzie. Skoro doszedłem do takiego wniosku to konsekwentnie zacząłem załatwiać kolejne sesje. I aktualnie jestem w środku – miałem już dwie sesje i jeszcze będę miał dwie. Projekt stale ewoluuje. Ewolucja przekonuje mnie do tego, żeby mieć więcej instrumentów perkusyjnych. Zrobiliśmy numer poświęcony Andrew Hillowi, w którym te instrumenty perkusyjne odgrywają niezwykle ważną rolę. Kiedy zaczynamy grać nie zawsze wiemy co to będzie. Zawsze najlepsze są pierwsze podejścia. Drugie to już myślenie, a ja już nie chcę myśleć. Przez dwadzieścia pięć lat się zastanawiałem, teraz już się nie zastanawiam.

RS: Wybacz, że będę eksplorował kwestię porównań, ale w tej sytuacji wydaje się to nieuchronne. Przez kilka lat firmowałeś jeden z czołowych młodych składów jazzowych w Polsce, który wykonywał w przeważającej mierze Twoje kompozycje. A jak muzycznie ma się ten projekt w stosunku do Twojej poprzedniej twórczości? Czy to jest zerwanie z poprzednią stylistyką (uwzględniając zmianę instrumentarium)?

MW: Jeśli chodzi o utwory, które zamierzam nagrać, to w zasadzie będą to moje nowe kom-



pozycje poza „Summertime” George’a Gershwina, którą zarejestrowaliśmy na pierwszej sesji. W ciągu ostatniego półtora miesiąca nie potrafię przestać pisać. Tego, co napiszę nie poddam żadnej cenzurze. I najczęściej to się broni. W tym momencie mam tyle kompozycji, że mógłbym zrobić z nich dwie płyty. Dwie dobre płyty. W dodatku różne płyty, co też nie jest takie proste. Ale coś z tego muszę wybrać.

RS: Wróćmy jednak do pytania na ile będzie to zmiana stylistyki w Twoim wykonaniu?

MW: Najchętniej bym włączył te nagrania. Jeśli jednak chodzi o mój styl gry na instrumencie to jest to radykalna zmiana. Wszystko robię inaczej.

RS: Inaczej, to znaczy?

MW: To jest bardzo trudno opowiedzieć. Lubię taki cytat (nie wiem czyj to jest): „Music we need when language fails us, but we may not remain silent”. Nie potrafię tego opowiedzieć słowami, bo zawodzą mnie. Może tak: na pewno jest to bardzo zróżnicowane pod względem stylistycznym. Na jednym biegunie jest utwór free jazzowy, a na drugim nagrywamy piosenkę.

RS: Odnoszę wrażenie, że ostatnio mamy renesans piosenek.

MW: Oczywiście, że tak, ale to są piękne rzeczy. Nie zdradzę kto będzie śpiewał. Jest to osoba, z którą jeszcze nigdy nie pracowałem. Zaangażowałem ją na takiej samej zasadzie, jak pozostałych członków, tylko dlatego, że mi się spodobało to jak śpiewa.

RS: Jesteś otwarty na zaskoczenie.

MW: I chcę być zaskakiwany cały czas. Niech to będzie coś zupełnie innego. Mogę się pomylić, ale jak na razie to mi się nie przytrafiło. To o czymś świadczy. Na pewno chcę mieć bębny i instrumenty perkusyjne na szczycie tego wszystkiego. To jest też to, co odróżnia moją aktualną działalność muzyczną od wcześniejszej. Po drugie brak jakichkolwiek instrumentów melodycznych poza mną. Ja czuję, że mogę robić wszystko. To jest też ta różnica, że czuję, że mogę unieść ciężar wszystkiego. Wszystko chcę robić sam. Przez długi czas pisałem utwory dla zespołu i pozostawiałem zespołowi interpretację tego materiału. Teraz nie daję nikomu nic – ja wszystko chcę sam. Wiem jak ma to brzmieć i ja to robię.

I jeszcze jedno. To forma, która odróżnia dzień dzisiejszy od wczorajszego. Formalnie, muzyka, która zrobiłem na ostatnich pięciu płytach, to jest muzyka nieskomplikowana. Pisałem coś, a później zostawiałem muzykom do interpretacji. To wynikało z pewnego rodzaju kompromisu, bo jak jest kwintet, to trzeba pozwolić zagrać całemu kwintetowi. Teraz w zasadzie zupełnie inaczej podchodzę do formy utworów. Czasami są solówki, czasami ich nie ma, mogę zatrzymać zespół i grać przez chwilę sam. Mogę grać duety z kontrabasem, perkusją, mogę zostawiać zespół. To wszystko dzieje się na bieżąco. Nagrywamy wszyscy razem w jednym pomieszczeniu. Nagrywałem już na różne sposoby, także tak, że każdy był w innym pokoju. Nie chcę już tak. Chcę ich mieć wszystkich razem. Basista przy lewej ręce, jak u Ahmada Jamala. Żeby była komunikacja,

bo on nie ma czasu zareagować, on musi iść ze mną. Perkusistę widzę, perkusjonalistę widzę. Mogę grać i złapać go za struny – nie graj, niech oni grają. Robię cynk. Może to właśnie dlatego, że kiedyś pisałem kompozycje, a teraz je wykonuję. Pisze i dyryguje nimi na bieżąco. Wychozę z założenia, że najlepsze rzeczy powstają od razu. Zanim jeszcze umysł podda cenzurze jakiś pomysł trzeba za nim iść. Ja nie chcę myśleć, nie chcę się zastanawiać, nie chcę poddawać cenzurze. Pierwsza myśl jest najważniejsza.

Jeśli więc chodzi o koncepcję to mnie się strasznie podoba pomysł, który ukuł Ahmad Jamal – lub kto inny ukuł, a on ją tylko przejął – chamber jazz. Chodzi mi o to, że zespół to nie jest kwartet, to jest mała orkiestra. I w obrębie tej małej orkiestry można robić crescendo, można zmieniać kolor, można grać momenty bardzo intensywne lub bardzo liryczne w obrębie jednego utworu. Myślę, że to w jaki sposób myślę teraz o muzyce i to w jaki sposób ten zespół oddycha, w większym stopniu pochodzi z muzyki klasycznej – Chopina, Mozarta, Beethovena. Nie potrafię tego wyrazić – kiedyś myślałem: temat, solówka etc. Teraz myślę raczej, żeby jakieś napięcie wprowadzić. Zrobiłem pięć płyt myśląc o nich, a teraz robię taką, która tylko czuję!

I jeszcze jedna rzecz, mam teraz okres nieustannego pisania. Nie potrafię przestać komponować. Kiedy poszedłem na studia, to chciałem nauczyć się bebopu, bopowego języka. I gdzieś w tym wszystkim zapomina się co się słyszało na samym początku, przy pierwszym kontakcie z muzyką. To jest zjawisko naturalne i nie ma potrzeby z tym walczyć, ale trzeba mieć świadomość



fot. Anna Pichura



mość tego, że tak się dzieje. I kiedy powiedziałem sobie dość, że już nie chcę grać tego, co do tej pory, to miałem sen, że powinienem wziąć utwór, który napisałem kiedy miałem szesnaście lat i zbudować wokół niego grupę i kompozycje wywieść z tego. Bo tam jest we mnie ten kreatywny punkt, z którego trzeba czerpać. Bo każdy ma taką studnię z pomysłami, do której musi znaleźć dojdzie. Zdaję sobie sprawę z tego jak to zabrzmiało, ale ja wiem o czym mówię, a mówię o konkretnym systemie pracy.

RS: Jednak ostatni czas wypełnił Tobie nie tylko nowy zespół, ale także rola sidemana.

MW: Tak, grałem sesyjnie w kilku projektach. To była bardzo przyjemna praca. Ja bardzo lubię przebijać się przez czyjąś muzykę. A tak naprawdę to od czasu jak zrobiliśmy z kwintetem *The Mole People*, choć już wtedy ciągnąłem w inną stronę, potrzebowałem dużo czasu, żeby odkryć to, co robię teraz. Musiałem wyrzucić wiele tych rzeczy, które wcześniej uważałem za ważne. Nie spieszyłem się z tym.

RS: Gdy grałeś w obcych projektach nie uwierała cię rola muzyka sesyjnego?

MW: Grając z innymi w ich projektach dostosowuję się. To jest kwestia profesjonalizmu. Zastanawiam się co mogę dać z siebie w tym projekcie, ale nie ukrywam, że największą przyjemność daje mi granie ze swoim zespołem. Komponowanie, granie i dyrygowanie. To wszystko na raz. Ja jestem liderem, mam konkretną wizję utworu, wiem jak to ma brzmieć, wiem o co mi chodzi. Zawsze taki byłem.

RS: Nagrywacie, rozwijacie się. A kiedy będzie można Was usłyszeć na żywo?

MW: W maju będzie krótka trasa koncertowa. Siłą rzeczy trochę czasu zajmuje ogarnięcie nowego zespołu – komponowanie, sesje, koncerty. Zagramy cztery koncerty – w Krakowie na Festiwalu Krakowska Wiosna Muzyczna, w Łomży na Festiwalu Novum Jazz i jeszcze są dwie daty do potwierdzenia. Jedna ma być w Warszawie.

RS: A kiedy płyta?

WM: Chcę to wydać w połowie roku, ale cały czas poszukuję sponsora, wydawcy. „Jeżeli ktośkolwiek jest zainteresowany, to ja jestem otwarty.” ;-) Myślę, że materiał będzie gotowy za jakiś miesiąc. I będzie kwestia wydania i promocji.

RS: A co cię inspiruje?

MW: Nigdy nie czułem się tak kreatywny, jak teraz. Inspiruje mnie Ahmad Jamal, ale też bardzo dużo słuchałem Artura Rubinsteina. w ogóle słuchałem dużo muzyki klasycznej. Był taki moment w ciągu ostatnich dwóch lat, że prawie w ogóle nie słuchałem jazzu.

RS: A słuchasz jakichś pianistów?

MW: Klasycznych tak. Mogę wymienić wiele nazwisk jazzowych, ale słuchanie ich to element profesjonalnego rozwoju. Ja muszę być na bieżąco, ale to jest warsztat, a nie kreatywność.

RS: Dziękuję za rozmowę.

□



Jestem w drodze, ciągle w trakcie przemiany

Z basistą Rafałem Mazurem rozmawia Piotr Wojdat.

Piotr Wojdat: Muzyka improwizowana stereotypowo kojarzy się z czymś trudnym, potocznie określanym awangardą. Postrzegana bywa jako odejście od tradycji na rzecz szukania nowych środków wyrazu. Jaki cel przyświeca Twoim eksploracjom artystycznym? Czy podobnie postrzegasz muzykę improwizowaną?

Rafał Mazur: Dla mnie osobiście poszukiwanie nowych środków wyrazu nie jest tym, co najbardziej charakterystyczne dla muzyki improwizowanej, ale z pewnością jest to jej nieodłączna część. Poszukiwanie nowych rozwiązań brzmieniowych, formalnych itd. to domena muzyki eksperymentalnej. Ale wszystkie niestandardowe środki wyrazu, niekonwencjonalne

użycia instrumentów, czyli „rozszerzone techniki wykonawcze”, są narzędziami do tego, co najważniejsze w swobodnej improwizacji – do przekroczenia własnych struktur poznawczych, schematów działania. W przypadku muzyki to tzw. „przyzwyczajenia słuchowe”. Improwizacja to jak podróż w nieznaną, w którą wybieramy się z jakimś zestawem narzędzi, ale one szybko okazują się nieprzydatne w percepcji tego odkrywanego świata. Gdy je używamy, to okazuje się, że nowo odkrywany świat traci swoją świeżość, gdyż stare okulary ukazują nam tylko to, co już znamy, pomijając wszelkie nowe, niezaklasyfikowane elementy. To znana już na gruncie epistemologicznym i kognitywistycznym właściwość porządkowania danych i składania



ich w znane już struktury. Zgodnie z tym, na przykład Chińczyk w jedwabnej kurtce o charakterystycznym kroju to facet w pidżamie, no bo u nas podobnie wyglądają właśnie pidżamy i nic innego. Tak patrzący podróżny, gubi różnorodność świata i całość niezwykle bogatej rzeczywistości redukuje mu się do znanych struktur, które nabył w procesie swojej edukacji. Metoda improwizowania, stosowana świadomie i wynikająca z doskonalenia się w niej, pozwala postrzegać świat w jego zmienności i mnogości fenomenów i tworzyć na bieżąco narzędzia do działania w zmiennym środowisku, do działania w sytuacjach nieprzygotowanych wcześniej. To fascynujące obserwować, jak działają ludzie na bieżąco reagujący na rozwój sytuacji, bez sztywnych schematów reakcji. Improwizacja kolektywna to taka podróż w głąb możliwości wspólnej kreacji, gdzie nic do końca od Ciebie nie zależy, ale nic bez Ciebie się nie dzieje. Dla mnie najistotniejsze są momenty, gdy gram coś, czego nigdy wcześniej nie przewidziałem, nie pomyślałem. W osiągnięciu takich stanów i momentów, rozszerzone techniki wykonawcze pełnią rolę trampoliny, wybijającej muzyka z utartych wzorów działania z instrumentem. Poszerzając zakres pracy z instrumentem, poszerzamy zakres swoich możliwości brzmieniowych i uruchamiamy wyobraźnię. Niemniej same te środki wyrazu nie są celem, a narzędziami. Pomagają, można powiedzieć, poszerzyć zakres słyszenia. Ale to nie znaczy, że swobodna improwizacja ma brzmieć w pewien określony sposób i nie może korzystać z tradycyjnych środków wyrazu. Niemniej te tradycyjne są tak mocno już sprzęgnięte z pewną wizją, rzekłbym, narracją, że faktycznie często

utrudniają „swobodny lot”, wbijając w pewne utarte koleiny słyszenia. Jednak na pewno nie stwierdzam, iż swobodna improwizacja w muzyce z konieczności musi się opierać tylko i wyłącznie na nowych, kojarzonych z awangardą, środkach wyrazu. Generalnie, w związku z tym, iż uważam ją za metodę, nie zaś styl muzyczny, i to metodę, która jest związana z pewnym stanem umysłu, uważam, że z konieczności wiąże się ze stanem mentalnym, podejściem do działania. Niektórzy nazywają to otwartością, swobodą wewnętrzną itp. Ja mówię, że to metoda związana ze stanem umysłu, który pozwala na głęboki wgląd w sytuację i błyskawiczne reakcje. A gdzie tutaj jest muzyka, możesz zapytać. Muzyka pojawi się jako efekt stosowania tej metody. To jest, jak powiedział jeden z polskich kompozytorów i teoretyków muzycznych, niematerialowe podejście do muzyki. Tradycyjnie tworzy się muzykę z podejścia materialowego, wybierając jakiś materiał dźwiękowy, mniej lub bardziej uszczegółowiony i na tej bazie coś kombinując. Przy swobodnym improwizowaniu podejście jest inne, materiał dźwiękowy nie jest wyodrębniony, w zasadzie, moim zdaniem nie powinno się o nim myśleć. Można powiedzieć, że muzyka improwizowana, to muzyka, której jeszcze nie ma. Ona się pojawi, gdy muzycy będą ją improwizować. Wracając do analogii z podróżą, wiem, że coś się pojawi za zakrętem i chcę na to adekwatnie zareagować. Gdy zacznę sobie wyobrażać co to może być, mimochodem również zacznę sobie wyobrażać, jak na to zareaguję. Te wyobrażenia przeszkodzą mi w rzeczywistym oglądzie sytuacji i w reakcji na nią samą, gdyż będę reagował na jej wyobrażenia. Trzeba więc bardzo uważać,

gdyż nowe środki wyrazu same mogą stać się takimi wyobrażeniami, przygotowanymi odpowiedziami. Niemniej ich wpływ na muzykę XX wieku, a więc i muzykę improwizowaną jest niezaprzeczalny.

PW: Na polu muzyki improwizowanej realizujesz się nie tylko jako artysta, ale także organizator cyklu koncertowego Improwizje. Czy mógłbyś powiedzieć nieco więcej na temat jego założeń i charakteru?

RM: Chciałem stworzyć cykl koncertów, mający być w przyszłości platformą dla rozwoju krakowskiego środowiska improwizatorów. Tak, aby Kraków odwiedzali różni ludzie zajmujący się swobodną improwizacją i mogli swoimi koncertami wzbogacać lokalnych muzyków. Chciałbym, aby coraz częściej zdarzały się sytuacje, gdy coraz większa liczba muzyków krakowskich gra z zaproszonymi przeze mnie artystami. Pragnąłbym również, aby w Literkach, gdzie realizuję Improwizje, mogło dochodzić do spotkań środowisk z różnych miast polskich. Chciałbym, aby wokoło cyklu zebrali się krakowscy muzycy, aby się mieszały w różne składy z przyjezdnymi gośćmi. A równocześnie, poprzez cykliczność takich koncertów, mam zamiar pokazać ludziom, którzy są zainteresowani słuchaniem tego rodzaju działań muzycznych, jaka jest różnorodność dźwiękowa sztuki improwizowanej. Ile się pojawia w jej łonie różnych propozycji i jak ci sami ludzie potrafią tworzyć różne rzeczy, gdy grają w różnych konfiguracjach, z różnymi partnerami. W tym właśnie postrzegam największą zaletę muzyki improwizowanej, w jej różnorodności, w mnogości różnych zjawisk brzmieniowych, które mogą się pojawić.

Uważam to za zaletę, zarówno dla słuchaczy, jak i dla muzyków. Rzecz jasna, nie jest to zjawisko dla tych, którzy lubią to, co znają.

PW: Jak oceniasz podobne inicjatywy, np. Impro Meeting odbywający się w warszawskiej Eufemii?

RM: Takie inicjatywy trzeba ocenić jednoznacznie pozytywnie. Muzycy-improwizatorzy potrzebują spotkań, najlepiej moim zdaniem, aby te spotkania były z jak największą liczbą osób, aby grać często, ale za to z różnymi partnerami. Muzyka improwizowana rodzi się w relacji pomiędzy muzykami. Im bardziej osoba z którą gramy nie jest nam znana, tym większa szansa na stworzenie razem czegoś niesztampowego. Aby w takiej sytuacji stworzyć coś frapującego, trzeba być bardzo skoncentrowanym na partnerach i szybko reagować na to, co oni robią. Sytuacja nowa, spotkanie z nowymi ludźmi nie pozwala na granie sztamowe, żonglowanie utartymi schematami, wyuczonymi wzorami reagowania. Oczywiście zdarzają się i takie sytuacje, szczególnie gdy na scenie stają ludzie niedoświadczeni w improwizowaniu, że cokolwiek by się nie działo, oni i tak grają swoje. To jest ciekawa sytuacja, bo takie koncerty raczej większość odbiorców ocenia jednoznacznie źle. Pojawia się wrażenie, iż każdy gra swoje i nic się nie skleja, nawet w sytuacjach, gdy muzycy nie grają tradycyjnymi metodami, tzn. nie grają melodii i akompaniamentów. Jednak nawet w muzyce atonalnej, sonorystycznej i arytmicznej można rozmawiać o harmonii, aczkolwiek nie jest to takie samo pojęcie, którego używamy do określenia systemu funkcyjnego w muzyce. Te spostrzeżenia kierują nas ku rozważaniom



o „indywidualnym języku muzycznym”, czy też indywidualności muzyków w ogóle. To jest kwestia rzadko poruszana w dyskusjach i wywiadach, które czytałem: gdzie jest miejsce na indywidualność improwizatora; na jego ego, gdy uczestniczy w swobodnym improwizowaniu kolektywnym muzyki? Nie ma tu teraz czasu na długie wyjaśnienia, ale ja na takie pytanie odpowiadam krótko: nie ma takiego miejsca we wspomnianej sytuacji twórczej. To nie znaczy, iż improwizator ma być człowiekiem bez indywidualności, bez zindywidualizowanej osobowości, chodzi o to, mówiąc pokrótce, iż w sytuacji kolektywnego improwizowania bardziej musimy być skoncentrowani na tym, co inni grają, niż na sobie samym. Biorąc jeszcze pod uwagę, że jest to swobodna improwizacja, czyli w zasadzie wszystko może się wydarzyć (nawet jeśli ilość możliwości rozwoju sytuacji nie jest nieskończona, to na pewno jest nieprzeliczalna), nie można bazować na naszych wyuczonych schematach reagowania, tylko trzeba być gotowym na stworzenie czegoś adekwatnego do sytuacji. To jest głęboki i wciąż nie wystarczająco rozważany temat dotyczący filozofii i psychologii twórczości. Na koniec powiedziałbym tak, aby rozbudzić ciekawość: uważam, iż improwizator powinien dysponować osobowością „nieokreśloną”. Jest to oczywiście pojęcie zaczerpnięte z estetyki i filozofii chińskiej, ale istniejące już od wielu lat i realizowane w praktyce, nie tylko zresztą artystycznej (to od razu dla wszystkich, którzy chcieliby powiedzieć, iż jest niemożliwe być „nieokreślonym”).

PW: Czym różnią się Twoje koncerty solo od innych projektów? Wielu muzyków twierdzi, że granie solo to największe wyzwanie dla artysty...

RM: Granie solo to poważna rzecz. Improwizacja solowa jest o tyle trudna, że nie ma na scenie innych muzyków, których dźwięki mogłyby Cię inspirować. W przypadku solowej improwizacji swobodnej musisz tę inspirację „wyciągnąć” z innych obecnych pozadźwiękowych elementów sytuacji. I to jest trudne. Pojawia się bardzo silna pokusa sięgania po „gotowce”, przygotowane wcześniej wzorce. Nie ma oczywiście w tym nic złego, w sensie muzycznym, ale to już nie jest improwizowanie swobodne, które jest moim celem. Aczkolwiek są trudne, postrzegam koncerty solowe jako bardzo ważny rodzaj działalności. Niemniej chyba nadal mogę powiedzieć, iż najbardziej jestem zainteresowany działaniem zespołowym. A generalnie jeśli chodzi o metodę, to jest ona taka sama. Koncerty solowe od pozostałych, różnią się ilością muzyków na scenie.

PW: Improwizuje to nie tylko cykl koncertów, które odbywają się w Literkach. To także tytuł Twojej płyty, którą w 2010 roku nagrałeś wspólnie z saksofonistą Keirem Neuringerem. Jak wspominasz ten czas oraz współpracę z tym artystą?

RM: Tytuł płyty z Keirem wziął się właśnie z tytułu cyklu koncertowego. Chciałem dokładnie ten sam pomysł, który obecnie z sukcesem udaje się realizować z Literkami, urzeczywistnić w Bunkrze Sztuki lata temu. Niestety, mimo chęci jednego z kuratorów, dyrekcja była przeciwna, a dokładnie przeciwna wydawaniu pieniędzy na muzyków, podczas gdy te są przeznaczone dla artystów. Ciekawa sytuacja, nieprawdaż? Udało się zorganizować jedno spotkanie, właśnie z Keirem i jego zapis znaj-

dujemy na płycie *Improwizje*. Keir to pierwszy człowiek, z którym podjąłem współpracę w kwestii improwizacji swobodnej. Od razu złapaliśmy niesłychany kontakt, nie tylko muzyczny. A co ciekawe, w początkach naszej znajomości nie mieliśmy możliwości porozumienia werbalnego, on nie mówił po polsku, a ja nie mówiłem po angielsku. A jednak graliśmy koncerty w duecie, w triach z różnymi perkusistami. Był częstym gościem w moim domu, gdzie regularnie improwizowaliśmy kilka razy w tygodniu, całymi godzinami. Wspominam to jako niezwykły czas, niesamowite doświadczenia. To było 14 lat temu. Zaczęliśmy od wspólnego, prawie całonocnego jamu w klubie U Louisa, niegdyś było to prężne jazzowe miejsce, teraz nie wiem co tam jest, ale chyba już coś innego. Keir przyszedł i chciał grać, zaczęliśmy więc w duecie od Monka, a potem już samo szło i tak do 3 nad ranem. Ja na takie granie czekałem już od dawna, tylko nie miałem go z kim zrealizować. Keir przywiózł powiew świeżego powietrza do Krakowa, w którym ówczesnie jazz kończył się na wczesnych nagraniach Johna Coltrane'a. On zapoznał mnie z twórczością Evana Parkera. W Krakowie wtedy Parker to był Charlie i tyle. Szczytem nowoczesności były elektryczne nagrania Davisa, zresztą w klubach królowała muzyka funky. W każdym razie, nie przesadzając ani trochę, mogę powiedzieć, że bez Keira moje życie potoczyłoby się inaczej. Nie wiem, czy grałbym muzykę improwizowaną. Jak patrzę nawet teraz na polską scenę, to nikt nie gra takich rzeczy jakie on wtedy proponował. Koledzy są albo bliżej free jazzu, albo elektroniki, tudzież muzyki eksperymentalnej. Ale wracając do Keira, wiele mu zawdzięczam,

chyba nawet najwięcej, spośród muzyków, których spotkałem na swej drodze. I co ważne, kontakt który wtedy załapaliśmy, mamy do tej pory. Gra nam się świetnie, bez słów, bez ustaleń. Po prostu bierzemy instrumenty i już.

PW: Jako lokalnego patriotę chciałbym Cię zapytać o kondycję sceny krakowskiej. Na których muzyków warto zwrócić uwagę? Z jednej strony mamy saksofonistkę Paulinę Owczarek, mającą za sobą wspólne granie m.in. z Markiem Tokarem i Timem Daisym oraz nagrania dla barcelońskiej wytwórni Discor-dian Records. W zeszłym roku pomysłowością wykazał się także perkusista Tomasz Chołoniewski, czego świadectwem jest jego solowe *Un*. Skąd bierze się ten artystyczny ferment?

RM: Kraków jest miastem artystów. Dowiesz się o tym w każdej knajpie, kawiarence, w każdym klubie. Roi się tutaj od artystów, którzy szczególnie nocą okupują zakamarki i piwnice Krakowa. Większość z nich nie dość, że nie jest znana, to nigdy nie da się poznać żadnej publiczności, co więcej, większość nic nie tworzy, pozostając przy wymyślaniu różnych koncepcji i projektów, które nigdy nie doczekają się realizacji. Ale istnieje wśród teorii estetycznych taka dotycząca ekspresji, która mówi, iż obiektywizacja „wnętrza” artysty nie jest konieczna, że ekspresja to stan mentalny, a jej urzeczywistnienie w materiale zewnętrznym, postrzeganym zmysłowo, nie jest konieczne. Artystów opisanych przez tę teorię jest w Krakowie mnóstwo. A mówiąc serio, w Krakowie jest dużo ludzi z ciekawymi pomysłami, ale ja osobiście uważam to miasto za ciężkie dla twórców zajmujących się muzyką awangardową, w jakim-

kolwiek rozumieniu tego terminu. W Krakowie łatwiej jest być poetą, malarzem, zajmować się teatrem, czy kabaretem poetyckim. Jeszcze, aczkolwiek coraz trudniej, dobrze jest być jazzmanem, grającym jazz tzw. „głównego nurtu”, czyli mainstream. Jakoś tak się dzieje, że przy olbrzymiej ilości klubów z dobrymi warunkami scenicznymi w Krakowie, muzyka improwizowana nie może sobie znaleźć miejsca. W ostatnich latach powstało kilka ciekawych inicjatyw, jak np. Muzykoterapia i proszę zobaczyć jakie są kłopoty z utrzymaniem regularności koncertów. Poszczególne kluby pozbywają się niewygodnego bagażu, tak moim zdaniem postrzega się serie koncertowe muzyki nierozrywkowej. Sytuacja jest ciężka. Moim zdaniem jest środowisko, które wciąż pozostaje w większości na etapie potencjału gotowego do „odpalenia”, tylko warunków nie ma. Dobrze, że w tym sezonie pojawiły się Literki i mogę tak regularnie, co miesiąc coś zorganizować. Takich miejsc żyłbym sobie i kolegom więcej.

PW: Grałeś do tej pory z bardzo różnymi artystami: Marcinem Dymiterem, Patrykiem Zakrockim, Eve Risser czy Dominikiem Strycharskim. Lista jest naprawdę długa, a już za moment dołączy do niej chociażby Artur Majewski z Mikrokolektywu. Które Twoje projekty można uznać za flagowe? Czy masz swoją bezpieczną muzyczną przystań?

RM: Staram się grać z jak największą ilością muzyków. A jak już wspominałem, najbardziej interesują mnie sytuacje nieprzewidziane. Notabene, z Arturem też już grałem, choćby w styczniu w Literkach, właśnie w ramach Improwizji. Nie mam flagowych projektów, każdy jest dla mnie

tak samo ważny, ale najważniejsze są przemiany. Staram się jak najczęściej spotykać z różnymi ludźmi. Z Keirem przynajmniej raz w roku jeździmy w trasę przez Europę i idea jest taka, aby w każdym miejscu gdzie gramy, oprócz koncertu w duecie, zagrać coś z lokalnymi muzykami. Sam też się tak staram robić. Spotkania, koncerty w których nie ma rutyny, bo ona nie zdąży się wykształcić, są moim zdaniem podstawą swobodnego improwizowania i prawdziwą jej siłą. Dlatego, mimo że gram w tzw. zespołach, jak np. Ensemble 56 (z Mieczysławem Górką), trio z Raymondem Stridem i Liudasem Mockunasem, czy w trio z Tomkiem Gadeckim i Conorem Murrayem, to jest to inny rodzaj współdziałania, niż miało to miejsce w przypadku zespołów rockowych, z którymi grywałem w latach 90. Z powodów czysto ekonomicznych ciężko jest grać dużo koncertów z jednym składem. Nie tylko w Polsce, gdzie miejsc do grania muzyki improwizowanej jest naprawdę tyle, że można je na palcach obu rąk policzyć, ale też w Europie. Muzyka improwizowana nie jest „chodliwym towarem”, oferuje słuchaczom coś innego niż prosta i tania rozrywka, no i okazuje się, że w związku z tym tych fanów zbyt wielu nie ma. Ale nie chcę narzekać. Gdyby nawet można było bez problemów dużo koncertować z jednym zespołem, też bym starał się tego nie robić, tylko chciałbym tak jak teraz, grać z różnymi muzykami. Nie mam zatem „bezpiecznej przystani”, jestem w drodze, ciągle w trakcie przemiany.

PW: Dużą część Twoich nagrań można odnaleźć na stronie internetowej netlabelu Insubordinations. Czy ta forma udostępniania muzyki ułatwia Twoim zdaniem dotarcie do słuchaczy?

RM: Generalnie uważam, że płyty to sprawa drugorzędna w stosunku do koncertów. Koncerty są najważniejsze i najciekawsze. Żadne nagranie nie zapisze tego czegoś poza dźwiękowego, co powstaje na koncercie, podczas żywego grania. Nagrania zawierają tylko część koncertu. No, ale jasne jest, iż nie każdy na koncert może przyjść i tacy ludzie muszą się zadowolić płytami. Ja do albumów nie mam zbyt wielkiego sentymentu, aczkolwiek doceniam ich rolę w prezentacji muzyki. I właśnie dlatego lubię internetowe formy udostępniania twórczości. Są one bliskie aktualnemu działaniu. Osobiście szybko się nudzę własnymi nagraniami i nie odsłuchuję ich zbyt często. Chciałbym je udostępniać jak najszybciej po koncercie, póki jeszcze są świeże. Bo ja nie nagrywam w studio, nie lubię tego miejsca, nie lubię grać ze słuchawkami na uszach w sztucznie wytłumionej przestrzeni. Wszystkie moje nagrania są koncertowe albo przynajmniej w przestrzeniach poza studyjnych. Nie pracuję w studio nad edycją muzyki, publikuję to co nagram, bez przycinania, czyszczenia, czy innych „upiększających” zabiegów. Mam to szczęście, że od lat współpracuję z Rafałem Drewnianym, który nie tylko moim zdaniem, jest w tym momencie jednym z najlepszych fachowców na świecie od nagrań live (to jest również zdanie Marka Winiarskiego z Not Two, który przecież ma olbrzymi materiał porównawczy). Rafał potrafi rewelacyjnie nagrać koncert i szybko go wyedytować. Robi to błyskawicznie, zdarzało się nam, iż oddawał mi gotowe nagranie, już przygotowane do wydawania, następnego dnia po koncercie. I to jest moje marzenie: świetnie nagrany koncert, upubliczniony jak najszybciej po wydarzeniu. W tym kontekście tradycyjne wy-

dawnictwa są bardzo wolne, obecnie w związku ze spadkiem sprzedaży płyt CD, proces produkcji bardzo się wydłużył. Trzeba czasem czekać rok na wydanie. Ja po roku już prawie nie mam stosunku do materiału dźwiękowego. Internetowe wydawnictwa są szybsze, ale też dla mnie za wolne. Generalnie Internet jest dobrym miejscem do upubliczniania muzyki, niemniej nic nie przebije koncertu, okazji do posłuchania muzyki na żywo.

□



Jesteśmy grupą kreatywnych młodych muzyków

O nowym projekcie Generation Next opowiada trębacz Piotr Schmidt.

Ryszard Skrzypiec: Piotrze, w połowie kwietnia rusza trasa koncertowa nowej formacji Generation Next. Opowiedz o tej ciekawie zapowiadającej się formacji.

Piotr Schmidt: Generation Next to zestawienie niezwykle kreatywnych muzyków młodego pokolenia, którzy swą pasją do jazzu zarazili się od rodziców. Mamy więc tu Tomka Wendta, który akurat, tak jak ojciec został saksofonistą. Jest Gabriel Niedziela, wybitny gitarzysta. Jacek Namysłowski, jeden z najlepszych puzonistów na naszej scenie. Jestem też ja i gram jak zwykle na trąbce -;) Wspomagają nas osoby nie podchodzące pod ideologię powstania zespołu, ale stanowiące niezbędny składnik naszej artystycznej wizji – Francesco Angiuli – fenomenalny basista, który w Polsce znany jest przede wszystkim ze współpracy z Piotrem Wojtasikiem; oraz Arek Skolik – wielki perkusista, którego nikomu przedstawiać nie trzeba. Stanowią oni bardzo ciekawe połączenie; konstelację, z którą można zrobić naprawdę wiele. A więc w zgodzie z ideologią, zespół skupia cztery osoby, które w podobnym środowisku dorastały i które przebieły podobną drogą do jazzu. Z tej czwórki ja zdecydowanie najbardziej odstaję, bo mój ojciec muzykiem aktywnie grającym był w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, a potem zajmował się opowiadaniem o muzyce, publicystyką i ogólnie historią jazzu i muzyki „klasycznej”. Nie był więc czynnym muzykiem w okresie mojej krótkiej egzystencji, ale z drugiej strony puszczał bardzo dużo jazzu w domu i miał ewidentny wpływ na

ukształtowanie moich upodobań. Gabriel, syn Jacka Niedzieli-Meiry, wyrastając pod okiem taty i wujka – a więc wybitnych osobowości świata jazzu, nieustannie wpływających na niego i to na wielu poziomach – również był obiektem nieustannego oddziaływania. Jacek Namysłowski tak samo – to wybitny puzonista i w ogóle multiinstrumentalista, z którym już dawno chciałem grać, słysząc to, co potrafi. Tomek Wendt jest najmłodszy z nas wszystkich, bo ma dopiero 23 lata, ale już jest świetnym saksofonistą, a mimo to wciąż bardzo szybko się rozwija. Z chęcią spotykam się z nim na scenie i bardzo lubię sposób w jaki kształtuje frazy. On teraz kończy studia we Wrocławiu i ma akurat fazę na wygrywanie konkursów jazzowych.

RS: Tak jak Ty parę lat temu?

PS: Dokładnie tak. Naszą czwórkę zatem łączą podobne doświadczenia i podobne problemy i chyba też dzięki temu bardzo dobrze się rozumiemy. Także muzycznie. Tomek Wendt w przeciwieństwie do ojca gra bardziej mainstreamowo i tak jak jego ojca z chęcią widziałbym jako gościa specjalnego w moim elektrycznym projekcie, tak Tomek idealnie wpasowuje się w koncepcję muzyczną zespołu Generation Next.

RS: Skąd pomysł na taką formację?

PS: Wydaje mi się, że w jakimś sensie czułem się samotny w swojej sytuacji – osoby, która

w pewnym stopniu ma łatwiej, ze względu na to, co robił jego ojciec. To stwarza tak naprawdę problemy psychiczne, z którymi trzeba sobie jakoś poradzić. Każdy chce sam zapracować na swoje nazwisko, a tu to nazwisko już wielu ludziom coś mówi. Więc teraz trzeba udowodnić, że jest wszystko ok, że zasługuje się na to, by je nosić, trzeba go bronić i za każdym razem udowadniać. To są realne problemy, mimo iż wiele osób może myśleć, że tak jest łatwiej.

To jednak kazało mi poszukać osób, które są w podobnej sytuacji. Takich osób jest już sporo w naszym kraju. Mój wybór był całkowicie subiektywny, po prostu Tomka, Jacka i Gabriela już dobrze znałem i wiedziałem co sobą muzycznie reprezentują. Wiedziałem, że z nimi stworzę coś fajnego i że razem będziemy się dobrze czuć na scenie i poza nią. Zwłaszcza z Gabrielem Niedzielą mam świetny kontakt, bo razem studiowaliśmy i długo razem mieszkaliśmy w jednym mieście, często się widząc. Więcej też niż z pozostałą dwójką razem graliśmy. Podobny flow, podobne spojrzenie na wiele aspektów życia i podejście do niego. Nie to żebym z innymi muzykami, z którymi współpracuję na co dzień od wielu lat czuł się źle. Czuje się bardzo dobrze, ale tutaj, w Generation Next jest coś jeszcze. Coś, co wychodzi wprost z dorastania jakby na wspólnym podwórku i z posiadania wspólnego bagażu doświadczeń.

Zjawisko muzyków drugiego lub trzeciego pokolenia dotyczy o wiele większego spektrum ludzi. Zresztą to nic nowego nie tylko w świecie jazzu (Ravi Coltrane, rodzina Jonesów -Thad, Hank, Elvin, rodzina Marsalisów...). W wielu innych dzie-

dzinach ludzie najczęściej idą w zgodzie z tym z czym się spotykają lub chcą się temu przeciwstawić (you play with it or against it what you hear). Gdy dorastamy, największy wpływ na nas mają osoby, z którymi najczęściej spędzamy czasu – rodzice więc stanowią tu ważny punkt. Kiedy coś widzimy, to albo podoba nam się to albo nie. Jeśli nam się wyjątkowo podoba to staramy się to robić; jeśli wyjątkowo nie podoba to to zwalczamy. Wszystko co pośrednie natomiast jest pozornie ignorowane, ale to też często w sposób niezauważony pozostawia w nas ślad. Tu jednak potrzeba więcej czasu na naszą reakcję. Dane gromadzimy w podświadomości i one podprogowo wpływają na nasze decyzje. Wierzę w ideę determinizmu. Doświadczenia, które napotykamy, informacje, które absorbujemy, ludzie, z którymi przebywamy lub których obserwujemy, wychowanie, geny, zdarzenia, których jesteśmy świadkami... to wszystko wpływa na nas i determinuje nas do dokonywania określonych wyborów. Nie ma wolnej woli. Akcja jest wynikiem reakcji. Często nie zdajemy sobie nawet z tego sprawy. Dlatego na przykład jestem przeciwnikiem kary śmierci, a jedynie odseparowania takiego szkodliwego człowieka od reszty społeczeństwa. Nasze działania są rezultatem wszystkiego z czym mamy styczność. Najbardziej widać to po dzieciach, które są ewidentną kalką tego z czym się spotykają. Bywa, że pozornie nieistotne czynniki odkładają się w nas czekając tylko na odpowiedni moment żeby skumulowane i rozpedzone rozkwitnąć i z impetem zmanifestować swoją obecność.

W Polsce jest wiele takich osób, które jednak poszły za przykładem rodziców – Pospieszalscy, Soykowie, Miśkiewiczowie, Dawid Głowczew-



ski, Piotr Kułakowski, Krystyna Stańko, Mika Urbaniak... Czy to dobry kontakt z rodzicami spowodował taką decyzję? Ja mam starszego brata i młodszą siostrę i oni nie zostali muzykami, a wszyscy mieliśmy i mamy bardzo dobry kontakt z tatą. Mój brat jest anglistą, a siostra studiuje prawo w Londynie. Jest to więc głębsze zagadnienie i ten zespół na pewno też będzie swego rodzaju studium przypadku.

RS: Ciekawy wywód. Przejdźmy od tych rozważań filozoficzno-psychologicznych na grunt muzyczny. Czego po Twojej nowej formacji może spodziewać się słuchacz?

PS: Jeśli chodzi stricte o muzykę, to w Generation Next będzie dominował przestrzenny, akustyczny jazz wychodzący z głównego nurtu, zakrawający o pewne wzorce europejskie, o odrobinę harmonii typowej dla muzyki filmowej i czegoś takiego, co mocniej wpływa na emocje. Bardzo ważne dla mnie jest, żeby to, co gram nie było produktem tylko dla snobów, którzy chcą się pokazać na koncercie w dobrym towarzystwie, lecz muzyka sama w sobie najmniej ich interesuje. Zależy mi na tym, żeby wpłynąć emocjonalnie na odbiorcę i pozostawić w jego sercu ślad. O to samo mi chodzi w moim elektrycznym zespole, tylko robię to przy pomocy trochę innych środków. To pewien trend we mnie, który zaczął się z dwa lata temu. Chcę żeby muzyka wzruszała i była bazą do czegoś głębszego. Do refleksji, do wspomnień, do chwili zapomnienia. Gdy tworzysz obraz, w którym moment zwątpienia miksuje się z nadzieją, pełną radości i marzeń. Chcę, by każdy poczuł moc tych wrażeń...

Większość kompozycji jest Jacka Namysłowskiego i Gabriela Niedzieli. Są też dwa moje utwory. Całość jednak jest tak dobrana, żeby tworzyć spójną koncepcję brzmienia. Bardzo się cieszę z tego projektu i mam nadzieję, że spotka się on z dużym zainteresowaniem i dostarczy ludziom takiej samej satysfakcji jak dostarcza nam.

RS: Jakie macie plany koncertowe i nagraniowe?

PS: W kwietniu mamy inauguracyjną trasę koncertową. Spotykamy się parę dni wcześniej na próby i doszlifowanie materiału. Już teraz zapraszam 11 kwietnia do Wrocławia na Jazz nad Odrą, 12 kwietnia do Trzebnicy na kolejny koncert pod opieką tego samego festiwalu, 13 kwietnia do Bytomia oraz 14 kwietnia do Zgorzelca. Szczegóły dotyczące tych koncertów są na mojej stronie internetowej. Co do nagrania płyty to odbędzie się ono podczas pierwszego koncertu na dużej scenie Impartu we Wrocławiu. Będzie to zatem nagranie na żywo i taka też będzie płyta – bez ściemy, poprawek i wycinania niewygodnej prawdy. Podana na talerzu będzie niosła prawdziwe emocje, wpływające z głębi serca... wszystko podane bez przypraw i zasłony dymnej, bez sosu, photoshopa i silikonu. Płyta ukaże się jakoś pod koniec lipca lub na początku sierpnia. Jeszcze zobaczymy. Wiadomo... jak zawsze najpierw musi być walka o sponsora, patrona i uwagę. Proza życia. Później odrobinę blizny i splendoru, ale to niszowa muzyka, więc nie za dużo. Nie ma co analizować za i przeciw. Wiem po prostu, że warto i że rezultat muzyczny będzie więcej niż satysfakcjonujący. Każdy kto przyjdzie na koncert lub kupi płytę się o tym w pełni przekona.

□

Kontynuujemy historię festiwalu Jazz nad Odrą. W poprzednim numerze opublikowaliśmy tekst odpowiadający na pytanie: „Skąd się we Wrocławiu wziął JAZZ NAD ODRA?” (red.)

I Festiwal (1964 rok)

Z legendami to jest tak. Albo się w nie wierzy, albo nie. Taką legendą jest opowieść o tym, jak zrodziła się we Wrocławiu idea konfrontacji muzyków i zespołów jazzowych, trafnie nazwana JAZZ NAD ODRA....

Późną jesienią 1963 roku trzech studentów (wcześniej licealnych kolegów): Karol Maskos i Andrzej Żurek z Wrocławskiej Politechniki oraz Aleksander Fleischer* z PWSSP (dzisiaj ASP) czekało na dworcu kolejowym w Katowicach na pociąg do Wrocławia. Jak tak się czeka i czeka (a pociąg Przemyśl – Wrocław normalnie był już dwie godziny spóźniony) to do głowy przychodzi różne głupie pomysły. Czy musimy słuchać jazzu tylko z płyt? Przecież nie tylko w Europie, ale także już w Polsce organizowane są poświęcone tej muzyce festiwale. Zamarzyło im się, by coś podobnego, ale zarazem i innego, zorganizować we Wrocławiu. Dyskutowali, kombinowali, i... wymyślili (jeszcze nie festiwal) ale „przeгляд – konkurs” młodych pianistów jazzowych Dolnego Śląska. Tyle legenda...

Kraków ma Zaduszki, Warszawa Jamboree, a Wrocław

Siedzibą jazzmanów i fanów był należący do Zrzeszenia Studentów Polskich, mieszczący się w centrum miasta, przy ulicy Kościuszki

34. klub Pałacyk. Tutaj spotykali się, ćwiczyli, dyskutowali i marzyli... Zdawali sobie sprawę, że jedyną wówczas szansą na powstanie takiej imprezy było zaangażowanie w jej organizację ZSP. Szefem Komisji Kultury w Radzie Okręgowej ZSP we Wrocławiu był Włodzimierz Sandecki**. Udali się więc do Włodka, który z miejsca zapalił się do pomysłu trójki studentów i „rozszerzył” reguły przyszłego festiwalu. Do jazzowych pianistów dokooptowano także i ansamblę, a zasięg imprezy rozciągnięto na całą studencką Polskę.

Po latach Aleksander Fleischer wspominał:

„... nasza trójka: Karol Maskos, Andrzej Żurek i ja tworzyła mały zespół jazzfanów już w czasach licealnych, a sprawcą był radiowiec z Głosu Ameryki, Willis Connover. Jego audycji „Time for Jazz” słuchaliśmy każdego dnia, pomimo zakłóceń w odbiorze.

...We Wrocławiu było wtedy kilka zespołów, między innymi, „pałacykowy” FAR Quartet Jerzego Pakulskiego z „Małym” Bartkowskim na perkusji, ... zespół pianisty Tadeusza Kosińskiego, którego nazywali „Erollem”. My chcieliśmy, by działa się więcej, bo na Zaduszki do Krakowa było daleko...

Kiedy czekaliśmy na przyjazd pociągu z Przemyśla do Wrocławia, spytałem: Dlaczego nie zrobić czegoś we Wrocławiu? Karol i Andrzej wzięli na siebie złożenie projektu Włodkowi Sandeckiemu z ZSP i pozostałe szczegóły organizacyjne. Ja zająłem się przeprowadzeniem ogólnopolskiego konkursu i wystawy grafiki



o tematyce jazzowej. Była to integralna część pierwszego festiwalu.

Zrobiłem też plakat, ale dziś „tego” za plakat uznać nie mogę, bo nie spełnia żadnych wymogów. Jest nieudolnym dziełem studenta drugiego semestru szkoły artystycznej, który nie miał wówczas pojęcia jak to powinno wyglądać. Plakat posiada jednak pewną obrazową cechę, dokumentuje wizualnie naszą ówczesną organizacyjną niedoskonałość. Brak nam było jakiegokolwiek doświadczenia. Poruszaliśmy się niepewnie i właśnie pierwszy plakat w pełni oddaje ten żar, z jakim festiwal powołaliśmy do życia.”

Autorstwa nazwy festiwalu – JAZZ NAD ODRĄ nie udało się ustalić. Najbliższy prawdy jest taki fakt: finałowy koncert I Festiwalu (zwanego wtedy skromnie Przeglądem) odbywał się w Auli Politechniki Wrocławskiej. Budynek stoi nad Odrą, którą widać z okien auli. Ktoś zapewne ot tak sobie powiedział: jazz nad Odrą i tak już zostało. Warto jeszcze zauważyć, że ojcami tej muzycznej imprezy wcale nie byli muzycy...!

Wszyscy ostro wzięli się do roboty i już w sobotę, 7 marca 1964 roku... i tutaj, niestety nikt nie pamięta czy odegrano słynny sygnał wielu jazzowych festiwali „Swanee River”? Chyba jednak nie. Niemniej jednak nastąpiła uroczysta inauguracja.

Festiwal i wystawę grafiki jazzowej otworzył Józef Balcerak*** – redaktor naczelny miesięcznika *JAZZ* – jedyne go wówczas profesjonalnego,

jazzowego czasopisma. Była to, nie tylko nobilitacja nowej imprezy, ale i uznanie wrocławskiego środowiska jazzowego.

W nr 4 (92) *JAZZ*-u, z kwietnia 1964 roku pisał:

„... Odnotowując datę 7 marca 1964 r. w historii polskiego ruchu jazzowego wyznaczamy nowy punkt na mapie wydarzeń artystycznych (Wrocław, „Pałacyk”), zapiszemy nową nazwę imprezy („Jazz nad Odrą”) – po czym ufniejsz spojrzmy w przyszłość jazzu w Polsce.”

Jury przewodniczył największy wówczas wrocławski jazzowy autorytet Jerzy Pakulski****, leader zespołu FAR Quartet. Koncert konkursowy odbył się w Sali Lustrzanej w Pałacyku. Z różnych ośrodków akademickich zgłosiło się 13 zespołów, w tym 5 grających jazz tradycyjny. Bilety poszły jak woda i klub wypełniły tłumy. Atmosfera była fantastyczna, a wysoki poziom muzycznych prezentacji był dla wszystkich olbrzymim zaskoczeniem. Nie były to zespoły zawodowe, choć także nie stricte amatorskie. Większość muzyków stanowili uczniowie i studenci szkół muzycznych. Nie było wtedy łatwo grać jazz w szkole...

Jako pierwszy wystąpił Traditional Jazz Septet z Lublina grający w składzie: Ryszard Kula – saksofon sopranowy, Sławomir Kula – klarnet, Edward Chmiel – puzon, Jerzy Wróbel (Wakowicz) – banjo, Andrzej Czarkowski – perkusja (założyciel zespołu i „prowodyr” wyjazdu do Wrocławia), Andrzej „Gar” Radziecki – tuba, Ludwik Piłat „Ragtime” – fortepian.

Sławomir Kula wspomina:

„...To było dla mnie ogromne przeżycie. Grałem w pierwszym w moim życiu zespole jazzowym... podróż do Wrocławia na drugi koniec Polski. Tylu zespołów i muzyków jazzowych nie widziałem i nie słyszałem w życiu. Trzeba pamiętać, że wszyscy (za wyjątkiem perkusisty i bandyżysty) byliśmy uczniami szkoły muzycznej, a granie takiej muzyki było karane wyrzuceniem ze szkoły.

Z przebiegu samego festiwalu pamiętam niewiele:... Pałacyk pełen muzyków rozgrywających się prawie w każdym kącie.... Staralem się każdego podpatrzeć, podsłuchać. ...Wystraszony byłem tym wszystkim tak, że nie pamiętam samego grania konkursowego..., ale imponowało mi, że tacy młodzi chłopcy (jakimi byliśmy) wzbudzili tak wielki entuzjazm i sporą sympatię publiczności”

„... miesięcznik *Jazz* obiecał przysłać do Lublina konsultanta jazzowego. No i przyjechał na parę godzin Wojtek Karolak. Miałem gdzieś nawet zdjęcie jak siedzimy na ławce, między blokami, ale po prawie 50 latach nie udało się już go znaleźć....”

W kategorii jazzu tradycyjnego panowała bardzo silna konkurencja. Zdziwienie i niemałą sensację wywołał Ragtime Jazz Band z warszawskiej Stodoły. Wystąpił bowiem bez sekcji melodycznej. Nie był to zamierzony artystyczny zabieg, ale wypadek przy pracy. Muzycy ci, z bliżej nie znanych powodów, do Wrocławia nie dojechali. Zespół grał z typową dla archa-

icznych nowoorleańskich zespołów tarą, a każda solówka, wykonywana na tym „domowym instrumencie” wzbudzała spontaniczną reakcję rozbawionej widowni.

Z zasłużonym uznaniem wrocławian spotkał się występ, dobrze już znanego w jazzowym świecie, krakowskiego zespołu Jazz Band Ball. Laureat Przeglądu Zespołów Jazzowych Polski Południowej (Kraków 1963) nie zawiódł swoich fanów. Krakowianie imponowali nie tylko ciekawym opracowaniem utworów, ale także ich doskonałym wykonaniem. Znany standard „High Society” zagrali tak brawurowo, że spontanicznie zawtórował im złożony z publiczności chór. Jazz Band Ball w składzie: Jan Boba – fortepian, leader, Jan Kudyk – trąbka, Ryszard Kwaśniewski – klarnet, Zdzisław Garley – pużon, Tadeusz Wójcik – kontrabas, Marek Podkany – bandžo, Jacek Brzycki – perkusja, zasłużenie wygrał w kategorii „tradycjonalistów”. Dzisiaj ten najstarszy w Europie, ciągle funkcjonujący, zespół tradycyjnego jazzu gra i nadal odnosi sukcesy jako Jazz Band Ball Orchestra, a jedynym muzykiem, grającym od początku istnienia zespołu jest trębacz Jan Kudyk.

Uwagę jurorów zwrócił również wrocławski Royal Garden Jazz Band (wyróżnienie). Grał w nim na trąbce Ryszard Kwaśniewski (zbieżność imienia i nazwiska z klarncistą z Jazz Band Ballu to tylko przypadek). Popularny we Wrocławiu „Tupcio” później przenosi się na Śląsk i zakłada w Gliwicach zespół High Society, z którym wystąpił na kolejnych czterech festiwalach JAZZ NAD ODRĄ



Wszystkie zespoły (13!) prezentowały swój program podczas jednego „pałacykowego koncertu”, co przedłużało jego trwanie ponad „wytrzymałość” licznych muzyków. Brakowało „kondycji” i krakowski zespół z Klubu Pod Jaszczurami, zmuszony był zagrać bez swego basisty, Tadeusza Wójcika. Muzyk uległ pokusom wrocławskiej festiwalowej gościnności i nie dotrzymał w stanie pełnej artystycznej mobilizacji. Może dlatego, że wcześniejszy występ Jazz Band Ballu (I nagroda) w składzie którego także grał, zakończył się wspaniałym sukcesem...?

Indywidualnością konkursu był, zdaniem nie tylko recenzentów, gdański wibrafonista Ryszard Kruza. Juror Jerzy Pakulski napisze później: JAZZ nr 5 (93) maj 1964)

„...potrafił narzucić słabszym od siebie muzykom klimat, wyczarował na wibrafonie nastrój. Jedyńm muzykiem, który skutecznie dotrzymywał mu kroku był pianista Jerzy Sapiejewski...” pozostali muzycy zwycięskiego (I nagroda) Kwartetu Kruzy, to Wiesław Damięcki – kontrabas, Bohdan Jopek – perkusja i wspomniany Jerzy Sapiejewski – fortepian. Ryszard Kruza wyemigrował później z Polski na Węgry, gdzie ożenił się. Współpracował z wieloma węgierskimi muzykami, między innymi z Aladarem Pele****.

Wystąpił jeszcze dwukrotnie na JAZZIE NAD ODRA; jako laureat ze swoim Kwintetem w następnej edycji festiwalu (1965 rok) oraz, jako gość specjalny podczas X Jubileuszowego Festiwalu (1973 rok).

Po konkursie przewodniczący jury napisał:

„...Wyrównany poziom zespołów utrudnił zadanie komisji stanowiącej o wynikach przeglądu. Odbiorcy, jak gdyby potwierdzając wątpliwości komisji, równie gorąco przyjmowali wszystkie zespoły. Najliczniej reprezentowane były środowiska Warszawy, Krakowa i Wrocławia, co stanowiło zresztą wierne odbicie *układu sił* w polskim ruchu jazzowym. Udział dużej liczby muzyków sugerował znaczne różnice poziomów. Okazało się, że jest inaczej.” (Jerzy Pakulski, *Jazz*, nr 5 (93), maj 1964. Prasa wrocławska: *Gazeta Robotnicza* nr 55 (5 marca 1964) i *Słowo Polskie* nr 56 (6 marca 1964) zamieściły tylko zapowiedzi nowego festiwalu.

Następnego dnia, 8 marca 1964 roku, tym razem w Auli Politechniki (która w tych czasach była salą koncertową Filharmonii Wrocławskiej) odbył się koncert finałowy nazwany właśnie : Jazz nad Odrą.

Z zainteresowaniem wszyscy oczekiwali występu, (tuż po rewelacyjnym debiucie na Jazz Jamboree), Kwartetu Zbyszka Namysłowskiego. Zainteresowanie potęgował fakt, że na bębnoch w zespole Zbyszka, grał wrocławianin, Czesław „Mały” Bartkowski, ulubieniec pałacykowej publiczności (zwłaszcza jej żeńskiego odłamu) i do niedawna filar FAR Kwartetu Jerzego Pakulskiego.

Wystąpili na tym koncercie wszyscy laureaci oraz sztandarowy zespół wrocławskiego Hot Clubu Pałacyk, wspomniany już wyżej FAR Kwartet, w którym zaszły ważne personalne

zmiany. Opuszczającego dla Warszawy Wrocław perkusistę „Małego” zastąpił (już na stałe) Jerzy Grossman, a basistę Janusza „Lalę” Kozłowskiego – Włodzimierz Plaskota. Z FAR Quartetem śpiewali: Ewa Sadowska (poprzednio gwiazda krakowskiej Piwnicy pod Baranami) oraz studiujący w Polsce Kubańczyk Angele Santane, których dla odmiany Wrocław pozyskał. Festiwal zakończyło, z brylującym do samego rana (na saksofonie) Zbigniewem Namysłowskim, wspaniałe pałacykowe jam session.

Laureaci Pierwszego Przeglądu Studenckich Zespołów Jazzowych JAZZ NAD ODRA

W kategorii zespołowej:

I Nagroda ex equo

Jazz Band Ball – Kraków

Jan Boba – fortepian, leader, Jan Kudyk – trąbka, Ryszard Kwaśniewski – klarnet, Zdzisław Garley – puzon, Tadeusz Wójcik – kontrabas, Marek Podkanowicz – bandžo, Jacek Brzycki – perkusja

Kwartet Ryszarda Kruzy – Gdańsk

Ryszard Kruza – wibrafon, Jerzy Sapiejewski – fortepian, Bogdan Jopyk – perkusja, Wiesław Damięcki – kontrabas

Wyróżnienia:

Ragtime Jazz Band – Warszawa

Royal Garden Jazz Band – Wrocław

Równorzędne wyróżnienia indywidualne

Jacek Bednarek – kontrabas

Jacek Brodowski – fortepian

Ryszard Kruza – kontrabas

Ryszard Matysik – fortepian

Andrzej Nowak – organy

Organizatorzy Festiwalu:

Zrzeszenie Studentów Polskich – Rada Okręgowa we Wrocławiu

Hot Club Pałacyk

Kierownictwo Organizacyjne: Karol Maskos, Andrzej Żurek

Fragment monografii Festiwalu Jazz nad Odra autorstwa Bogusława Klimsy i Wojciecha Siwka przygotowywanego do druku przez wrocławskie wydawnictwo c2 z okazji 50-lecia Festiwalu przypadającego w roku 2014.

* – Alex Fleischer – artysta malarz, absolwent PWSSP we Wrocławiu, mieszka w Darmstadt w Niemczech.

** – Włodzimierz Sandecki – prawnik, menager kultury, impresario, dyrektor COMUK i MKiS (1969-1981), Polskiej Agencji Artystycznej PAGART (1981- 1996), Teatru Wielkiego i Opery Narodowej (1981-1994), radca ambasady RP w Moskwie (1996-2001), dyrektor Państwowego Zespołu Ludowego Pieśni i Tańca Mazowsze (2002-2005).

*** – Józef Balcerak (1915-1988) – założyciel i redaktor naczelny miesięcznika JAZZ.

**** – Jerzy Pakulski (1932-2004) – wrocławski pianista i kompozytor.

***** – Aladar Pege (1939-2006) – węgierski kontrabasista jazzowy.



Tym razem w naszym cyklu głos w sprawie dorocznych nagród muzycznych. W kwietniu po raz kolejny zostaną wręczona „Fryderyki”, zanim jednak to się stanie dokonano zmian w systemie „nagradzania”. O ocenę tych zmian poprosiliśmy jednego z członków Akademii. Zapraszamy do lektury i dyskusji.

Redakcja

Fryderyki 2013

Osiemnaście lat tradycji najważniejszych polskich nagród przemysłu muzycznego i osiemnaście lat dyskusji nad formułą oraz formą ich przyznawania, tak najprościej można streścić osiągnięcie pełnoletniości przez Fryderyki, nagrody za którą stoi Związek Producentów Audio Video.

W tym roku nagrody będą przyznane w innej niż dotychczas formule. Aby najlepiej zrozumieć co się stało, warto sięgnąć do źródła, serwisu informacyjnego ZPAV. A co tam znajdziemy?

„Poszukując nowych kierunków rozwoju oraz dbając o nieustanne udoskonalanie systemu przyznawania nagród Akademii Fonograficznej *Fryderyk*, organizator nagród ZPAV działając w oparciu o rekomendacje Rad Akademii Fonograficznej, wprowadził zmiany dotyczące kategorii, w jakich przyznawane będą statuetki w rozpoczynającej się właśnie edycji (tekst pochodzi z 8 listopada 2012 roku – przyp. autora). Nowa koncepcja, nawiązując do europejskiego modelu wyróżnień muzycznych – w tym najpopularniejszych brytyjskich nagród BRIT

Awards, ogranicza liczbę kategorii, w których przyznawane są nagrody. Z dotychczasowych 39 statuetek w 39 kategoriach, w edycji 2013 przyznanych zostanie 21 Fryderyków w 13 kategoriach. Akademia uhonoruje najlepszy album i najwybitniejszego artystę 2012 roku w muzyce rozrywkowej, poważnej i jazzowej; nagrodzony zostanie również najciekawszy debiutant w muzyce rozrywkowej i jazzie, najlepszy utwór w muzyce rozrywkowej, a także najwybitniejsze nagranie muzyki polskiej spośród albumów muzyki poważnej.”

Czy to dobre zmiany? W mojej opinii bardzo złe, czemu wyraz dałem w publikacji prasowej „Fryderykowa rewolucja” w *Gazecie Polskiej Codziennie* przed miesiącem. Nie kryję, że likwidacja wielu kategorii sprawiła, że dojdzie do wręcz kuriozalnych korespondencyjnych pojedynków: Litza kontra Peszek, Brodka kontra Waglewski, Hey kontra Andrus. Jak to możliwe? Zmiana zaś była niecelowa, bowiem historia nagrody pokazuje, że w wielu kategoriach jest ona najbardziej prestiżowym laurem. Co więcej, ilość nagród w muzyce – przepraszam za kolokwializm – poważnej, sprawia, że upada powszechność lauru. Zredukowanie liczby kategorii sprawiło, że do przysłowiowego jednego wora wrzucono bluesmanów, raperów, wykonawców piosenki poetyckiej, wyznawców metalu. Dzisiaj tzw. muzyka rozrywkowa rozsiadał się na czterech kategoriach, jazz na trzech, gdy muzyka tzw. poważna to kategorii... 10! Nic więc dziwnego, że nie ja jeden będąc zarówno członkiem Akademii Fryderyków, jak i Rady w kategorii jazzowej, nie rozumiem tego samoograniczenia. Nic więc dziwnego, że w opinii, iż szkodzi to samej nagrodzie,

nie jestem odosobniony. Jestem w przytłaczającej większości, że szkodzi muzyce w całym jej spectrum.

Dlaczego? Tę kwestię również poruszyłem w swoim felietonie.

„Wiele niszowych gatunków zwyczajnie nie ma szans z popowym hitem czy masmediową papką. No bo niby jak ma rywalizować Robert Friedrich (nominacje za zjawiskowy utwór „Wilki dwa” i cały album *Robaki Luxtorpedy*), rockers z krwi i kości z Marią Peszek, która w autokreacji swej autodestrukcji przekroczyła chyba wszelkie rozsądne granice? Jak porównać twórczą, rockową wizję zespołu Hey w najlepszej konwencji indie rocka i Katarzyny Nosowskiej z pastiszową konwencją medialnego celebryty Artura Andrusa? Jak oceniać szanse Nosowskiej i jej kompanów skupionych na sztuce z nastawioną na skandal Peszek? Jak położyć na jednej szali T. LOVE i jego *Old Is Gold*, a na drugiej Brodkę i jej *LAX*, gdy w dodatku w tej samej kategorii startuje *Do Rycerzy, do Szlachty, do Mieszczan* Hey! Absurd? Absurd.”

Adwokatem diabła zdaje się być tutaj redaktor Piotr Metz, który na stronie Związku Producentów Audio Vide tłumaczył:

„Ta decyzja dojrzewała w nas od dłuższego czasu. Ilość fryderykowych kategorii rosła od lat kilku, będąc nie tylko w opozycji do europejskich trendów w tej dziedzinie, ale i wzmagając spory merytoryczne. Przenikanie się gatunków spowodowało, że paradoksalnie, wprowadzanie coraz bardziej specjalistycznych kategorii,

utrudniało klasyfikowanie poszczególnych pozycji – mówi Piotr Metz, członek Rady Akademii Fonograficznej.”

Jest to tak samo dyskusyjne, ile pokrętne tłumaczenie, bowiem zasady ustalała Rada bez wiedzy ... członków Rady! Jako osoba zasiadająca w Radzie w dziale jazzowym nic o tym nie wiedziałem! Wszyscy z naszego jazzowego kręgu byli tym faktem zaskoczeni! w pewnym sensie poprzednia Rada (zmiany nastąpiły jesienią minionego roku) chyba podrzuciła nam kukułcze jajo. I mamy świadomość, że musimy to zmienić. Ale czy damy radę?

Moim zdaniem ograniczenie kategorii popowych, rockowych i im pokrewnych to kolejna Gra Wielkich. Dzisiaj niemal każda wiodąca rozgłośnia i stacja telewizyjna ma swoje nagrody muzyczne. Fryderyki w prosty sposób stają się więc konkurencją. Konkurencją, paradoksalnie, ponad medialnymi podziałami. A jak ktoś przeszkadza wszystkim, to najprościej, aby przestał. I myślę, że skoro zredukowano kategorie – nazwijmy je medialne – to zmniejszając atrakcyjność z punktu widzenia komercyjnego widza, obniżono atrakcyjność samej nagrody! Tym samym inne konkursy, czy raczej coroczne nagrody mediów komercyjnych, jakoś takim cięciom nie podlegają.

Paradoksalnie, Nagroda Grammy posiada już tyle kategorii (ostatnie rozdanie 81), że chyba nikt nie jest w stanie wymienić ich kompletu „z głowy”. Ale czy komuś to przeszkadza? Owszem, poddawane są one kosmetycznym zmianom, jednak co do całości są jak twierdza.



A korzystają na tym wszyscy, bowiem w świetle jupiterów skierowanych na celebrytów popowych jaśnieją też postacie z nurtów dla komercyjnych mediów, niszowych.

A jak te zmiany przełożoną się na tegoroczne Fryderyki? Co wyszło, widać. I nie ma co winić tych, którzy na Fryderyki głosują. Jak bowiem wygląda procedura? Głosowanie odbywa się w dwóch turach. W pierwszej członkowie Akademii głosują na wybrane przez siebie pozycje z listy wydawnictw fonograficznych danego roku, która powstaje na podstawie zgłoszeń nadsyłanych przez wytwórnie fonograficzne. Po tym głosowaniu w każdej kategorii wyłaniane są nominacje (zazwyczaj jest ich pięć). W drugiej turze członkowie Akademii ponownie oddają głos – tym razem tylko na jedną z nominacji w każdej kategorii. Głosowanie jest tajne i anonimowe, a podsumowania wyników dokonuje niezależna firma audytorska. Jednym słowem – pełna transparentność. Są też Złote Fryderyki, przyznawane w każdej z trzech kategorii głównych (muzyka poważna, rozrywkowa i jazz) przez dziesięcioosobową Radę Akademii właściwą dla każdej z kategorii. Tegoroczni laureaci nie budzą żadnych emocji negatywnych. Józef Skrzek, Tomasz Szukalski (pośmiertnie) i prof. Jan Ekier to postacie w swoich specjalnościach pomnikowe.

A co mówią inni na temat zmian?

„Zmiana ta może mieć przełomowe znaczenie zwłaszcza dla muzyki mniej popularnej, czy alternatywnej. Zdobycie Fryderyka będzie dla niej realną szansą na dotarcie do szerokiej publiczności” – zdradził Tomasz Lipiński, członek

Rady Akademii Fonograficznej.

Oczywiście jako człowiek wpisany w jazzową ścieżkę Fryderyków, cieszę się, że los z naszą działką obszedł się łaskawie, jednak martwi mnie całokształt nagrody.

Z fryderykami jestem za pan brat od samego ich powstania. Na wszelkich etapach nagrody, zarówno jako członek oficjalnych jej ciał, jak i jej adresat. Gdy nagroda podupadała, wspierałem Alinę Dragan w tym, aby zachowała swój status najważniejszego lauru muzycznego w Polsce.

Pamiętam czasy, gdy nagrodę o której mówiono, że to zabawa wielkich świata fonograficznego w Polsce, przekształcono w bardziej demokratyczną. Sam osobiście jestem autorem punktacji, która w I turze daje każdemu głosującemu możliwość oddania 5 pkt. na najlepszego w opinii głosującego; 3 pkt. na II i 1 pkt. na III w jego opinii. w ten sposób premiowane są produkcje nie idące w głównym nurcie, płynące z prądem. W takim systemie głosowania mają szansę przebicia ci, którzy nie goszczą na okładkach magazynów kolorowych, bo i dzieło nie jest produktem showbiznesowego mainstreamu.

Nie kryję, że w jazzie to się sprawdza do chwili, kiedy płyty nie wydaje Tomek Stańko. Tegoroczny jego album trafi do fryderykowej puli dopiero za rok, więc tym razem jak widać, wszystko (niemal) możliwe.

Tegoroczne zmiany niestety procentują już wieloma wpadkami, ta największa – jazzowa to nieobecność w puli zjawiskowego albumu Krysi

Stańko, która sama stwierdziła, że po zmianach kategorii nie bardzo wiedziała, gdzie go umieścić (płyta jest bardzo poetycka jak na stereotyp jazzu, stąd rozterka autorki). Ostatecznie nie ma jej w żadnej kategorii.

Ciekawie wyglądało też kwalifikowanie jazzowych fonogramów do samego grona umieszczonych na wykazie w I turze. Nie wchodząc w szczegóły, rada jazzowa musiała odsiać to, co z jazzem nie miało kompletnie nic wspólnego, choć były też głosy, aby niektóre albumy również „wykreślić” (tak podobno czyniono w razie wątpliwości w poprzednich latach) na co nie było zgody ze strony nowych członków jazzowej rady. Nie nam jest decydować gdzie jazz się zaczyna, a gdzie kończy. Nie decydują o tym głoszący, czyli członkowie Akademii Fryderyków w kategorii jazzu. Nie zdradzę tajemnicy zbytniej, gdy powiem, że z tego, co usłyszeliśmy, w poprzednich latach fonogramy tak radykalne, jak muzyków z kręgów jazzowej ferajny, której muzyczny tygiel procentuje formacjami Sing Sing Penelope czy Contemporary Noise Quintet, zwyczajnie wypadały z puli. Jak widać, odmłodzenie grona decydującego o tym kto ma być w puli, a kto nie, wyszło jazzowym Fryderykom na dobre.

Tegorocznych laureatów poznamy 25 kwietnia w czasie gali w Teatrze Polskim a wszystkich nominowanych można znaleźć pod www.zpav.pl

Piotr Iwicki

[Pełna lista członków Akademii Fryderyków z podziałem na kategorie »](#)



fot. Bogdan Augustyniak



Wiosna w polskim jazzie

Czekam na pierwszy prawdziwie wiosenny dzień. Mróz trzyma tego roku mocno i śnieg nie chce stopnieć. Lecz ptaki wiedzą lepiej i już zaczęły wrzeszczeć, świergotać i śpiewać zwiastując rychłe nadejście cieplejszej pory. Nie inaczej jest w jazzie, przynajmniej polskim, bo końcówka pierwszego kwartału przyniosła prawdziwy wysyp płyt i to jakich!

Zacznijmy od... Bacha. Bo fragmentem wariacji goldbergowskich zaczyna się najnowszy krążek Leszka Możdżera, nagrany w trio z dwoma innymi pianistami: Iiro Rantalą i Michaelem Wollnym. Płyta ta jest pierwszą z zainicjowanej przez Siggiego Lochę ze znanej niemieckiej wytwórni ACT serii: *Live at Berlin Philharmonic*. Jest coś symbolicznego w tym, że jazz zawędrował do tej świątyni muzyki klasycznej. Odbieram to jako potwierdzenie wyraźnego trendu w europejskim jazzie jakim jest coraz śmielsze sięganie do wielkiego dziedzictwa muzyki klasycznej. Chociaż na płycie nie ma jakiejś rewolucji, to zagrane to jest z taką werwą, entuzjazmem i miłością, że od jej słuchania nie można się wprost oderwać.

Nic nowego nie dzieje się też na kolejnym albumie Tomasza Stańki zatytułowanym *Wisława*, ale wielu słuchaczy zauważy, że komu i co ma udowodnić „mag z Krakowa”? Żaden inny polski muzyk (nie tylko jazzowy) nie ma na świecie takiej pozycji jak on: wystarczy, że wskaże palcem i chętnie zagra z nim każdy. Kilka lat temu przeprowadził się do Nowego Jorku i nawiązał bliższe kontakty z tamtejszym środowiskiem jazzowym. Warto odnotować, że do nagrania płyty zapro-

sił muzyków młodego pokolenia i w ten sposób na tym albumie zagrały takie gwiazdy nowojorskiej awangardy, jak: perkusista Gerald Cleaver, kontrabasista Thomas Morgan i pianista kubańskiego pochodzenia David Virelles. Jednak grają oni muzykę taką jaką słyszy Stańko, jeśli zatem ktoś lubił poprzednie jego albumy wydane dla ECM to się nie zawiedzie. A jeśli ktoś oczekiwał (jak ja), że Stańko wejdzie w jakiś głębszy dialog z nową generacją w amerykańskim jazzie to niczego takiego na tej płycie nie znajdzie.

Żeby poczuć powiew świeżości warto przenieść się z Nowego Jorku do Chicago, jak mawiają Amerykanie „Wietrznego Miasta”, gdzie ma siedzibę znana wytwórnia płytowa Delmark. Wydaje ona sporo chicagowskiej awangardy, w tym trębacza Roba Mazurka. Zaprosił on do współpracy nasz duet Artur Majewski – Kuba Suchar, co zaowocowało między innymi nawiązaniem przez nich kontaktów z tym wydawcą. Dzięki temu Mikrokolektyw, bo tak nazwali swój projekt polscy muzycy, wydał swoją płytę *Revisit* w Ameryce. Spotkała się ona z bardzo ciepłym przyjęciem tak w Polsce, jak i na świecie, a wydany tej wiosny przez Delmark ich kolejny album *Absent Minded* jest co najmniej równie dobry.

Jeśli ktoś lubi awangardę, czyli tak zwany awantjazz, to może także sięgnąć po następujące krążki: *Mikołaj Trzaska gra Różę* i *Shofar*. W obu tych projektach gra „Miki” Trzaska, oba są świetne, chociaż bardzo różnią się od siebie. Pierwsza to muzyka napisana do filmu Wojtka Smarzew-

skiego. Niewiele ma ona wspólnego, na szczęście, z typowym hollywoodzkim soundtrackiem. Zamiast tego dostajemy oryginalną, współczesną muzykę improwizowaną, która brzmi niepokojąco i otwiera słuchaczowi kompletnie nowy horyzont. Brawo tak dla muzyków, jak i filmowców, bo takich kolaboracji w polskim filmie nie było od czasów Komedy. Druga płyta jest równie wybitna, tak dzięki Trzasce, jak i towarzyszącemu mu Raphaelowi Rogińskiemu. Wraz z Maciem Morettim dokonują oni syntezy free jazzu i muzyki chasydzkiej. Płyta wywarła na mnie wielkie wrażenie potwierdzając, że w kategorii „gitarzysta (free) jazzowy” Rogiński jest absolutnym numerem jeden w naszym kraju.

Błyszczą awangarda, lecz i główny nurt potrafi olśnić! W dodatku ten sprzed lat, bo oto w minionym kwartale ukazały się dwa wydawnictwa archiwalne, które powinny się znaleźć w kolekcji każdego miłośnika polskiego jazzu. Pierwsze to czteropłytowy zestaw z muzyką jednej z najciekawszych osobowości w polskiej pianistyce jazzowej, czyli Sławka Kulpowicza. W tym zestawie prawdziwą perłą jest album zawierający muzykę zespołu The Quartet z udziałem Tomasa Szukalskiego. Drugie to reedycja wyśmienitej płyty Włodzimierza Nahornego *Jej Portret*, wzbogacona o sześć nowych piosenek. Po przesłuchaniu tych dwóch pozycji nawet do głuchego musi dotrzeć, dlaczego na świecie hasło „polski jazz” wzbudza taki szacunek i podziw.

A czy były w tym pierwszym kwartale jakieś niespodzianki? Jak najbardziej, bo do takich należy zaliczyć debiutancki album Coherence Quartet, nagrany przez saksofonistę Łukasza Kluczni-

ka, pianistę Roberta Jarmużka, basistę Marcina Lamcha i perkusistę Grzegorza Masłowskiego. Nazwiska te wiele mówią koneserom, bo to są świetni sidemeni, ale szerokiej publiczności prawdopodobnie nic. Jednak muzyka na tej płycie jest bardzo przyjemnym zaskoczeniem. Smakowity, świeży, pełnokrwisty mainstream jazz, który potrafił przekonać do siebie nawet takiego zwolennika awangardy jak ja!

Kolejna płyta nie powinna być zaskoczeniem, ale dla wielu będzie. Nie powinna, bo kontrabasista Piotr Lemańczyk to od lat artystyczna pierwsza liga. Wspaniały instrumentalista, kompozytor i lider. Pod wieloma względami Lemańczyka można porównać do takich wielkich kontrabasistów w jazzie, jak: Miroslav Vitous, Dave Holland czy Gary Peacock. Gra pięknym dźwiękiem, jego muzyka jest wyrafinowana i głęboka. Prawdziwa rozkosz dla uszu każdego melomana. Dlatego warto sięgnąć po jego najnowszy album *Amhran*, nagrany z Seamusem Blake’em i Jackiem Kochanem. Ja to zrobiłem i nie zawiodłem się!

Tak pięknie właśnie śpiewają te i inne jazzowe ptaszki. Jakby na przekór zimie, śniegowi, brakowi kasy, bez wsparcia, często bez uznania. Ale wiele piękna w polskim jazzie powstaje mimo tych wszystkich przeszkód. Prawdziwy cud! Tak zawsze sobie myślę, gdy patrzę jak na gałęzi pojawiają się pąki, potem liście i wreszcie kwiaty. Zachwyca to mnie!

Maciej Nowotny

Gwiazdy Rawy

Organizatorzy Rawa Blues Festival ujawnili nazwiska gwiazd 33. edycji, która odbędzie się 5 października w katowickim Spodku. W części gwiazdorskiej festiwalu wystąpią: wokalistka, gitarzystka i kompozytorka Ruthie Foster, która zyskała rozgłos dzięki wydanemu w 2009 roku albumowi *The Truth According to Ruthie Foster*; młody kalifornijski bluesrockowy kwartet The Stone Foxes, w którego muzyce słycać bluesa: Slima Harpo, Muddy'ego Watersa i Willie'ego Dixona i rocka, w intensywnych elektrycznych, czasem akustycznych, gitarowych brzmieniach; Heritage Blues Orchestra, który w ubiegłym roku zadebiutował albumem *And Still I Rise*, nominowanym do GRAMMY Awards (2012) i Blues Awards w kategoriach „Najlepszy album” i „Najlepszy album tradycyjnego bluesa” (2013); wielki Otis Taylor – wokalista, gitarzysta, harmonijkarz, bandyżysta, mandolinista i kom-

pozytor, który został okrzyknięty prawdziwym objawieniem pierwszej dekady bieżącego stulecia w bluesowym świecie; James Blood Ulmer, amerykański gitarzysta i wokalista, który zagra w duecie z grającym na harmonijce Irkiem Dudkiem! Główną gwiazdą tegorocznej edycji Festiwalu będzie Keb' Mo', trzykrotny zdobywca Grammy Awards, muzyk postrzegany nie tylko przez pryzmat bluesa.

Program Festiwalu uzupełnią polscy wykonawcy wyłonienie w konkursie.

(rs)

The logo for radioJazz.fm features the word 'radio' in a white, lowercase, sans-serif font, followed by 'Jazz' in a large, bold, yellow, stylized font with a musical note shape integrated into the letter 'J', and '.fm' in a smaller, white, lowercase, sans-serif font.

Arthur Adams – Żywa legenda West Coast Bluesa

Bardzo cieszy mnie fakt, iż współcześnie ciągle mamy okazję spotykać na żywo artystów, którzy są klasykami swoich gatunków. Wielu z nich cały czas nagrywa, a co więcej z powodzeniem koncertuje na całym świecie.

Do grona klasyków west coast bluesa, którzy nadal są muzycznie aktywni, zaliczany jest 73-letni Arthur Adams. Tym bardziej raduje mnie fakt, iż będziemy mieli unikalną okazję na spotkanie z tym artystą na jednym koncercie w Polsce.

Miłośnikom muzyki bluesowej i soulowej Arthur Adams znany jest od lat 60. ubiegłego wieku jako znakomity gitarzysta i wokalista, oscylujący przez lata między bluesem, gospel a soulem.

Muzyczni eksperci zachwycają się jego wyjątkowym wokalem, wyrafinowanym stylem gry na gitarze oraz wyjątkowo ekspresyjnym zachowaniem na scenie. Porównują go słusznie do B.B. Kinga, Bobby'ego Blue Blanda i Roberta Cray'a, ale twórczość Adamsa to czystej wody oryginał oparty na: niesamowitym soul-bluesowym wokal, rewelacyjnych, miękkich riffach oraz na wyjątkowej ekspresji scenicznej.

Niewielu jest na świecie gitarzystów, o których B.B. King wypowiada się: „Uwielbiam klimat jego gitary”. Jeszcze węższe jest grono muzyków, których albumy Król Bluesa zaszczyca dźwiękami swojej Lucille oraz zaprasza do swoich nagrań. Należy do nich również Arthur Adams, którego współpraca z Królem Bluesa sięga początków lat 90. Wtedy to Adams napisał utwór na album Kinga zatytułowany *There Must*

Be One More Time. BB nie pozostał dłużny i w roku 1999 wziął udział w sesji nagraniowej Artura Adamsa, czego efektem jest płyta *Back On Track*. Warto dodać, że ci zaci muzycy często spotykają się w kalifornijskim B.B. King's Blues Club, gdzie Arthur jest bandleaderem.

Muzyczny eklektyzm Adamsa znajduje swoje odzwierciedlenie na siedmiu albumach, które nagrał pod własnym nazwiskiem. Rewelacyjnie przyjęty debiut *It's Private Tonight* z roku 1972, wyprodukowany przez Bonnie Raitt i Tommiego Lipumę i wsparty muzykami The Crusaders ma charakter zdecydowanie soulowy i nie bez powodu zrobił furorę w kręgach Motown.

W latach 70. Adams nagrał jeszcze trzy albumy o charakterze funkującym: w 1975 *Home Brew*, w 1977 *Midnight Serenade* oraz w 1979 *I Love Love Love My Lady*.

Warto dodać, że w roku 1976 współpracował z Albertem Kingiem, współtworząc album *Truckload of Lovin'*. Kamieniem milowym w jego dyskografii jest wspomniana wcześniej, nagrana w roku 1999 dla wytwórni Blind Pig, płyta *Back On Track*. Tu zdecydowanie dominuje blues, ale wpływy muzyki soul są równie znaczące. Album ten słusznie zaliczany jest do najciekawszych płyt bluesowych ubiegłego stulecia. Przy wsparciu rewelacyjnego bandu napędzanego wysmakowanymi partiami dęciaków artysta sięga szczytów muzycznej maestrii. Z jednej strony uduchowiony anielski wokal, z drugiej strony nawiedzone partie gitarowe sprawiają, że płyta jest wyjątkowo wciągająca i z każdym



BLUESOWY ZAULĘK

przesłuchaniem wzmagająca potrzebę powrotu do tych dźwięków.

Dwa kolejne wydawnictwa nagrane dla Delta Groove: *Soul Of The Blues* oraz *Stomp The Floor* to kontynuacja znakomitej passy poprzedniej płyty, co potwierdziły nominacje do Blues Music Awards oraz znakomite recenzje w prasie muzycznej.

W rok 2012 przy producenckim udziale Keb Mo nagrał EP-kę *Feed Back in the Door*, która jest zapowiedzią kolejnego albumu. Obecnie muzyka, którą tworzy ten 73. artysta, to miks gatunków, które eksplorował przez lata ze zdecydowaną przewagą bluesa i soul.

Równolegle do solowej kariery artysta intensywnie udziela się jako muzyk sesyjny. Zapraszany jest do nagrań na płytach wielu gigantów współczesnej muzyki, jak m.in.: Nina Simone, Quincy Jones, Lowell Fulson, The Crusaders i Bonnie Raitt.

Nadal jest bardzo aktywny, koncertuje na festiwalach i w małych klubach na całym świecie, czaruje publiczność niezmiennie pięknym wokalem i ekspresyjnymi solami gitarowymi. Słynie ze znakomitego kontaktu z publicznością niezależnie od sali koncertowej i miejsca na świecie.

Już niebawem po raz pierwszy zawita do Polski, by wystąpić 22 kwietnia na jednym koncercie w warszawskich Hybrydach w ramach cyklu Warsaw Blues Night.

Piotr Łukasiewicz



fot. Bohdan Lichmir

Morey w CDQltury

Mroźny marzec ocieplił nam swoją trasą koncertową Frank Morey. W oczekiwaniu na wiosnę mogliśmy raczyć się zachodnim bluesem w Polsce.

Frank Morey pochodzi z Lowell w stanie Massachusetts. Na koncie ma pięć płyt, w tym jedną wydaną przez legendarną, chicagowską wytwórnię Delmark. Muzyk znany z szorstkiej barwy głosu w swoim repertuarze mieści zarówno teksty o dramatycznych przeżyciach, jak i żartobliwe utwory.

Nasz kraj odwiedził wraz ze swoim zespołem, koncertując w czternastu miastach.

Trio składa się z wokalisty, gitarzysty i harmonijkarza – Franka Morey'a, perkusisty – Scotta Pittmana, grającego na nietypowym zestawie i kontrabasisty – Matta Murphy'ego nadającego zmysłowy charakter granemu bluesowi. Zespół przez cały marzec odwiedzał nasze rodzime miasta, prezentując połączenie oryginalnego bluesa i folku z lat 60. z mocniejszym akcentem.

Miałam przyjemność zobaczyć i wysłuchać ich w Warszawskim Centralnym Domu Qltury. Dzięki otwartości organizatorów mogłam wejść wcześniej, wysłuchać próby zespołu i obserwować ich swobodne zachowanie wobec publiczności.

Zaprezentowali bluesa na dobrym poziomie, niekiedy w żartobliwym wydaniu. Cały występ był lekki, odstresowujący, idealny na zaczynający się tydzień. Teksty Franka Morey'a doty-

kają mrocznych zaułków miast, pozostawiają słuchaczowi przestrzeń na wolną interpretację. Mrukliwy głos idealnie dopasowuje się do dramatycznych historii. W repertuarze nie zabrakło też utworów porywających do tańca, które zakrapiane były chórkami pozostałych dwóch muzyków. Ku zaskoczeniu chóрки te okazały się nieodzownym elementem prezentowanej przez nich muzyki. Morey swoim niebagatelnym głosem zaprosił polską publiczność do skosztowania nieprzeciętnego bluesa, który w swojej odrębności przypomina odmienność Toma Waitsa. Zespół zagrał utwory charakterystyczne dla ich programu koncertowego m.in.: „Every Night I Have the Same Da”, „Long Black Veil”, „Standing On A Corner”, jak i balladę „Just Like a Woman”.

Zastanawiające było dobre wrażenie po występie. Nie wiem czy to zasługa klimatycznego miejsca, w którym blues nie może źle brzmieć, czy postawy samych muzyków, kreujących luźną atmosferę. Miałam nieodparte wrażenie, że publiczność była partnerem muzyków, partnerem współtworzącym rzeczywistość koncertową. Nie można tym artystom przypisać gwiazdorskich uniesień. Koncert był kwintesencją bluesa. Swoboda muzyków była zaraźliwa, wręcz przyciągająca.

Aya Lidia Al-Azab





Weather Report – *Heavy Weather*

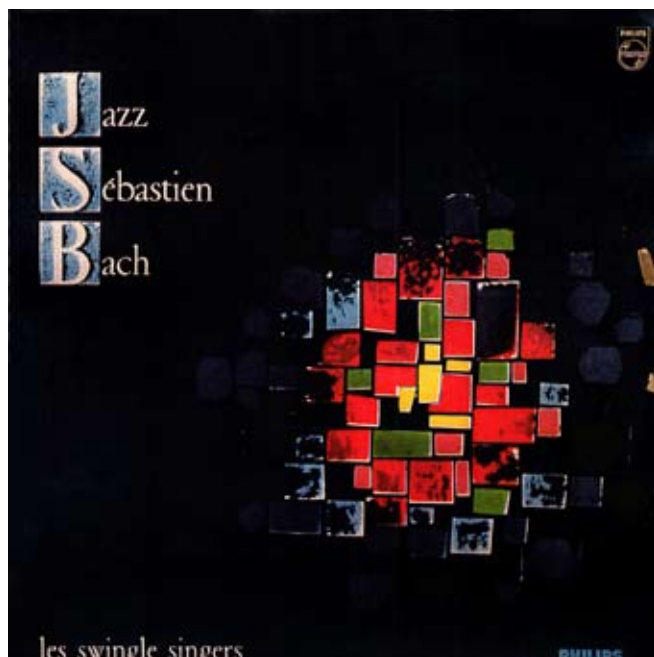
Weather Report to zespół, który z pewnością jest ważny dla historii gatunku. Dla niektórych wręcz kultowy. Ja wyznawcą tego kultu nie jestem, uważam bowiem, że zespół miał też na swoim koncie – delikatnie rzecz ujmując – nagrania nieco słabsze. Trochę to było zależne od aktualnego składu, a trochę od tego, czy akurat udało się skomponować wielkie przeboje.

W przypadku *Heavy Weather* mamy do czynienia z definitywnie najlepszym składem zespołu, z Jaco Pastoriusiem w życiowej formie i przebojami, które należą do największych w historii gatunku. Nawet jeśli ktoś nie przepada za jazz-rockiem, fusion i całą elektryczną zabawą lat siedemdziesiątych, to nie odmówi przebojowości takim kompozycjom, jak „Birdland”, „Teen Town”, czy „Havona”.



Les Paul – *The Jazzman*

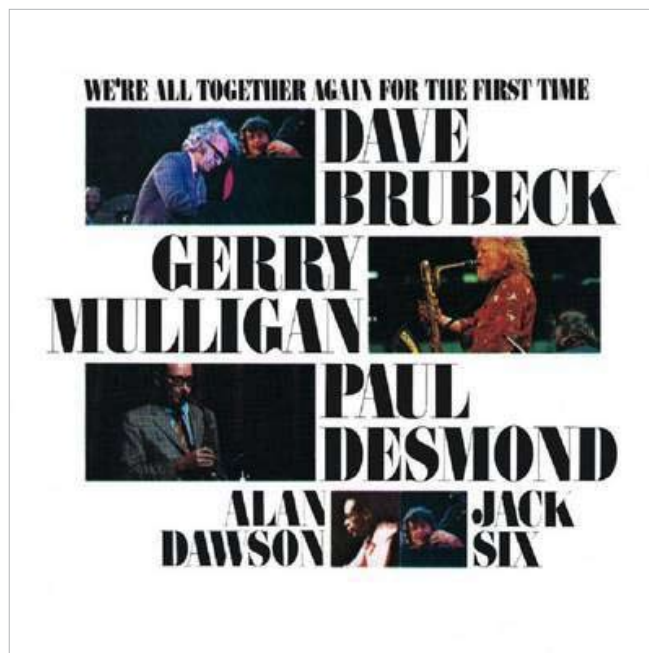
The Jazzman, to składająca się z dwu krążków CD składanka wypełniona po brzegi różnymi nagraniami pochodzącymi z późnych lat czterdziestych ubiegłego wieku. Wczesna kariera Les Paula to głównie jego udział w różnych nagraniach, często przypadkowych składów, no i przeboje, z ówczesnego punktu widzenia – muzyki rozrywkowej, szczególnie te z wokalnym udziałem jego żony – Mary Ford. Ukazywały się głównie na singlach, więc z okresu lat 40., 50. i 60. nie da się wybrać albumu, który jakoś szczególnie wyróżniałby się na tle innych nagrań gitarzysty i nadawał się do naszego Kanonu Jazzu. Stąd też obecność w nim, co nietypowe, choć dość charakterystyczne dla gwiazd tego okresu, kompilacji nagrań. Z pewnością przyjdzie również czas, żeby w Kanonie umieścić późniejsze nagrania Les Paula...



Swingle Singers – *Jazz Sebastian Bach*

Pomysł na płytę polegał na zaśpiewaniu starannie zaaranżowanych, najbardziej znanych melodii z bogatego katalogu kompozycji Jana Sebastiana Bacha w wersjach jak najbardziej zbliżonych do oryginału. W przypadku niektórych kompozycji trzeba było dokonać transpozycji w związku z ograniczeniem skali ludzkiego głosu. Dodatkowo w tle pojawia się dyskretny akompaniament sekcji rytmicznej dowodzonej przez pojawiającego się w większości francuskich produkcji z tego okresu – basistę Pierre’a Michelota.

Dla kolekcjonerów atutem płyty będzie również utwór nazwany przez producentów „Kanon”, który jest prawykonaniem dotąd nigdy nie zarejestrowanego na płycie muzycznego szkicu Bacha.



Dave Brubeck, Paul Desmond, Gerry Mulligan – *We're All Together Again For The First Time*

Ten album może nieco zaskoczyć fanów Dave’a Brubecka z czasów największych sukcesów słynnego kwartetu z Paulem Desmondem, Joem Morello i Eugenem Wrightem. Jeśli pamiętacie klasyczne albumy zespołu z *Time Out*, *Time Further Out* i serią *Impressions* na czele, z drugiej połowy lat pięćdziesiątych, to przygotujcie się na małą niespodziankę.

Zespół w takim składzie istniał do 1967 roku, kiedy to rozpadł się na małe kawałeczki, a lider próbował po raz kolejny podobnego składu z Gerrym Mulliganem, Allanem Dawsonem i Jackiem Sixem. To nie był już jednak tak dobry zespół, jak słynny kwartet.

Rafał Garszczyński

www.jazzpress.pl/index.php/kanon-jazzu



Redakcja

Redaktor naczelny: Ryszard Skrzypiec – jazzpress@radiojazz.fm
Rafał Garszczyński – rafal@radiojazz.fm
Maciej Nowotny – maciej.nowotny@radiojazz.fm
Szymon Gołąb – szymon@radiojazz.fm
Jerzy Szczerbakow – jerzy.szczerbakow@radiojazz.fm
Roch Siciński – roch.sicinski@radiojazz.fm
Jacek Wróbel – jacek@radiojazz.fm
Aleksandra Nowosad – ola@radiojazz.fm
Piotr Wickowski – kameralny@radiojazz.fm
Piotr Wojdat – piotr.wojdat@radiojazz.fm
Kacper Pałczyński – kacper@radiojazz.fm
Łukasz Nitwiński – lukasz@radiojazz.fm
Piotr Łukasiewicz
Łukasz Pura
Kuba Bąk
Dorota Olearczyk
Beata Zuzanna Borawska
Sławomir Orwat
Andrzej Patlewicz

Adiustacja

Emilia Skrzypiec – emilia@radiojazz.fm

Skład i opracowanie graficzne

Beata Wydrzyńska – beata@radiojazz.fm

Skład na czytelniki

Stanisław Frankowski – s.frankowski@radiojazz.fm

Marketing i reklama

Agnieszka Holwek – promocja@radiojazz.fm

Fotograficy

Bogdan Augustyniak, Krzysztof Wierzbowski, Rafał Garszczyński, Piotr Gruchała, Piotr Kaczmarczyk, Barbara Adamek, Julian Olearczyk, Marcin Wilkowski, Stanisław Zaremba

Zdjęcia nie opisane nazwiskiem autora pochodzą z materiałów prasowych muzyków i organizatorów koncertów.

Wszystkie materiały w numerze objęte są licencją Creative Commons Uznanie autorstwa-Użycie niekomercyjne-Bez utworów zależnych 3.0 Polska, to znaczy, że wolno je kopiować i rozpowszechniać, jednak należy oznaczyć w sposób określony przez Twórcę lub Licencjodawcę, nie wolno używać do celów komercyjnych i nie wolno zmieniać, przekształcać ani tworzyć nowych dzieł na podstawie tego utworu. Z tekstem licencji można zapoznać się na [stronie](#) »



Wydawca **EUROJAZZ**

© Fundacja Popularyzacji
Muzyki Jazzowej EuroJAZZ

Adres redakcji:

02-582 Warszawa

ul. Wiktorska 88 m. 22

ISSN 2084-3143



Ostatnio ukazały się:

JazzPRESS, kwiecień 2013



MARZEC 2012



KWIECIEŃ 2012



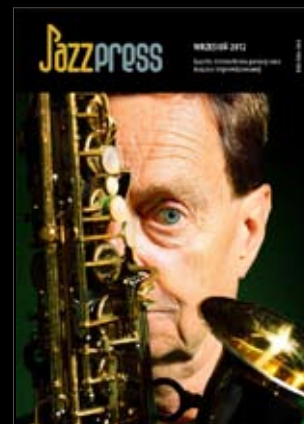
MAJ 2012



CZERWIEC 2012



LIPIEC 2012



WRZESIEŃ 2012



PAŹDZIERNIK 2012



LISTOPAD 2012



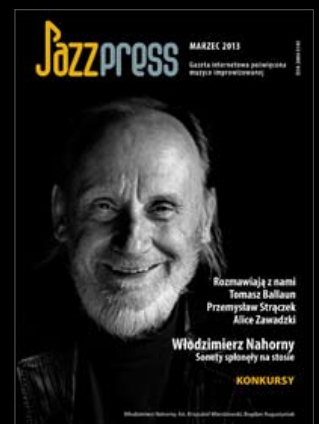
GRUDZIEŃ 2012



STYCZEŃ 2013



LUTY 2013



MARZEC 2013